CD: 3 KOLORY: reggae i okolice

RUaH

22/2003

MAGAZYN MUZYCZNY

KWARTALNIK 14,90 zł

www.ruah.pl w tym VAT 0%

TORI AMOS
GRITS
VIOLA BRZEZIŃSKA
PODOL/TRIQUETRA
ANASTASIS
DETROIT TECHNO

+ plakat
MALEO REGGAE ROCKERS!



ISSN 1428 5983 INDEX 345385

ISSN 1428-5983 03

nakład 7500 egz.

Drodzy Czytelnicy
i współpracownicy RuaH,

już szósty miesiąc trwa moje zmaganie z ciężką chorobą – nowotworem wątroby. Przez ten czas spotkałem się z wyrazami pamięci i łączności w modlitwie ze strony wielu osób i środowisk w kraju i na całym świecie.
Jestem wzruszony i zobowiązany. Doświadczam mocy Waszej modlitwy.
Bóg zapłać!
Proszę o dalszą modlitwę.

Janusz Kotarba
redaktor naczelny i wydawca RUaH
firma **paganini**

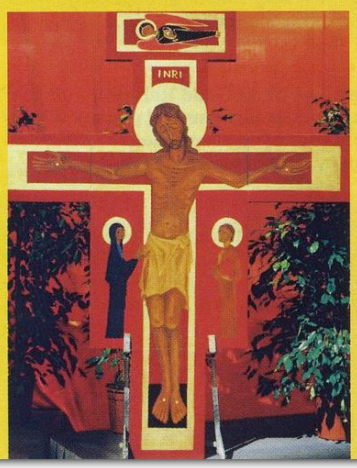
* * *

Wszystko zaczęło się już na wakacjach. W ostatnich dniach lipca Janusz poczuł bóle w okolicy wątroby, które stopniowo stawały się coraz bardziej dotkliwe. Badania lekarskie podjęte we wrześniu i październiku wykazały, że to nowotwór wątroby. Choroba, którą trudno leczyć.
Trudno zdrowemu zrozumieć sytuację osoby chorej. Janusz od kilku miesięcy zmaga się z ciężkim bólem, który uniemożliwia mu dotychczasowe funkcjonowanie. W trudach choroby i w pracy w wydawnictwie wspiera go najbliższa rodzina. Z pomocą, zwłaszcza – duchową, zgłosili się, jak sam powiedział, jego przyjaciele z Krakowa i nie tylko...
Potrzebna jest też Wasza modlitwa! Są w życiu sytuacje, w których tylko Bóg może dopomóc. Nam ludziom wierzącym nie trzeba tłumaczyć, że Chrystus tak jak kiedyś, i dziś - dotyka chorych i przywraca zdrowie.
Módlmy się za Janusza i trwajmy w nadziei...
Andrzej Bujnowski OP

Redakcja RuaH pragnie serdecznie przeprosić autorów błędnie podpisanych zdjęć, które zamieściliśmy w ostatnim (dwudziestym pierwszym) numerze naszego pisma. Tak więc:
*- zdjęcia Roberta Friedricha (2 Tm2,3) na stronach 15-16 wykonali **Marta i Rafał Rauchfleiszowie**, a nie Krzysztof Raczyński, podobnie Beaty Bednarz na str. 28. Niepodpisane zdjęcie na stronach: 17 (Beaty Kozak) wykonał **Krzysztof Raczyński**, na stronach 19 i 46 (grupy Leaf) – **Rafał Artych**, na stronie 61 (braci Golców) – **Mirosław Sosna**. Zdjęcie TGD na str. 30 – **Krzysztof Raczyński**, a nie Tomasz Wiazowski, zdjęcie ks. Czarka Cieszyńskiego (Saruel) na str. 8 – **Lucyna Dowejko-Riege**, a nie Krzysztof Raczyński.*

* * *

Szczególne podziękowania od Redakcji za pomoc w powstawaniu trzech ostatnich numerów RUaH dla **Bogumiły Kuczyńskiej** z Wrocławia.



W NUMERZE

6 Newsy
8 Śpiewy z Taize
9 Przewodnik po CD
10 Górale z Żuław - muzyka w podróży
12 www.bosko.pl
13 Techno-parada w Łodzi
17 Sorry Maleo - Dziki prostuje
18 Detroit techno
20 Podol@Triquetra
24 Anastasis
27 Melanż, Guess Why, Armia - koncert w Buku
28 Muzyka której słucha Robert Ruszczak
37 Średniowiecze jak świeże bułeczki - ostatnie :-(
39 Krzysztof Furgała (MIX Studio Dźwięku) - wywiad
42 Viola Brzezińska - pojawia się i znika
46 Siostra Anna Bałchan - „artystka ludowa"
48 Anoraknofobia (?!)
50 Tori Amos - specjalnie dla RUaH!
53 GRITS - rewolucja w Duchu
55 Zapal Ogień Miłości
56 Co się dzieje ze sztuką? - galeria RUaH
58 Pełnym głosem - Jakub Żmidziński
62 Warsztaty muzyków w Dursztynie
oraz stałe pozycje: zapistnik Toški Krzysztoń, listy, recenzje, nuty

RUaH numer 22

WYDAWCA / REDAKCJA:
paganini
Małgorzata i Janusz Kotarba
31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11,
tel./fax 012-623 71 81, tel. 012-623 71 82
e-mail: firma@paganini.com.pl
RUaH w Internecie: www.paganini.com.pl, www.ruah.pl
Druk: Drukarnia Kolejowa, Kraków
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść i formę reklam.
Na okładce: Viola Brzezińska
Fotografia na okładce: Lucyna Dowejko-Riege

ZESPÓŁ:
Redaktor naczelny: Janusz Kotarba
Redaktor programowy: Andrzej Bujnowski OP
Opracowanie graficzne: Andrzej Bujnowski OP, Grzegorz Kaczmarek
Sekretariat redakcji: Weronika Kotarba
Skład i łamanie: G. K. i A. K. / fabryka bA!
Korekta: Kinga Chojnacka
Stali współpracownicy: Natalia i Tomek Budzyńscy, Jan Bujnowski, Andrzej Cudzich, Andrzej Dziewit, Iwona Flisikowska, Jan Gołaski, Piotr Iwicki, Marcin Jakimowicz, Jacek Kowalski, Antonina Krzysztoń, Michał Kulenty, Darek Malejonek, Beata Mencel, Marcin Perfuński, Barbara Pycel, Krzysztof Raczyński, Cezary Sękalski, ks. Tomasz Tobolski, Leszek Tokarski, ks. Grzegorz Ułamek, Grzegorz Wacław, Jan Walczewski, Monika Zytke.



fot. Andrzej Dziewit

Koncert Jazzowy na rzecz Andrzeja Cudzicha

Na wieść o ciężkiej chorobie Andrzeja Cudzicha (rak!) spontanicznie zareagowali muzycy jazzowi z całej niemal Polski. Telefonicznie umawiali się w dniach Świąt Bożego Narodzenia, by 3 stycznia 2003 roku zagrać charytatywny koncert „Przyjaciele Andrzejowi" w Studio S-5 Radia Kraków. Szczególnie aktywnie zaangażowali się w jego organizację gitarzysta - Jarosław Śmietana, dyrektor Agencji Muzycznej „Cracovia" - Witold Wnuk i krytyk muzyczny - Antoni Krupa. Koncert przyciągnął prawdziwe tłumy sympatyków jazzu i fanów talentu Andrzeja Cudzicha, który od lat zajmuje najwyższą pozycję jako konrabasista w rankingu „Jazz Top" pisma „Jazz Forum". Na scenie Radia Kraków stawili się znakomici klasycy: Jazz Band Ball Orchestra, Janusz Muniak, Wojciech Karolak, Tomasz Szukalski; popis muzycznego kunsztu dali: Jarosław Śmietana, Piotr Baron, kwartet – Piotr Wojtasik, Maciej Sikała, Jacek Kochan i Adam Kowalewski, a także Marek Bałata, Darek Oleszkiewicz, Marek Stryszowski oraz najmłodsi: Paweł Kaczmarczyk, Piotr Wyleżoł, Tomasz Kurdyk, Tomasz Grochot, Marcin Ślusarczyk i inni. To wspaniały gest solidarności z przyjacielem – wybitnym muzykiem, liderem, kompozytorem. Zebrana kwota wspomogła leczenie Andrzeja, a finałowa kolęda „Bóg się rodzi", zagrana solo przez Tomasza Szukalskiego, była wezwaniem do Bożej Opatrzności. Tę muzyczną modlitwę wspierało wiele serc zgromadzonej publiczności. W wiosennych planach artystycznych Andrzeja jest nowa płyta z muzykami nowojorskimi w składzie: Dave Kikoski (fortepian), Gary Thomas (saksofon), Ronnie Burrage (perkusja) i Wallace Roney (trąbka).



kadr z teledysku Szymona Felkla do piosenki Tomka Budzyńskiego

Nowe teledyski z muzyką polskich artystów chrześcijan

- 15 lutego w telewizyjnym programie „Ziarno" pojawił się nowy teledysk Grzegorza Sadurskiego do piosenki „Anioł Stróż" Magdy Anioł. Piosenkarka pojawia się w nim w otoczeniu dzieci przebranych w stroje górnika, piekarza, rybaka, nauczyciela, ogrodnika itp., o których opowiada tekst utworu. W ostatnim czasie Grzegorz zrealizował też teledyski do piosenek: „Jahwe" z nowej płyty Deus Meus oraz „Niech się moje serce obudzi" Arki Noego, czekają one na swą telewizyjną premierę.

- Polska MTV i Telewizja VIVA (także Polsat) w styczniu i lutym często emitowały teledysk z piosenką „Kochać będę" Eleonory Niemen. Jego artystyczna jakość wywarła duże wrażenie na szefach programowych tych kanałów TV. Autorami teledysku są Marcin Fischer i Rafał Wieczorek z grupy realizatorów reklam filmowych - „Provizorca". Piosenka Eleonory znalazła się nawet w pierwszej dziesiątce „Polskiej Listy MTV" (o teledysku E. Niemen czytaj też na str. 39 w wywiadzie z Krzysztofem Furgałą).

- W TVP w audycji dla młodzieży „Raj" gościł w styczniu zbierający bardzo dobre recenzje teledysk Szymona Felkla do piosenki Tomka Budzyńskiego - „Anielo, mój Aniele" (można obejrzeć go na jego nowej płycie „Taniec szkieletów").

Czyżby emisje telewizyjne wspomnianych teledysków były początkiem „nowego rozdziału" polskiej muzyki artystów chrześcijan?



fot. Krzysztof Raczyński

Tomek Kamiński przekracza Jordan

Tomek Kamiński zapowiada w obecnym roku duże zmiany w swym działaniu. Razem z rodziną (która w maju powiększy się o kolejne dziecko) przekroczył rze(cz)kę Jordan (tak nazywa się ona faktycznie!) i zamieszkał w podtoruńskiej wsi Kawęczyn. Tomek zaangażował do swego zespołu nowych muzyków, ma zamiar grać z nimi nieco inną od dotychczasowej muzykę. O szczegółach czytaj na jego nowej stronie internetowej: www.kaminski.net.pl

Nowa produkcja Teatru „A"

Marcin Dzwonowski z Teatru „A" opracował ostatnio podręcznik dla początkujących muzyków, kończy też aranżację do najnowszej produkcji muzycznej Teatru – liturgicznego widowiska o tajemniczej nazwie „Neuma".

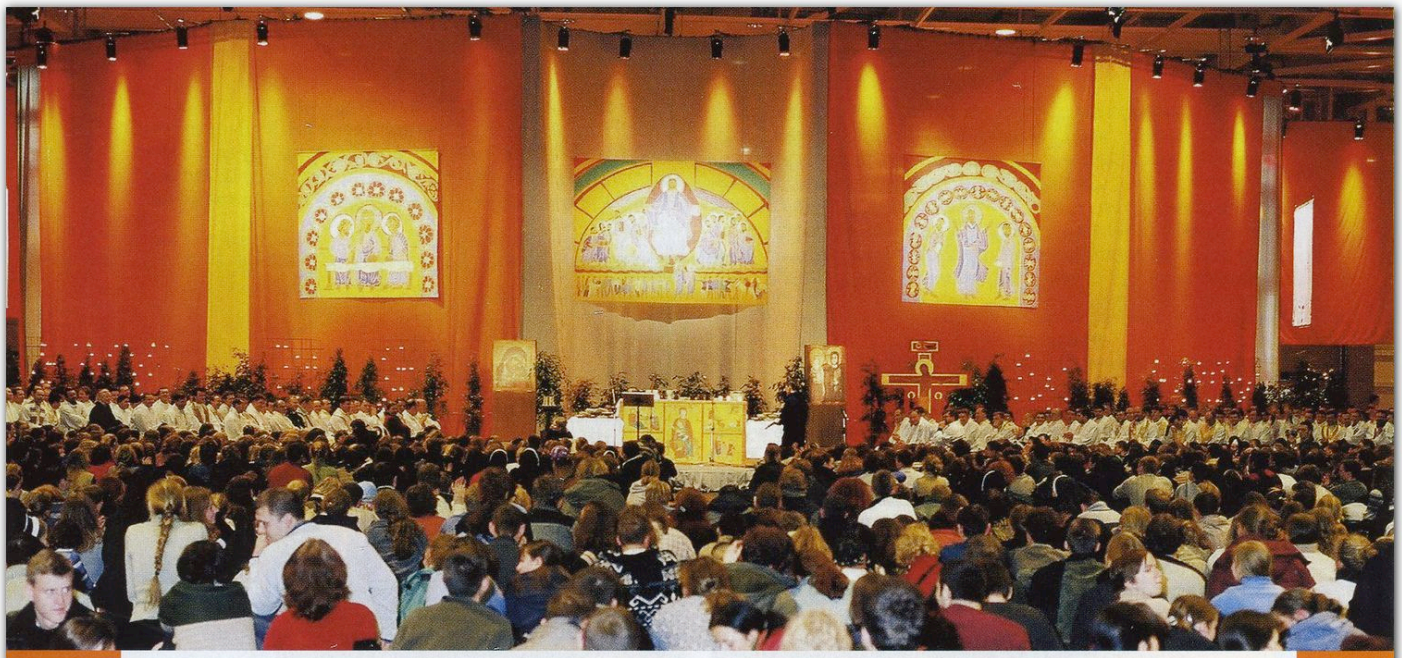
Wkrótce nowa płyta Good Religion - „Trust"

1 marca ukazała się nowa płyta Good Religion – „Trust" (jedna z jej piosenek znajduje się na naszej płycie). Wkrótce po Świętach Wielkanocnych zespół zagra w Warszawie koncert promujący nowy materiał.

„Streetworking" Siostry Anny

Siostrę Annę Bałchan ze Zgromadzenia Sióstr Maryi Niepokalanej znamy z teledysku „Zaufaj Panu już dziś" Magdy Anioł (pojawia się w nim wśród „Przyjaciół" Magdy) i koncertów w klubie RUaH przy ul. Dominikańskiej w Krakowie. Siostra od

news news news



Dlaczego kocham śpiewy z Taizé?

Kościół zawsze ewangelizował śpiewem, czyli czynił swoją powinność, rozgłaszał dobre wiadomości. Trudno o lepszą wiadomość, jak ta, że: jesteś kochany. Cała liturgia Kościoła jest bardzo otwarta i pełna muzycznego działania. Człowiek, kiedy kocha, już nie chce o tym mówić, pragnie to wyśpiewać. Naturalną postawą wobec Boga, który jest Miłością, wydaje się być tylko śpiew.

Kantyk Zachariasza, kantyk Maryi (Magnificat), kantyk Symeona, to szczególne myśli Nowego Testamentu, wyrażone śpiewem. W Starym Testamencie, księga szczególnej łączności z Bogiem, to księga psalmów, różnorakich pieśni liturgicznych.

Zły duch ogromnie nie lubi, gdy człowiek śpiewa na chwałę Boga, bo taki ktoś jest wtedy dla niego nieuchwytny. Muzyka ze swoją siłą harmonii wewnętrznej potrafi tak zawładnąć człowiekiem, że pochłonięty śpiewem jednoczy się Ojcem Niebieskim bez reszty. Tu diabeł już nic nie może zrobić.

Wspólnota z Taize dobrze wie, że modlitwa śpiewana jest jednym z najistotniejszych sposobów ekspresji w poszukiwaniu bliskości Boga. Krótkie śpiewy, wielokrotnie powtarzane, podkreślają jej medytacyjny charakter. Niewiele słów - zawiera prawdę fundamentalną, bardzo szybko ogarnianą rozumem. Wybrana prawda, powtarzana jakby w nieskończoność, stopniowo nas przenika. Proste śpiewy pozwalają później modlić się w samotności w każdej chwili, tak w dzień, jak i w nocy, czasem w pracy, w ciszy serca.

Z tradycji monastycznej, gdzie głos ludzki wspiera medytację, zaczerpnęło Taize i umiało otworzyć muzycznym kluczem bramy duszy. W życiu tej Wspólnoty śpiewy na przemian z czytaniami biblijnymi nadają rytm modlitwie. Skomponowano melodie do krótkich wyjątków z psalmów, cytatów z Ewangelii i z pism starożytnych pisarzy chrześcijańskich. W Taize Słowo stało się pieśnią. Pieśnią - taką jak źródło. Przejrzystą zarówno dla uszu, jak dla rozumu. I nuty, i tekst, skromnie służą Słowu. Teksty proste, jasne, wyrażają radość, przebaczenie, zaufanie, pokój, czułość. Muzyka zaś nie wpisuje się ani do rejestru banalnych piosenek, ani lirycznej wzniosłości. Wszystkie śpiewy w Taize dotykają prostoty ewangelicznej. Przyjmujące formę kanonów, powtarzane w nieskończoność, łatwe do zapamiętania przenikają do najgłębszych warstw człowieka, tam gdzie może otworzyć się szczelina, przez którą, jak mówi brat Roger, przenika „radość z nieba na ziemię". Nastrój, brzmienie głosu solistów, harmonijne tony akompaniamentu zacierają się w sercu i zostaje tylko skarb z czystego złota, najistotniejsze przesłanie, wyryty w pamięci refren, który można sobie nucić w szkole, jadąc samochodem, w domu, w tysiącu sytuacji życia codziennego.

Pieśń ciała, tak samo jak duszy, czyli muzyka w Taize, wzrusza, choć nie stara się oddziaływać na emocje, porywa, ale nie zniewala.

Pewien zakonnik muzykolog porównał ją do zapisanej dźwiękiem ikony, która fascynuje, ale pozostawia wolność. Muzyka - język uniwersalny; nigdy jeszcze to wyrażenie nie było tak trafne, jak stało się to dzięki Taize. Wspólnota jednak nie zadowala się tym, że jej pieśni rozpowszechniają się, ona je dostosowuje do wymiarów całego świata. Tu język Kościoła powszechnego - łacina, znów stał się w Taize językiem żywym. Wszystkie języki weszły do liturgii jako odwrotność wieży Babel, która zakwitła polifonią.

Najbardziej niezwykłą cechą tych pieśni jest ich zdolność do wprowadzania w ciszę. Jeżeli cisza po muzyce Mozarta jest w dalszym ciągu Mozartem, cisza po pieśni z Taize jest wciąż modlitwą.

Ja sam poszukiwałem, jeszcze jako kleryk, sposobu modlitwy dla siebie. Usłyszałem śpiewy z Taize, zakochałem się i tak już jest od 18 lat. Dojrzała to miłość.

ks. Tomasz z Olsztyna

zdjęcia (z Europejskich Spotkań Młodych Taize w Paryżu 2002/2003) - Krzysztof Raczyński



Brat Marek

Przewodnik po CD

To ciekawe! Poza miejscami, gdzie żyją rastamani - Jamajką, Stanami Zjednoczonymi i Wyspami Brytyjskimi – reggae – gra się głównie w Polsce! „Gra się" – to znaczy, traktuje poważnie, bo nie mówimy o nurcie rozrywkowym, piosenkach w stylu „Sunshine Reggae", w których specyficzny układ beatów, typowy dla tej muzyki, służy zabawie w dyskotece. Dla Polaków, a zwłaszcza dla tych, którzy zakochali się w reggae, muzyka rastafarian - roots reggae zawsze była przede wszystkim zjawiskiem duchowym, czyli - mówiącym o Bogu (Bob Marley, Burning Spear, Misty in Roots, Twinkle Brothers i inni). Już pod koniec lat 70., gdy reggae (o dziwo, wraz z punk rockiem!) szeroką falą dotarło do naszego kraju, choć niewiele rozumieliśmy z jego dość zawiłego dla katolików przesłania, czuliśmy pewne ciepło w słowie „Jah" (skrót od „Jahwe") pojawiającym się setki razy w tekstach songów z Karaibów. Już wtedy podświadomie lub świadomie doszuki-waliśmy się wspólnych z Jamajczykami „korzeni" (!).

Zainteresowanie reggae w Polsce do dziś, o dziwo, nie gaśnie! Na przestrzeni ostatnich 20. lat pojawiły się u nas nie tylko tysiące jego fanów, setki koncertów czy poświęconych mu festiwali (ostatnio też – stron internetowych!), ale przede wszystkim – bardzo wiele grających je zespołów. Zaznaczyć przy tym trzeba, że reggae nie jest dla Europejczyka łatwe, wymaga od wykonującego specyficznego myślenia (down tempo!) i umiejętności. Cóż? Polak, jeśli chce – wszystko potrafi! Pierwsze ekipy grające reggae nad Wisłą pracowały w pocie czoła, by synkopy tej muzyki brzmiały „czarno" i równo. Próbowały też włączać w nie jakieś, podobne do tego z Jamajki, religijne przesłanie. Zespół Izrael, od którego wszystko się zaczęło, rozumiał jednak, że rzeczą śmieszną byłoby nawoływanie do jedności wszystkich Murzynów na świecie czy wychwalanie cesarza Etiopii, Hajle Selasje - w Warszawie. Zainspirowały go, ku paradoksowi – za pośrednictwem rastafarian! – Apokalipsa i Psalmy – czyli Biblia (obok niej – współczesne problemy ogólnospołeczne: nieuczciwość polityków, wojny, terror mediów itp.). Trudno oceniać, na ile szczere były poszukiwania religijne tej grupy i kolejnych do niej podobnych, warto jednak zauważyć, że wkrótce reggae stało się ważnym odkryciem wielu działających w Polsce muzyków chrześcijan. Mam tu na myśli ludzi związanych z Kościołem, i to często w bliski sposób. Im poświęcona jest płyta „Trzy kolory", dodana do niniejszego numeru RUaH. Artyści owi nie tylko odkryli tę muzykę i jej ducha, ale potraktowali ją niejednokrotnie jako główne narzędzie swojej wypowiedzi. Ich zainteresowania poszły dalej, poza Psalmy Starego Testamentu. W kilkunastu piosenkach na krążku usłyszymy świadectwo ich wiary w Chrystusa jako Jedynego Zbawiciela człowieka. To wyznanie czyni z prezentowanej kompilacji pozycję pionierską na naszym rynku muzycznym (często nieświadomym nawet, że takie zespoły i piosenki istnieją).

Nasza płyta nie ma zarazem aspiracji pokazania jakiegoś zamkniętego środowiska artystów („oni, to dopiero grają!"), nie stanowi też antologii nurtu chrześcijańskiego w „dokonaniach" reggae w Polsce. Ludzi traktujących u nas tę muzykę w sposób duchowy nie sposób „zebrać" i pokazać w „jednym miejscu".

Płyta „Trzy kolory" powstała przez wybranie kilkunastu najlepszych, moim zdaniem, piosenek spośród tych, które posiada w swoich zbiorach firma „paganini" i przysłanych do Redakcji przez same zespoły. Spotkacie na niej wykonawców, których zapewne dobrze znacie (Armia, Maleo Reggae Rockers, Bakshis, Jafia Namuel), jak i zespoły grające od niedawna (Miasto, Kometa, 30+40/70). Muzyka, którą usłyszycie jest GORĄCA! Poraża swym bezkompromisowym przesłaniem! Cieszy to, że piosenek reggae z takim przekazem, a przy tym zagranych na zupełnie przyzwoitym poziomie, jest w Polsce dużo i coraz więcej!

Andrzej Bujnowski OP

P.S. Przy okazji: napiszcie do nas - co sądzicie o płycie i jej pomyśle, co myślicie w ogóle o reggae w Polsce? Wasze głosy bardzo nas ucieszą!



Piosenki na płycie

1. **GOOD RELIGION** - *Idziemy* (sł. Piotr Gałązka, muz. Good Religion) - z płyty „Trust", wydawca: Edycja Świętego Pawła, 2003, 4:43
2. **MALEO REGGAE ROCKERS** - *Nikt* (sł. i muz. Darek Malejonek i Kultura) - nagranie live z „Przystanku Woodstock", 2002, 5:20
3. **ARMIA** - *Exodus* (sł. i muz. Bob Marley) - niepublikowane nagranie archiwalne, 1992, 4:56
4. **BAKSHISH** - *Daj mi siłę* (sł. Jarek Kowalczyk, muz. Tomek Wójcik) - z płyty „B3", wydawca: W Moich Oczach, 2002, 5:54
5. **PIOTR „MRÓWA" MROWIŃSKI** - *Gipsy* (sł. i muz. Piotr Mrowiński) – nagranie niepublikowane, 2000, 4:21
6. **NOWE JERUSALEM** - *Nie kupisz mnie* (sł. i muz. Maciej Flank) - nagranie niepublikowane, 2001, 5:21
7. **TRIQUETRA** - *Dyla dać* (sł. Jakub Podolski, muz. Triquetra) - z płyty „Draka", wydawca: Triquetra, 2002, 3:26
8. **ADONAI** - *Jahweh, to Ty* (sł. Matan Sumiński, muz. Matan i Dorota Sumińscy) - z płyty „Skosztuj zobacz", wydawca: Matan & Dorota Sumińscy, 2000, 4:40
9. **MIASTO** - *Jezus not dead* (sł. Marcin „Mucha" Muszyński, muz. Miasto) - z płyty „Miasto", wydawca: Miasto, 2002, 1:48
10. **APOSTOLOS** - *Psalm* (sł. i muz. Mariusz Mamulski) - z płyty „Demo 2001", wydawca: Apostolos, 2001, 4:09
11. **30+40/70 + VIOLA BRZEZIŃSKA** - *Łaska Twoja, Panie* (sł. Robert Ruszczak, muz. 30+40/70) - nagranie koncertowe, 2003, 4:44
12. **MAGDA BOBROWSKA & BARDZO ORKIESTRA** - *Wiem, Panie* (sł. i muz. ks. Witek Wolny) - z niewydanej płyty „Fantastyczne Śpiewanie", 1998, 4:26
13. **KOMETA** - *Mądrości* (sł. i muz. Aga Plebanek) - z płyty demo, 2002, 4:10
14. **FLANK & JAFIA NAMUEL** - *King of Kings* (sł. Izajasz, muz. Maciej Flank i Jafia Namuel) - z niewydanej płyty, 2001, 3:29

czas płyty : 62:12



MY, GÓRALE Z ŻUŁAW
czyli
MUZYKA W PODRÓŻY

Monika Zytke

Muzyka etniczna stała się ostatnimi czasy powszechna, wręcz modna. W Polsce zaczęło się to kilkanaście lat temu. Być może trochę na skutek zmęczenia schematycznością muzyki pop i brakiem - na szerszą skalę - nowych pomysłów. Do tego doszło otwarcie kulturowe związane ze zmianą ustroju i nagle pojawiły się w mediach zespoły grające muzykę korzeni, jak np. Trebunie Tutki czy Krywań. To już nie było Mazowsze z klasyczną emisją głosu i uśmiechem nr 25. Słuchacze wyczuwali szczerość tej muzyki. Swego czasu olbrzymie poruszenie w Europie wywołały koncerty pasterzy z Mongolii, śpiewających ćwierćtony, dwudźwięki i alikwoty wydające się niemożliwymi do wydobycia.

Na tym się jednak nie skończyło. Zaczęto łączyć ze sobą różne kultury, co wywoływało spore emocje u słuchaczy i krytyki. Trebunie spotkali się na scenie i w studiu z jamajskim Twinkle Brothers, Ciechowski jako Grzegorz z Ciechowa wykorzystał m.in. oryginalne nagrania śpiewaczki ludowej Anny Malec, do których dograł bynajmniej nie ludowy „akompaniament". Jedni mówili: „profanacja!", drudzy: „jakaś szansa dla muzyki ludowej".

Nie tylko w Polsce i nie tylko w ostatnim czasie mamy przykłady takich spotkań. Jan Garbarek nagrał swoją jazzowo-gregoriańską płytę z The Hilliard Ensemble (jeżeli umownie anonimowy chorał potraktujemy też jako pewnego rodzaju muzykę ludu). Yehudi Menuhin, światowej sławy skrzypek i dyrygent muzyki klasycznej, z chęcią odwiedzał muzyczne pogranicza – zagrał z wirtuozem jazzu Stephanem Grapellim i indyjskim mistrzem sitaru Ravi Shankarem. Benny Goodman, niezapomniany klarnecista, był jednocześnie królem swingu i sceny filharmonicznej, z taką samą swobodą odnajdującym się w jazzie, jak w kompozycjach Brahmsa czy Strawińskiego. Jako syn żydowskich imigrantów z Europy Wschodniej edukację muzyczną rozpoczął w małej orkiestrze dętej działającej przy synagodze. Walczący z wszelkimi uprzedzeniami narodowościowymi, w okresie obowiązywania w USA daleko idącej segregacji rasowej, nie wahał się angażować czarnoskórych muzyków do swojej orkiestry. Otwarcie na innych daje zawsze dobre owoce – nie tylko w muzyce.

A i sama muzyka etniczna zaczęła się od jakiegoś czasu zmieniać coraz mniej będąc muzyką ludu. Pieśni gospel, kiedyś powstające spontanicznie przy pracy w polu, dziś często pisane są przez czarnoskórych zawodowych muzyków z dyplomem konserwatorium. Bracia Golcowie, na długo przed medialnym zaistnieniem swojej uOrkiestry, byli znani w branży jako muzycy sesyjni, a ich góralskie pochodzenie znać było jedynie po akcencie. Czy więc można potraktować ich dokonania jako muzykę ludową? Na pewno nie do końca, mimo „rdzennego" pochodzenia samych autorów.

Osobnym tematem jest narodowość muzyki. Dziś bardzo trudno ją określić. U źródeł jest to jasne, związane zwykle z kulturą danego regionu. W encyklopedii znajdziemy prosty adres dla każdego z gatunków: gospel - to muzyka Afro-amerykanów z USA, celtycka - to Irlandia, klezmerska - to żydowska z Europy Środkowo-Wschodniej, flamenco – Hiszpania itd...

Obecnie jednak rozwój środków archiwizacji dźwięku i upowszechnianie źródeł sprawiły, że za wykonywanie etnicznej muzyki zabierają się ludzie z innych krajów i ta sama stylistyka inspiruje twórców wielu narodowości. W Polsce mamy zespoły klezmerskie, celtyckie, reggae, flamenco, gospel... Grają muzykę oryginalną, zgłębiają ją i wreszcie sami tworzą w podobnej stylistyce. A wtedy już trudno o definicje. Jeżeli napiszę (a zdarzyło mi się) utwór w stylistyce żydowskiej, to - czy będzie to muzyka polska (jestem Polką) czy żydowska (wykorzystana skala i harmonia)? Czy twórczość polskich muzyków z Carrantuohill to naprawdę muzyka irlandzka? Czy sensowne jest określenie „biały chór gospel"? Przykłady można by mnożyć, a odpowiedzi udzielić nie sposób. I może nawet niekoniecznie trzeba... Może istotniejsza jest sama muzyka i inspiracje?

Wiele takich prób przeprowadzanych jest z powodzeniem – mamy w naszym kraju świetne zespoły klezmerskie (Kroke, The Cracow Klezmer Band), Darka Malejonka grającego reggae z Maleo Reggae Rockers, Mietka Szcześniaka, który bywa nazywany „białym człowiekiem z czarnym głosem". Artur Rubinstein, polski Żyd i światowej sławy pianista, zasłynął jako interpretator muzyki hiszpańskiej. Słyszałam też o polskiej tancerce uczącej w Hiszpanii flamenco.

Mówiąc o jakiejkolwiek muzyce etnicznej zawsze dochodzimy do momentu, w którym pada pytanie: czy ludzie innych nacji mają prawo zajmować się nią zawodowo? Czy jest możliwe, by robili to dobrze i nie kaleczyli oryginału, skoro wywodzą się z innych tradycji kulturowych? Stawałam przed tym dylematem wielokrotnie, zwłaszcza w odniesieniu do muzyki żydowskiej (z moim zespołem Shomer) i gospel (z chórem Et in Terra). Poznałam wielu klezmerów i czarnoskórych wokalistów, i często zadawałam im to pytanie. Odpowiedzi zawsze były takie same: „Mamy wielką radość z tego, że muzyka naszych korzeni porusza też innych". „Muzyka ma prawo opuścić miejsce swojego urodzenia". „Nie uważam, że nasza muzyka jest tylko dla naszych muzyków". „Ta muzyka wyszła od nas, ale pomyślana jest nie tylko dla nas".

Oczywiście, w każdym gatunku można znaleźć twórców, którzy chcą się odgrodzić i uważają uczestnictwo innych za skażenie oryginału, ale z drugiej strony właśnie muzyka może być miejscem pojednania.

Muzyka nie musi pozostawać tam, skąd się wzięła. Nie trzeba też jej biernie naśladować, ale jednocześnie nie można zupełnie pomijać oryginalnych wykonawców i nie przyznać im prawa do pierwszeństwa ich własnych korzeni. Żeby dodać coś od siebie, trzeba mieć do czego dodać, czyli najpierw poznać, słuchać, uczyć się u źródeł. Jak w medycynie – po pierwsze – nie szkodzić.

Jest wiele zespołów, które tych źródeł szukają i starają się je ocalić – świetny zespół Muzykanci uczący się nie tylko utworów, ale i sposobu gry i śpiewania od ludowych mistrzów, zespoły klezmerskie, prócz wyżej wymienionych, Trio Galicyjskie, Jascha Lieberman Trio, Klizemer i inne, grupy grające muzykę andyjską (Varsovia Manta) czy latynoamerykańską (Salsa Tropical), chóry gospel. Znam góralski zespół z Żuław i kaszubski z Karkonoszy, a także grupę dudziarzy szkockich z Gdańska...

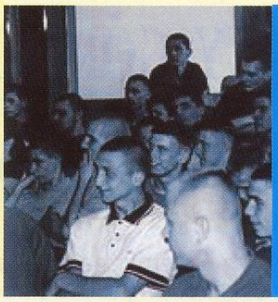
Są jednak i inni muzycy, łączący różne, czasem pozornie dalekie od siebie stylistyki: 2Tm2,3, gdzie obok rockmanów mamy bynajmniej nierockowy głos Angeliki i instrumenty góralskie, na których gra Joszko Broda. Mamy De Press, czy Tercję Pikardyjską, gdzie poza swój obszar dźwiękowy wychodzi muzyka ukraińska. Aida z zespołem Max Klezmer Band oprócz motywów żydowskich wykorzystuje ormiańskie i gruzińskie, jak też klasyczne i jazzowe. DesOrient, podobnie jak Dikanda czy Dzikie Pola mają w repertuarze tak pieśni polskie, bałkańskie, arabskie, cygańskie czy kozackie.

Są wreszcie pojedyncze spotkania z inną muzyką lub muzykami. W tej pierwszej grupie znajdą się węgierskie, rosyjskie czy afrykańskie pieśni na ostatniej płycie Antoniny Krzyształ, projekt Shalom Cezarego Paciorka. W drugiej zaś wspólne nagrania - Mietek Szcześniak i Paulinho Garcia, Kayah i Cesaria Evora, Michał Kulenty i Trebunie Tutki. Takie spotkania zawsze były inspirujące, również w klasyce, czego dowodem są echa muzyki ludu u Fryderyka Chopina czy góralskiej u Karola Szymanowskiego.

Kiedyś było o takie spotkania dużo trudniej – trzeba było często daleko podróżować i bardzo się starać, by usłyszeć muzykę u źródeł. Dzisiaj mamy to szczęście, że to muzyka podróżuje i „przyjeżdża" do nas dzięki telewizji, radiu i płytom. Oczywiście to nigdy nie zastąpi żywego kontaktu, ale może dać wyobrażenie i wiedzę, a potem – inspiracje. Kto wie, jak wyglądałaby muzyka poprzednich wieków, gdyby nasi przodkowie mieli takie możliwości...?

drzeworyt „Muzykanci" - Tadeusz Kulisiewicz

Mniej lub więcej bosko.pl



Nie jest łatwo grać w poprawczaku. Chłopaki swoje wiedzą i nie dadzą się złapać na byle bzdury, na słodkie słówka podszyte przekonaniem, że życie jest naprawdę piękne, bo Pan Bóg nas wszystkich kocha. „Do dupy z takim życiem, skoro jest takie popier...". Nie przebiera się ani w słowach, ani w myślach. To inny świat, chociaż nie bez zasad i nie bez dobrej woli. Kto choć raz tam był, wie, o czym mowa... Mówić można z pozycji pewniaka, poszukującego, zagubionego, zrozpaczonego, walczącego, zbuntowanego... pewnie wszystkie pozycje mają swoją wartość. Koncert kapeli (składającej się ze skinów!) grającej w poprawczaku też swoją pozycję ma...



Tak zaczęła się moja lektura tego dziwactwa, które nazywa się www.bosko.pl. Nie chcę rozpisywać się na temat koncertu w poprawczaku. Zainteresowanych odsyłam pod wskazany adres. Ale na dobry początek jest to jednak dobra zachęta, zwłaszcza dla tych, którzy znudzili się już słuchaniem o ewangelizacji prowadzonej przez wciąż te same zespoły chrześcijańskie.

Żeby zobaczyć, co jest grane w „bosko", wskoczyłem od razu do muzyki. No i grane było dużo; może to kogoś gorszyć, ale właśnie od skinów w poprawczaku począwszy, poprzez techno-Paradę Wolności, ska, dżezy, metale i chóry kościelne. Zorientowałem się szybko, że formuła jest bardzo szeroka, i że „bosko" to jest raz mniej, a raz więcej. No i bardzo dobrze! To dobre pole do popisu, do ścierania się między różnymi kanałami undergroundu, do dialogu między pewniakami i poszukującymi.

A tak nawiasem mówiąc, mniej lub więcej bosko jest nie tylko pod linkiem „muzyka", ale też w innych częściach tej mapy. Taką drogę wytyczają najpierw newsy, potem poszczególne działy, w których jest o czym poczytać. Nic z poważnego tonu kaznodziejskich argumentów ani też populistycznych opinii relatywistycznego pseudochrześcijaństwa. Pytania stawiane są poważnie, a udzielanie odpowiedzi dokonuje się dyskretnie, choć nie bez jednoznacznego opowiedzenia się za tym, co inspiruje tworców portalu. Dla tych więc, którzy potrzebują „stałego pokarmu", prowadzony jest całkiem duchowy kącik; tym, którzy czują, że są jeszcze w „poczekalni" - proponowane są tematy bez żadnego doktrynalnego nacisku, które mogą być użyteczne dla każdego.

Wracając do muzyki, znalazłem pod tym linkiem następujące kategorie: punk, ska, metal, pozytywne wibracje, hip-hop, mp3, oi! i techno. Pod tymi nazwami kryją się wywiady i relacje z koncertów, zwykle z tzw. pierwszej ręki. To, że materia nie jest prostym przedrukiem, ale że pracują na niego ludzie tworzący bosko.pl, daje portalowi olbrzymią przewagę nad tymi, którzy tylko zbierają to, co inni już gdzieś napisali. Jeśli autorzy artykułów rzeczywiście byli na wszystkich tych koncertach i rozmawiali z tymi osobami, z którymi wywiady publikują, to tylko im tego pogratulować. Wysiłek to nie lada; chciałoby się, aby docierali jeszcze dalej, do wszystkich opuszczonych miejsc, gdzie rozbrzmiewają nikomu nieznane jeszcze dźwięki, tak aby świat usłyszał o tym, o czym słyszeć warto.

Na bosko.pl nie brakuje też plików mp3. Są one zwykle podpięte pod poszczególne artykuły. Można więc od razu odsłuchać tego, o czym się mówi. Nawigując w różnych kategoriach muzycznych można się natknąć na zespoły, które na chrześcijańskiej stronie, jaką jest bosko.pl, mogą wyglądać co najmniej... dziwnie. Na pewno nie będzie się to podobało tym, którzy wszystko muszą rozdzielać na białe albo czarne. Okazuje się jednak, że i z czarnego można wydobyć białe blichtry. Różni dziwacy, którym poprzypinano etykietki, mogą też przekazywać pozytywne wartości. Jest niewątpliwym sukcesem tworców strony, że taka operacja się udała. Fundamentaliści chcieliby może inaczej... ale nic tu po nich; raz mniej, raz więcej bosko być musi, zgodnie z tym, jaki jest człowiek ze swojej natury.

Portal istnieje dopiero od roku, nie ma więc tak zaawansowanej struktury, jak to jest w przypadku innych muzycznych stron. Jest jednak interesujący przez swoje nowe spojrzenie i sięganie do miejsc nieznanych. Jeśli natomiast będzie się rozwijał w tym tempie i stylu, w jakim się przedstawia obecnie, stanie się zapewne jednym z ważnych punktów odniesienia dla muzyki z dobrym przesłaniem.

Muzyka na bosko.pl to nowy kanał. Zobaczcie sami, co jest grane.

Andrzej Kęsiak

www.bosko.pl



ERA TECHNO?

„Ludzie mówią, że ci, co słuchają techno, to jest chołota z marginesu, ale to wcale nie jest prawda! Uważam, że zanim się kogoś osądzi, powinno się najpierw poznać tego człowieka. Tak samo jest z muzyką techno!"
Paula - uczestniczka Parady Wolności w Łodzi

Przemek Kawecki

Najpopularniejszą imprezą techno na świecie jest bez wątpienia berlińska Parada Miłości, która od kilku dobrych lat jednych bawi, zaś innych szokuje. Bawiących się, jak podają oficjalne statystyki, jest z roku na rok coraz mniej, natomiast zszokowanych i zgorszonych nikt nie liczy. Impreza, której celem jest promowanie „miłości", wzbudza od samego początku wiele kontrowersji. I wcale to nie dziwi, bo przecież to, co można zaobserwować na berlińskiej paradzie techno, jest raczej promocją łatwego i traktowanego jako sport seksu - bez zobowiązań - oraz wszelkich związanych z nim dewiacji niż miłości, która prowadzi człowieka do szczęścia i rozwija go.

Oglądając relacje z Love Parade, trudno przeoczyć polskie flagi, których jest wcale niemało. Największym symbolem jedności polskich fanów techno nie są jednak nasze narodowe flagi w Berlinie, ale Parada Wolności w byłej stolicy polskiego przemysłu włókienniczego - Łodzi, która od sześciu lat gromadzi fanów tej muzyki z Polski i zagranicy. Impreza zaczyna się zawsze w centrum miasta, a kończy w hali sportowej, w której organizowane jest Mega Party. Podobnie było i w tym roku. Od godziny 15.00 z głównej sceny i dziewięciu ciężarówek ustawionych wzdłuż alei Marszałka Piłsudskiego serwowana była muzyka, a punktualnie o godzinie 19.00 pochód wyruszył w kierunku hali sportowej.

Organizatorzy polskiej Parady Wolności nie ukrywają dumy z faktu, że stworzyli największe wydarzenie techno w tej części Europy i otwarcie przyznają, że wzorem dla tej imprezy jest jej „starsza siostra" z Berlina. Informację tę przekazują polskie media, w związku z czym każdy przeciętny Polak kojarzy to, co dzieje się pod koniec września w Łodzi, z często bardzo gorącymi obrazami z sierpniowej Love Parade w Niemczech, a muzyka techno wiązana jest przede wszystkim z narkotykami, wyuzdanym seksem i hukiem pozbawionym melodii. Zapewne część sponsorów i propagatorów tej imprezy chciałaby, aby ten scenariusz stał się rzeczywistością, ale czy w Polsce, słynącej na całym świecie ze swego katolicyzmu i miłości do papieża, można wiernie odtworzyć atmosferę „berlińskiego pochodu"?



Tancerze, słuchacze, gapie

Obserwując, zwłaszcza w telewizyjnych relacjach z Parady Wolności, anonimowy tłum dziwnie ubranych ludzi, tańczący niczym w transie do dynamicznej muzyki techno, można pomyśleć, że tak! Jednak tłum składa się z pojedynczych ludzi, z których każdy jest inny, każdy ma swoje zdanie, światopogląd. A więc kto i po co przychodzi na Paradę Wolności? Z tym pytaniem krążyłem wśród młodych ludzi, którzy już od wczesnego popołudnia przelewali się po centrum Łodzi. Szes-nastoletnia **Justyna** zapytana, dlaczego tutaj jest, odpowiedziała: *- Bo tu spotyka się wielu ludzi, którzy nie tylko słuchają techno, ale i hip-hop'u, drum'ów, itp.* Stali uczestnicy łódzkiej parady, do których zalicza się **Piotrek**, dodają: *- Generalnie rzecz biorąc przychodzimy tu dlatego, że jest to impreza cykliczna. Kiedy byłem tu pierwszy raz cztery lata temu, bardzo mi się spodobało i od tamtej pory pojawiam się tu regularnie. Szczerze powiedziawszy to przychodzę tu również z sentymentu.*

Po kilku godzinach przebywania w rozkrzyczanym tłumie i słuchania sędziowskich lub policyjnych gwizdków, na których gwizdano w rytm puszczanej muzyki, miałem wrażenie, że 30% przybyłych bawi się na całego przy ulubionych DJ'ach, a pozostałe 70% to zwyczajni ciekawscy i gapie. Generalnie, tych fajnie i odlotowo poubieranych ludzi, którzy tworzą atmosferę takich imprez, było stosunkowo niewielu. Mimo to czuło się bardzo radosną i miłą atmosferę wspólnej zabawy! W tłumie gapiów i bawiących się, których większość stanowili uczniowie szkół średnich, można było spotkać również tak nietypowe obrazki, jak np. starsze bo już sześćdziesięcioletnie małżeństwo.

- Jak podoba się Państwu ta impreza?

Pani: - *Bardzo, bardzo, co roku tu przychodzę.*

Pan: - *Moja żona namawiała mnie od rana, żeby tu przyjechać, co miałem zrobić?*

- Często słyszy się, że młodzi ludzie, którzy tu przychodzą, biorą narkotyki, zachowują się obscenicznie, są po prostu aspołeczni?

Pani: - *Ja nic takiego tu nie zauważyłam, może kilka osób.*

Pan: - *Bardzo grzecznie, kulturalnie, nie ma rozbijania, przepychania, jeden ustępuje miejsca drugiemu, bardzo fajnie.*

Opinię tę potwierdziła zarówno policja, jak i służby sanitarne, które tego wieczoru nie miały zbyt wiele pracy, co w Łodzi, która znana jest m.in. z wybryków pseudokibiców Widzewa czy ŁKS-u, jest doprawdy godne odnotowania.

Nas rajcuje tylko muzyka

Nie da się ukryć, że tu i tam widać było podejrzanie wyglądające grupki podpitych wyrostków zajmujące się wszystkim, tylko nie słuchaniem muzyki. Na szczęście nie zdominowały one obrazu całej parady. Zapytajmy o rolę, jaką odgrywają na imprezach techno osławione narkotyki. I choć na kilku stronach poświęconych polskiej scenie techno znalazłem całe działy poświęcone narkotykom - konkretnie sposobom ich zażywania i skutkom działania, to postawa zapytanych przeze mnie polskich fanów techno zadziwiająco odbiega od przewidywanego stereotypu.

- *Każdy ma swój rozum, i czy on weźmie, czy nie, to jest jego sprawa!* - to jedna z wypowiedzi. Inna: - *Może oni po prostu tego potrzebują, może to nadaje im - nie wiem - sensu życia. Ale równie dobrze można się bawić bez narkotyków. Taka jest prawda. Ale jeśli mają taką potrzebę, to jest to tylko i wyłącznie ich wybór, ich życie, ich decyzja.* I jeszcze **Martyna:** - *Jeśli kogoś nie rajcuje muzyka, to bierze narkotyki. Osobiście nie bierzemy, nas rajcuje tylko muzyka!*

Tak więc zawsze są ci inni, „ktosie", ale nie my. Aby sprawdzić, na ile wiarygodne były te deklaracje, należałoby zapytać dealerów. Oni najlepiej wiedzą, ile zarobili tego dnia na sprzedaży „kwasików" i innych „wynalazków". Tak więc odpowiedź nie padnie, a do pytania o narkotyki z ostrożności dopiszmy dwa kolejne. Dopiszmy chociażby dlatego, aby nie stwarzać pozoru bycia naiwnym.

Największym bez wątpienia narkotykiem, który przyciągnął do centrum Łodzi kilka tysięcy ludzi, była jednak muzyka. Kontrkultury młodzieżowe, tworzone na falach określonych gatunków muzyki, do których należy również techno, nie są niczym nowym. Jednak o ile inne subkultury zawsze miały jakieś ideały, o które zawzięcie walczyły, to tutaj trudno mówić o jakiejś sprecyzowanej ideologii. Dlaczego więc „kultura techno" osiąga aż tak olbrzymie wymiary?

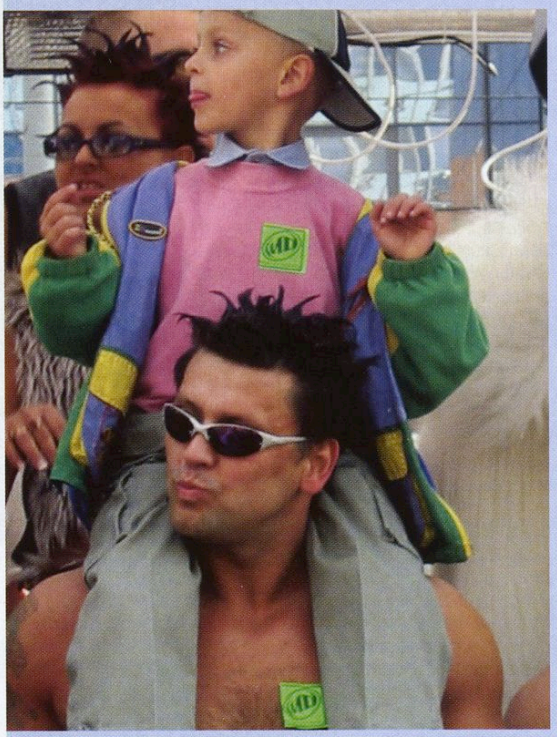
- *Może właśnie dlatego* - odpowiada jeden z uczestników Parady Wolności - *że tu nie ma żadnej ideologii, a jest tylko taniec i zabawa... Ludzie po prostu się uwalniają, odreagowują stresy i takie inne...* - *Poza tym to jest też czas, kiedy można „podziwować"* - dopowiada jego dziewczyna. - *Popatrz na ludzi, jak oni wyglądają! Przecież nikt z nich nie ubiera się tak na co dzień, tu możesz być przez chwilę kimś innym.*

Kościół i muzyka - dwie różne rzeczy

Pytałem również wprost o wiarę, religię, Boga. Moi rozmówcy byli bardzo otwarci na takie tematy i w sposób bezpośredni udzielali odpowiedzi.

- Czy zgadzacie się ze zdaniem, że ludzie, którzy tu przychodzą nie mają nic wspólnego z wiarą, Kościołem?

Dziewczyna: - *Kościół i muzyka to są dwie różne rzeczy. Myślę, że Kościół nie powinien się w ogóle w to wszystko mieszać. Ja nie uważam, że to demoralizuje jakoś ludzi, to jest raczej forma zabawy, wyluzowania, wyładowania się - to jest przecież potrzebne każdemu.*



- A czy słyszeliście o tym, że są chrześcijańscy twórcy techno, którzy za pomocą swoich rytmów głoszą Dobrą Nowinę o tym, że Jezus nas kocha?

Piotrek: - *Szczerze powiedziawszy nie, ale na pewno nie mielibyśmy nic przeciwko. Gdyby to była rzeczywiście taka muza, jaką tu się podaje, to chętnie bym tego posłuchał, a to, co MC przekazuje ludziom, to już jest jego sprawa! Ludzie by to przyjęli, choć reakcje na pewno byłyby różne!*

- Panuje taka opinia, że ludzie, którzy przychodzą na Paradę Wolności, to ludzie niewierzący, którzy nie mają nic wspólnego z Kościołem, moralnością i wszystkimi tymi sprawami. Czy popieracie to stwierdzenie?

Ania: - *Nie, ja nie popieram, bo ja wierzę i myślę, że połowa z tych ludzi, którzy tu dzisiaj przyszli, też wierzy!*

Martyna: - *Moim zdaniem wiara nie ma nic wspólnego z muzyką.*

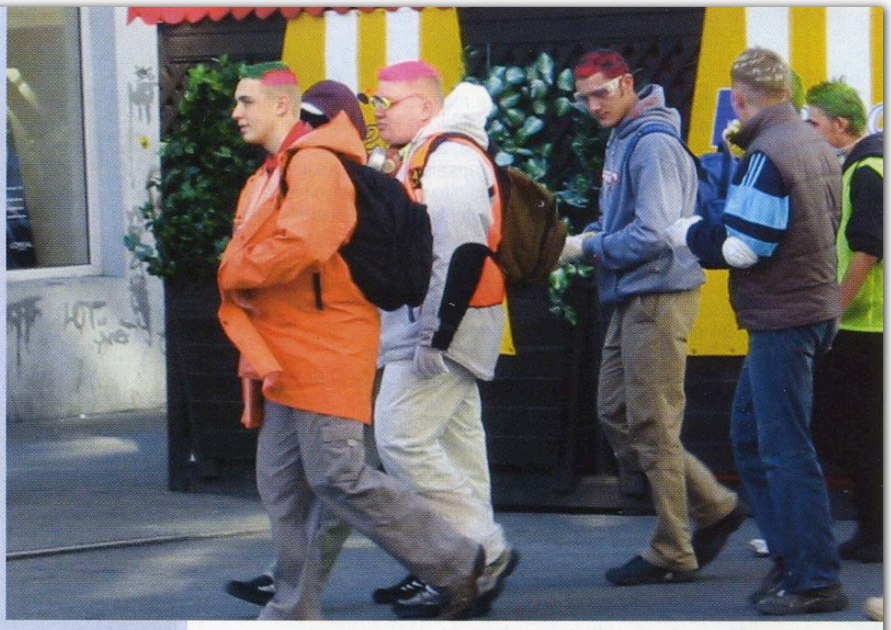
- *Jutro jest niedziela, czy w związku z tym będzie was można spotkać na Mszy świętej?*

Ania: - *Zależy, jak będziemy się jutro czuły, he, he...*

Bardziej zdecydowana była Magda, która bez najmniejszego skrępowania wobec znajomych oświadczyła, że w każdy pierwszy piątek miesiąca chodzi do spowiedzi, a w niedzielę do kościoła.

Taką odpowiedzią „ostro wyglądających" dziewczyn nie byliby zapewne usatysfakcjonowani sponsorzy jednej z ciężarówek, na której ubrani w księżowskie sutanny młodzieńcy tańczyli w towarzystwie rozngliżowanych pań. Obok wisiały wielkie postery z napisami „Byli księża demaskują Kościół". Z tym zdaniem polemizować nie będę, raczej złożę wyrazy współczucia. Byłym księżom, zakładając oczywiście, że z eks-duchownymi mieliśmy do czynienia, a nie z przebierańcami wynajętymi w celach reklamowych przez antyklerykalne pismo.

Większość młodych ludzi, zapytanych o to, czy Parada Wolności zawiera jakieś antyreligijne podteksty, odpowiedziało tak, jak **Paulina:** - *Moim zdaniem jest to nieprawda. Techno to po prostu rodzaj muzyki, którego słucha pewna część młodzieży. Tego nie można porównywać do religii. Bo religie są różne, tak samo różna jest muzyka. Jest hip-hop, jest soul, jest dance, drum's, techno itd. To jest na tej zasadzie. Każdy słucha tego, co lubi, i każdy wierzy w to, co chce. Ktoś może słuchać popu i nie wierzyć w Boga. W sumie przyjęło się tak, iż osoby, które słuchają heavy metalu nie lubią Boga. Większość moich znajomych słuchających tej muzyki*



ma właśnie różne pojęcie na ten temat. Nie prawda jednak, że techno jest przeciwne Bogu i że są tam jakieś podteksty.

Takie jest zdanie młodzieży. Ale czy zaobserwowane fakty przemawiają na jego korzyść? Bo skoro łódzka techno - parada pozbawiona jest wszelkich podtekstów, to w jakim celu zorganizowana została ta maskarada z księżmi, grupą notabene najmniej związaną z prezentowaną tego dnia muzyką? Naiwni mogliby pomyśleć, że skoro tegoroczna Parada Wolności była jednym z punktów promującego Łódź Festiwalu Czterech Kultur, to „ciężarówka z księżmi" była promocją polskiego katolicyzmu. W związku z tym, gdzie podziały się trzy pozostałe platformy z żydowskimi rabinami, prawosławnymi batiuszkami i protestanckimi pastorami?

Po tak prostej analizie sytuacji można pokusić się o stwierdzenie, że chociaż większość przyszła tu raczej wyłącznie dla muzyki, to jednak jest ktoś, kto wykorzystując lubianą przez młodzież muzykę i atmosferę zabawy chce przekazać czy wręcz narzucić jej konkretne treści i poglądy. Może to kogoś zdziwić, ale muzyka i koncerty już od dawna są miejscem walki przeróżnych opcji politycznych czy też systemów filozoficznych o młodzież. Każdy specjalista od socjotechniki (czyli manipulowania tłumami) wie, że nie ma lepszego sposobu dotarcia do młodych ludzi, jak przez muzykę, której oni chętnie słuchają. Jak widać, Parada Wolność wykorzystywana jest również jako poligon dla podobnych działań. I choć większość polskiej młodzieży wychowanej w duchu chrześcijańskich czy też katolickich wartości jest jeszcze cały czas trudnym do manipulacji materiałem, to zdania typu *„Ja jestem bardzo wierząca. Ja wierzę w Boga, ale nie wierzę w Kościół"* nie należą już do rzadkości. Kto jest temu winny? Wielu. W tym także duszpasterze, którzy nie odpowiadają na potrzeby młodych. Ważny, jeśli nie decydujący głos należy na tym polu do tych, którzy za pomocą muzyki sieją zamęt w młodych duszach i umysłach. Tak więc, czy w muzyce techno przekaz naprawdę jest nieważny?

Piotrek: - *Jedno i drugie jest ważne. Muzyka pociąga ludzi, ale MC ma też dużo do powiedzenia.*

- No to jaki jest przekaz w techno?

Piotrek: *Żeby ludzi trochę wyzwolić, dać im trochę luzu. Techno rzeczywiście kojarzy się z tym, że ludzie są naćpani, ale tak jak mówił były prezydent Łodzi: „przyprowadźcie mi takiego gościa, to wtedy w to uwierzę". Na innych imprezach ludzie też wypiją, coś tam przypalą i nikt się tego nie czepia, a techno ma taką złą opinię może dlatego, że jest dla wielu czymś nowym, nieznanym.*

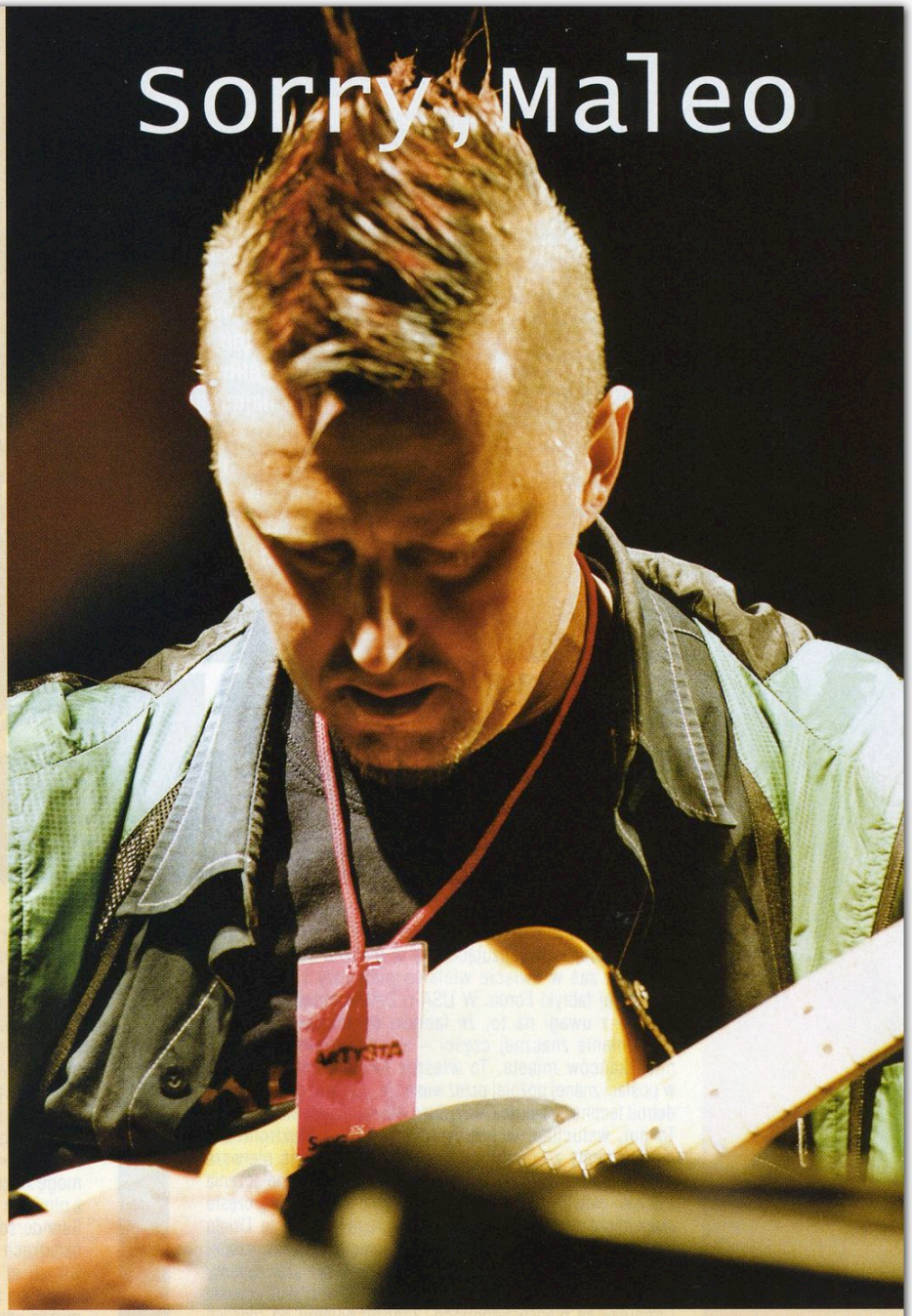
Zatem...

A więc kto i po co przychodzi na Paradę Wolności? Osobiście przekonałem się, że tu przychodzi każdy i nie ma jakiejś jednej określonej grupy uczestników. Każdy szuka przede wszystkim krótkiej ucieczki od codziennych zmartwień i szarzyzny obowiązków. Pośród tej masy ludzi znajduje się niewielu wiernych naśladowców niemieckiej Love Parade, Być może dlatego, że jeszcze wielu Polaków pamięta prostą prośbę „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj" i wie, co jest białe a co czarne. Przypatrując się jednak od kilku lat relacjom z Berlina i widząc setki tysięcy ludzi, którzy zachowują się tak, jakby granica między dobrem a złem przestała istnieć, zadają sobie czasem pytania: dokąd zaprowadzi nas ta nasza Parada Wolności? ■

zdjęcia: Grzegorz Cugała



Sorry, Maleo



No i stało się. Jest takie powiedzenie, że przyjdzie „kryska na Matyska". Nikomu chyba nie trzeba tłumaczyć, cóż zacny ów zwrot znaczyć może. Takoż i na mnie owa kryska przyszła. Wszystko przez pewne zamieszanie, jakiego sprawcą niechcący się stałem.

W ostatnim numerze RUaH opisałem początki Drogi Neokatechumenalnej, by na tym tle wskazać, dlaczego w tejże właśnie rzeczywistości Kościoła nastąpił taki wysyp nawróconych („nawróconych"?) muzyków rockowych. Szukając odpowiedniej formuły dla tego niełatwego przedsięwzięcia postanowiłem nie komentować wypowiedzi chłopaków, zastosować formułę **echa Słowa** - dzielenia się wydarzeniami z życia w świetle Słowa, które jest jednym z charakterystycznych znaków Drogi. Niestety, tak się złożyło, że dysponując ograniczonymi możliwościami tak, czasu jak i sposobu, najczęściej pytałem o to doświadczenie Drogi przez telefon i notowałem sobie na bieżąco. Zadufany w sobie puściłem do druku zniekształcone wypowiedzi, nadwyrężając zaufanie tak chłopaków, jak i Wydawcy, bo nie dość, że ja napisałem nieprawdę, to jeszcze zostało to wydrukowane i „poszło w świat". Okazało się, że z wypowiedzi Darka Malejonka, jakimś bliżej nieznanym mi sposobem, wyrzuciłem sformułowanie *„ludzie mojej branży..."* zmieniając kontekst jego wypowiedzi na: *„Na pewno ludzie mego pokroju narażeni są na różne pokusy (problemy z małżeństwem) [...]"* i powodując tym samym dosyć sporych rozmiarów przykre zamieszanie. Również zdanie: *„Jako muzyk, znajduję się w bezustannym stresie, związanym z osiągnięciem sukcesu, <<utrzymywaniem się na powierzchni>>. Mam więc do czynienia z ostrą rywalizacją [...]"* jest nieprawdziwe z tego samego powodu – chodziło nie o Darka personalnie, lecz o ogólną charakterystykę „świeckiej" branży muzycznej.

Wszyscy, którzy znają Darka wiedzą, że powyższe nigdy i pod żadnym pozorem nie mogłoby się doń odnosić i jest po prostu nieprawdą (Boże, jak pomyślę, ilu znajomych dzwoniło do niego z zapytaniem, o co chodzi, to robi mi się słabo) narażającą go z mojej (niezamierzonej co prawda, ale jednak) winy na spore nieprzyjemności, z których największą jest chyba urażona godność a najmniejszą kąśliwa uwaga Litzy, że teraz będą go musieli pilnować... Zresztą w usta tego ostatniego włożyłem wypowiedź Darka o samobójczej śmierci wokalisty INXS, co dopełniło zniszczenia i przepełniło czarę goryczy. Niestety, jak się naważyło piwa, to trzeba je wypić. W normalnych warunkach chyba bym się prędzej pochlastał niż przyznał do błędu i początkowo chciałem wszystko zwalić na krótki termin (jedna noc), niewyspanie wynikające z narodzin trzeciego dziecka itd., itp. Jednakże przyjaźń z Darkiem cenię sobie o wiele bardziej niż dobrą opinię o sobie samym (zwłaszcza w oczach innych), wobec czego po raz kolejny proszę Darka, Wydawcę i Czytelników o przebaczenie. Gdybym był dziennikarzem, miałbym już przechlapane w zawodzie (ha!), ale skoro nim nie jestem, to proszę o wyrozumiałość. Obiecuję, że od tej pory każda wypowiedź osoby trzeciej zamieszczana będzie przeze mnie tylko i wyłącznie po uprzedniej autoryzacji.

Jaki więc morał płynie z tej sytuacji? Nie oszukujmy się. Pan Bóg mocno potrafi doświadczyć człowieka, wszak nic tak nie boli, jak urażona pycha. Nic również w pychę bardziej nie wpędza od pochlebstw. Nawet mówi się, że najłatwiejszy sposób na wysłanie kogoś do piekła to prawić mu pochlebstwa. A tych ostatnich nie szczędziłem sobie sam od momentu, kiedy Marcin zaproponował mi, żebym napisał coś dla RUaH (artykuły o HC) i kiedy zostało to wydrukowane. Następne teksty tylko mnie w tym przeświadczeniu podtrzymywały, a prawdziwym gwoździem do trumny była pochwalna recenzja mojego artykułu o P.O.D. wydrukowana na łamach Gazety Wyborczej. Nawet szwagier do mnie zadzwonił, żeby mi o tym powiedzieć. Tak więc, jak widzicie, moi drodzy, nie znamy dnia ni godziny. Z artykułu o nawróconych („nawróconych"?) muzykach rockowych więcej szkody wynikło niż dobrego, a wszystko to zawdzięczać mogę tylko i wyłącznie własnej pysze. Nie bez kozery o. Augustyn Pelanowski mówi, że bardzo często łaska nie jest niczym miłym i przyjemnym, kiedy się jej doświadcza. Wręcz przeciwnie – jest to wydarzenie przykre i bolesne, które ma nas wyrwać ze stanu samozadowolenia, w którym się znajdujemy, a który może być bardzo dla naszego zbawienia niebezpieczny. No bo skoro jestem taki świetny, to na co Bóg jest mi potrzebny??? Na to pytanie niestety już każdy z Was będzie musiał sobie odpowiedzieć sam. Odwagi!

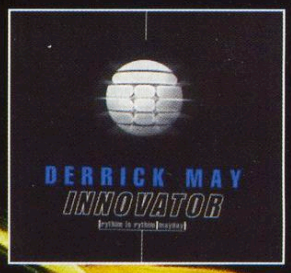
Grzegorz Wacław aka dziki

fot. Krzysztof Raczyński

W 1991 roku brytyjski duet LFO, uznawany za pionierów techno w Europie, umieścił na swojej płycie „Frequencies" pewną deklarację. W intro do płyty, zniekształcony przez elektroniczny filtr głos, pytał: „House. What is House?" (house był wówczas terminem zbiorczym dla różnych odmian muzyki tanecznej – przyp. M.H.). Odpowiedź umieszczona zaraz potem brzmiała: „Technotronic, KLF or something you live in. To me house Phuture Pierre Fingers Adonis, etc. The Pioneers of the Hypnotic Groove, Bryan Eno, Tangerine Dream, Kraftwerk, Depeche Mode and the Yellow Magic Orchestra. This Album is Dedicated to You". Ta dedykacja jest ważna co najmniej z dwóch powodów – po pierwsze ma wartość historyczną, po drugie kreśli spektrum zainteresowań młodych wówczas ludzi, współtworzących kolejną muzyczną rewolucję. Dla osoby zainteresowanej muzyką współczesną powstaje jednak pytanie: dlaczego Gez Varley i Mark Bell pominęli w podziękowaniach faktycznych twórców muzycznego gatunku, który na ponad dekadę owładnął umysłami, duszami i ciałami młodzieży na całym świecie?
Przenieśmy się zatem do USA.

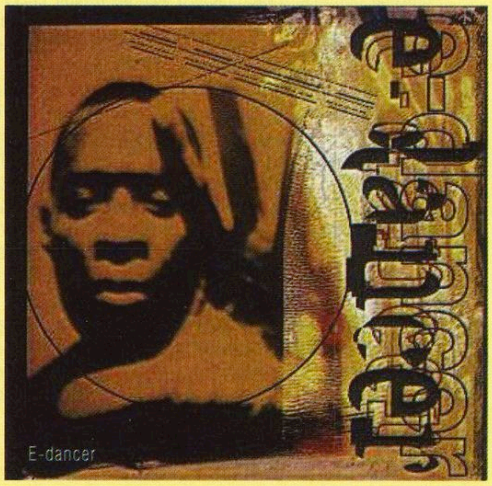
DETROIT

KONTRA RESZTA ŚWIATA



Detroit...

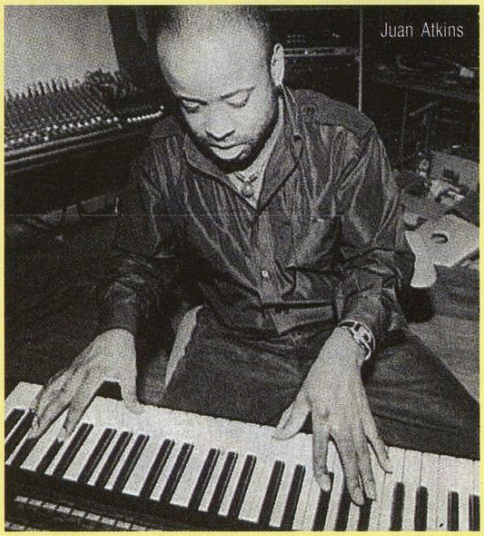
...to miasto w Stanie Michigan znane w świecie muzycznym z doskonałej, specjalizującej się w muzyce soul wytwórni Motown, zaś w świecie wielkich pieniędzy i przemysłu, z potężnej fabryki Forda. W USA o Detroit mówi się „Motor City" - z uwagi na to, że fabryka samochodów dawała zatrudnienie znacznej części – również czarnoskórych – mieszkańców miasta. To właśnie tutaj powstało techno w postaci znanej później przez wiele lat. „Ojcami chrzestnymi" detroit techno są Derrick May, Juan Atkins i Kevin Saunderson. To oni, wsłuchani w czarny funk lat 70. i elektroniczne eksperymenty z Europy, postanowili sami zakupić pierwsze syntezatory i połączyć dwie, na pozór niemożliwe do połączenia estetyki – witalny, emocjonalny, taneczny funk z chłodną, często akademicką muzyką elektroniczną ze Starego Kontynentu. Działo się to pod koniec lat 80. Ciekawe, jak tłumaczą istotę stworzonej przez siebie muzyki jej twórcy. Derrick May: „Zaczęliśmy uprawiać ten rodzaj muzyki nieświadomie, bo wszystkie uczucia i impulsy są nieuświadomione. Zapożyczyliśmy od maszyn dźwięk i zaczęliśmy im nadawać brzmienie, którym nieświadomie nawiązywaliśmy do przemysłu, mechaniki, maszyn i elektroniki. Dlaczego? Dlatego, że pochodzimy z Detroit. Tutaj mamy swoje rodziny i przyjaciół. Detroit to nasze środowisko naturalne, które nas uformowało przez swoje oddziaływanie. Zaczęliśmy tworzyć muzykę techno, nie uświadamiając sobie w pełni, dlaczego jest ona taka, a nie inna. Komponując tę muzykę odtwarzaliśmy jednocześnie nasze środowisko naturalne. Muzykę maszyn. Elektroniczne techno z Detroit". Ta opowieść przypomina wprawdzie marksistowską zasadę „byt określa świadomość", ale jednocześnie wskazuje na głęboko ludzki charakter komponowanej przez Amerykanów muzyki elektronicznej. Stanowi o jej autentyzmie, co z tego, że odrobinę naiwnym? Jeśli dodamy do tego deklaracje Maya typu: „Tworzę muzykę techno, jestem w pełni nakierowany na przyszłość, ale właśnie dlatego szanuję przeszłość", otrzymamy jakże odbiegający od sztampowego patrzenia na zjawisko electronic dance music - wizerunek konserwatywnej elity techno. Żeby zasiać w czytelniku jeszcze większe wątpliwości, zacytuję zwierzenia kolejnych kompozytorów. Carl Craig – filar tzw. drugiej generacji twórców Detroit: „Nie piję ani nie biorę narkotyków. Wiem, że istnieje LSD, ale tylko dlatego, że czytałem o tym, jak byłem młodszy. Tak naprawdę nie wiem nawet, jak wygląda. Znam tylko ziele, ponieważ niektórzy moi znajomi próbowali mnie nauczyć je palić, kiedy byliśmy dzieciakami. Bez powodzenia zresztą". Derrick May nie pozostawia w tej sprawie wątpliwości: „Nigdy nie brałem żadnych narkotyków, nigdy nie paliłem jointa, nigdy nie brałem exstasy, nie wąchałem koki. Nigdy nie próbowałem żadnego <<draga>> w swoim życiu, ani razu, nigdy. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie nie chcą być sobą. Co jest z nimi nie tak?" Nawiasem mówiąc m.in. Carl Craig i Kevin Saunderson na pierwszym miejscu listy podziękowań (na okładkach płyt) umieszczają samego Pana Boga (określając Go „first and foremost"...) W następnej kolejności pojawiają się – a jakże! – żony i dzieci. Oczywiście zawsze można powiedzieć, że to tylko czcze deklaracje. Być może, ale przynajmniej są one JAKIEŚ.



Co jest z nimi nie tak...?

Wszystko wskazuje na to, że tkanka, na której wyrosło techno była zdrowa, a impuls do stworzenia nowej estetyki – szczery. Co więcej, jeżeli posłuchamy takich płyt jak „Heavenly" (E-Dencer vel Kevin Saunderson), „Programmed" (Innerzone Orchestra vel Carl Craig) czy „Innovator" (Derrick May), zauważymy, że wypełnia je muzyka na wskroś ludzka, przepojona uczuciami, krótko mówiąc – skrajnie odmienna od „oficjalnego" techno, serwowanego w godzinach popołudniowych na kanale muzycznym VIVA. O czarnych muzykach ze Stanów mówi się nawet „romantycy techno".

Niestety, w pewnym momencie Europejczycy zapomnieli o „ojcach założycielach" z Detroit i przejąwszy ich pomysły kompozycyjne, zaprzęgli je do prania mózgów, uskutecznianego nieustannie podczas Love Parade czy Mayday. Zapominając o Detroit, zapomnieli również o wartościach i korzeniach całego nurtu. Można powiedzieć, że kolejny Alfred Nobel wymyślił dynamit (muzyczny!), by jego następcy wykorzystali go do niecnych celów. Oczywiście sprawa nie jest tak prosta. Na wizerunek techno wpłynęły również wynalazki czysto europejskie - muzyka industrialna i Electronic Body Music (m.in. Front 242, Nitzer Ebb, DAF). Oba gatunki stanowią niewątpliwie drugi ważny korzeń techno. Poprzez skrajnie nieludzkie dźwięki maszyn i fabryk obnażały one duchową mielizną późnego kapitalizmu. Europejskie techno pożyczyło sobie od nich jedynie zdehumanizowaną estetykę, porzucając podbudowę ideową. Jak zauważył jeden z moich znajomych – jeżeli hip-hop jest współczesnym punkiem, to minimal techno stanowi dzisiaj odpowiednik najcięższych odmian metalu. To właśnie boom agresywnych odmian techno spowodował odejście od kanonów stworzonych w Motor City. Ciekawe, że May, Saunderson i Atkins bardzo wyraźnie widzą tę amnezję tuzów techno z Berlina, Wiednia czy Londynu. Z odpowiednim szacunkiem spotykają się dopiero w dalekiej Japonii, gdzie wydają ekskluzywne albumy, niedostępne na rynku europejskim.


Juan Atkins

Koniecznie trzeba również wspomnieć o odmiennej motywacji do tworzenia muzyki. W Stanach Zjednoczonych muzykę techno często tworzyli ludzie bezrobotni, zasilający najniższe warstwy społeczne. Inaczej działali młodzi Niemcy czy Anglicy. Zarówno muzycy, jak i bywalcy klubów, pochodzili tu z bogatych domów, a co za tym idzie, stać ich było na bardzo drogi sprzęt elektroniczny i oprogramowanie. Naturalnie, również dlatego techno tak dobrze się tu przyjęło i rozwijało. Ta fundamentalna różnica przyczyniła się także do tego, że w USA techno wypisane było na sztandarach walki z „systemem" (np. legendarne Underground Resistance),



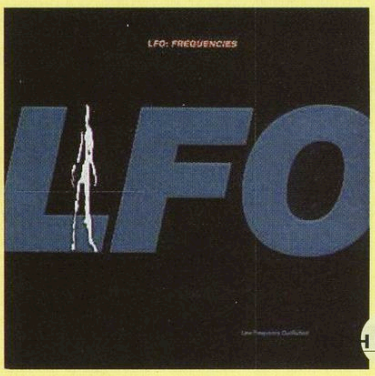
a w Europie identyfikowane jest przede wszystkim z hedonizmem, narkotykami i ubóstwem moralnym.

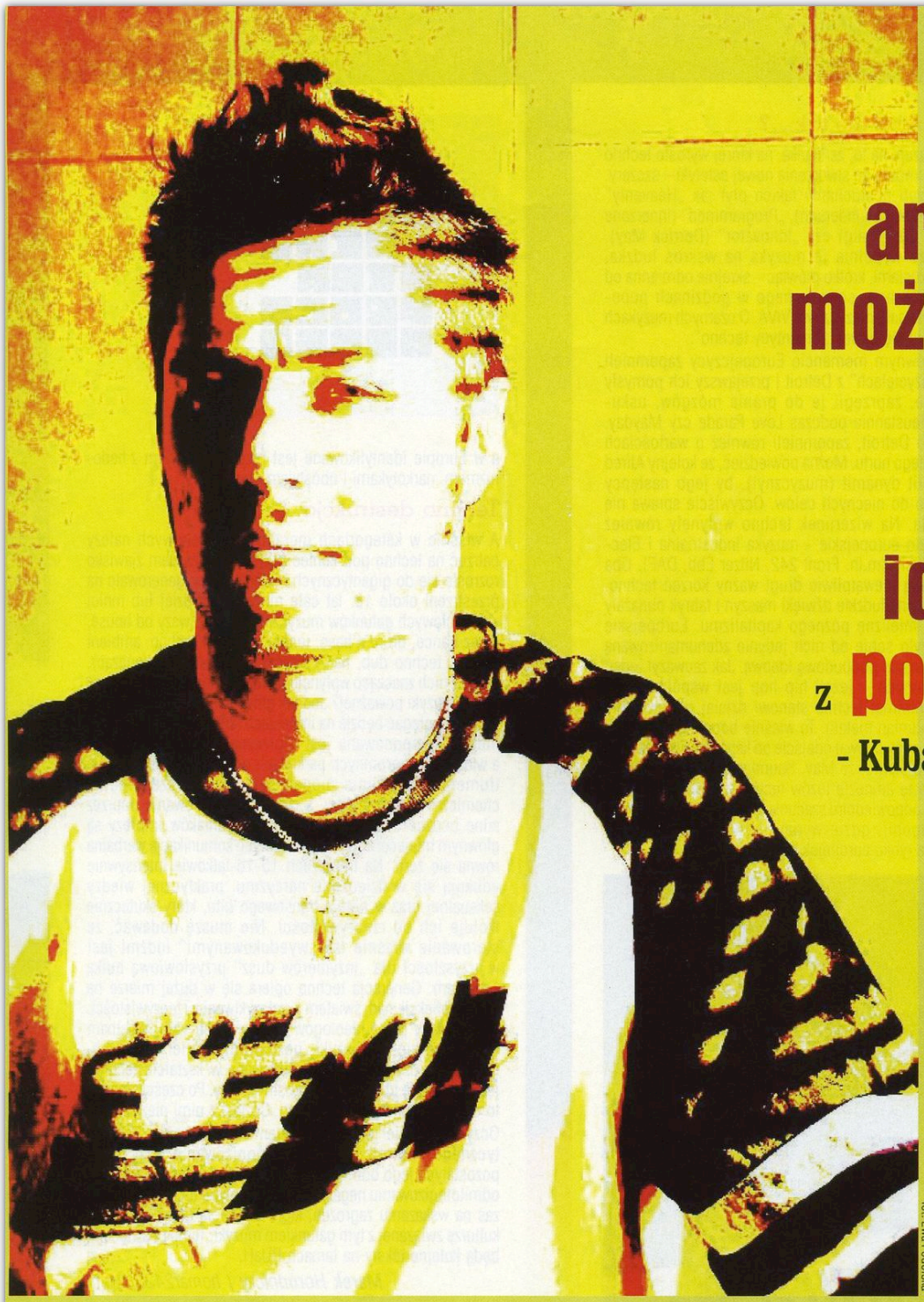
Techno destrukcja

A właśnie w kategoriach moralnych i duchowych należy patrzeć na techno pod koniec 2002 roku. Owszem zjawisko rozrosło się do gigantycznych rozmiarów i wygenerowało na przestrzeni około 18. lat całe mnóstwo bardziej lub mniej wartościowych gatunków muzycznych (począwszy od house, przez trance, drum'n'bass, jungle, minimal techno, ambient techno, techno dub, na – uwaga! – post-techno kończąc). Wiele z nich znacząco wpłynęło na rozwój popu, rocka, a może nawet muzyki poważnej? Jednak główny nurt techno polegał, polega i polegać będzie na imprezach tanecznych. Większość muzyki komponowana jest z przeznaczeniem na parkiet, a właśnie na ogromnych parkietach odbywa się manipulacja tłumem, sterowanie nienawiścią, rozpowszechnianie chemicznych narkotyków, a również stymulowanie poprzez silne bodźce erotyczne. Dla techno-maniaków imprezy są głównym miejscem spotkań, na których komunikacja werbalna równa się zeru. Na imprezach 15-16-latkowie intensywnie edukują się w dziedzinie narcyzmu, praktycznej wiedzy seksualnej oraz w rytmie transowego bitu, który skutecznie izoluje ich od rzeczywistości. Nie muszę dodawać, że sterowanie właśnie tak „wyedukowanymi" ludźmi jest w przyszłości dla „inżynierów dusz" przysłowiową bułką z masłem. Generacja techno opiera się w dużej mierze na braku refleksji nad światem i zakrzykiwaniu rzeczywistości. Postulowany przez ideologów techno (Sven Vath, Westbam i inni) metajęzyk muzyki, pozbawiony barier rasowych, religijnych czy językowych, podawany w kształcie techno, jest niebywale ubogi lub po prostu - pusty. Po części stanowi to odpowiedź na pytanie Maya: „Co jest z nimi nie tak?"

Oczywiście, nie jest moim celem idealizowanie „romantycznego" detroit techno i demonizowanie wszystkich pozostałych jego odmian. Zależy mi raczej z jednej strony na odmitologizowaniu negatywnego stereotypu techno, z drugiej zaś na wskazaniu zagrożeń, które ukryte są głównie w subkulturze związanej z tym gatunkiem muzyki. Temu poświęcone będą kolejne teksty na łamach RUaH.

Marek Horodniczy / *homar242@wp.pl*





fot. Ewa Podolska

artysta może być ikoną albo idolem z podolem

- Kubą Podolskim z grupy Triquetra

rozmawia Grzegorz Wacław Dziki

Kiedy zwróciłem się do Ciebie z prośbą o wypowiedź do artykułu o Neokatechumenacie, bałeś się, że to może być prowokacja. Nie masz takich obaw tym razem? I skąd w ogóle mam taką opinię u Ciebie???

Droga neokatechumenalna jest bardzo młodą rzeczywistością w historii Kościoła powszechnego i, jak sam pewnie wiesz, doświadcza ona wielu ataków, stąd moja obawa, aby swoim nieopatrznym zdaniem nie mnożyć trudności w jej zrozumieniu. Wielkiego zdania na Twój temat nie mam, a ufam Ci aż na tyle, że za namową Kosy zgodziłem się pomóc w Twojej przeprowadzce w centrum Warszawy, czegoś nie wykorzystał /faktycznie, przeprowadzałem się na raty, ponad trzy miesiące to trwało, bo jako biedak nie miałem ani samochodu, ani pieniędzy. Pomogli mi bracia ze wspólnot - pozdrawiam i raz jeszcze dziękuję! - (przyp. autora)/.

Patrząc wstecz, w pomrokę dziejów, powiedz, kiedy dostałeś pierwszy instrument i dlaczego była to gitara?

Miałem wtedy około 12 lat i mama postanowiła, że pośle mnie i siostrę do ogniska muzycznego. Ją na pianino, a mnie na gitarę... Cóż, taki krzyż!

Jak wspominasz pierwsze próby gry na tym tyleż skomplikowanym, co tajemniczym instrumencie?

Etiudy, preludia, sonaty, sonatiny, ronda, scherza... Jak pasmo cierpień.

A teraz dużo ćwiczysz?

Na co dzień bardzo mało, a jeśli już, to gram standardy muzyki lat 60. i 70. bądź psalmy przygotowywane na liturgię. Poza tym oczywiście próby z moimi zespołami.

Czy jako młodociany artysta stałeś się obiektem szykan, kpin, czy może wytężonej troski swoich najbliższych?

Czas muzyki klasycznej się skończył, a rozpoczęła się era rumoru, więc mając -naście lat, przede wszystkim stałem się obiektem pytań moich rodziców: „Dlaczego ciągle grasz zamiast się uczyć?" Kryzys w szkole był dość spory. Doprowadziło to do tego, że chcieli mi zabrać instrument i zabraniali mi grać na próbach. Byłem zmuszony kłamać, iż oddałem moją gitarę kumplowi i mam lekcje w szkole do późna, gdy tak naprawdę wciąż graliśmy godzinami!

Kiedy po raz pierwszy nawiedziła Cię genialna myśl o założeniu zespołu? Jaką muzykę (i z kim) wtedy grałeś?

Było to wtedy, gdy z woli rodziców nie mogłem kupić wymarzonej MZ 150! Nie miałem prawa jazdy! A skoro tak, to w jednej chwili postanowiłem, że nie będę już więcej fanem motorów, a zostanę rock'n'rollowcem. Uzbierane pieniądze na cudo MZ 150 w ciągu tygodnia wydałem na elektryczną gitarę bez nazwy, która nie stroiła, ale za to była czarna! I na piec, który nigdy nie zagrał. Spadł z bagażnika roweru marki Wigry 3, którym wiozłem go do domu po jego zakupie. Wraz z kolegami z ulicy: Przemkiem Wojewodą - bębny, i Krzyśkiem Skarżyńskim - bas, graliśmy rumor w tempie jako nasz styl! Nota bene: później Przemek został perkusistą kultowej już blackmetalowej grupy Christ Agony, a Krzysiek - bardzo dobrym gitarzystą jazzowym.

Czy tak właśnie narodziła się gwiazda muzycznej Ostródy?

Jeśli pytasz o Triquetrę, to odpowiedź brzmi: nie! gdyż czasy, o których mówię, sięgają około 5 - 6 lat wcześniej. A jeśli pytasz o mnie, to ja co najwyżej mogę być Gwiazdorem w znaczeniu: św. Mikołaja lub „diad'a Maroza"!

W takim razie, jak to było z powstaniem Triquetry?

To trochę jak ze zmianą fryzury: osoba ta sama, a oprawa inna. Wraz z Paluchem i Kobzykiem tworzyliśmy już wcześniej trzon grupy pod inną nazwą, ale z powodu paru faktów nastąpiła „zmiana oblicza": zaczęliśmy grać dynamiczniej, zmienił się nieco skład, słowa znalazły swe realne odniesienie już tylko do Pisma i Pana. Będąc w Anglii w roku 1998, poznałem nowe słowo: „Triquetra" - polubiłem je za dwuznaczność.

Jak to dwuznaczność???

Słowo „Triquetra" jest nazwą figury geometrycznej, jak np. koło, pentagram czy kwadrat, więc dobrym odniesieniem jest tu dział matematyki - geometria. Natomiast figura ta po narysowaniu nabiera też znaczeń, jakie nadali jej ludzie. Jednym z nich we wczesnym chrześcijaństwie była nierozerwalność Trójcy Świętej. Triquetra zbudowana jest z jednej linii, zakreśla trzy narożniki (jako Osoby Boskie) i jeden wspólny obszar będący w centrum jako element jedności. Cokolwiek w niej zmienisz, sprawisz, że trzy już nie będzie równe jeden. Zobacz na szczytach gotyckich witraży: wszędzie są triquetry! (często w uproszczonej formie). A przecież istnieją jeszcze inne, pogańskie i celtyckie, znaczenia tej figury. Stąd dwuznaczność: geometria czy znaczenie, a jeśli znaczenie, to chrześcijańskie czy pogańskie?

Czy używałeś swojej pozycji artysty/członka zespołu, aby: a) brylować w towarzystwie, b) poderwać dziewczynę, c) realizować wzniosłe marzenia o karierze ?

3 X TAK! He, he, he!

A może coś więcej?? Fakty proszę...

Artysta może być albo ikoną, albo idolem. Gdy chodzi o idola, to - patrzy się na niego, a jeśli chodzi o ikonę, to - patrzysz poprzez nią na coś. Niestety ze smutkiem zauważam, że ikoną raczej nie jestem. Powiedziałem 3 x tak, ponieważ nie mam złudzeń co do siebie, choć najbliższa mi jest odpowiedź „c". Bo widzisz: towarzystwo ma swoje problemy, a dziewczyny bywają rozsądne.

Czyli co, jest jakaś kobieta w Twoim życiu (oczywiście oprócz Maryi)?

Oprócz Maryi jest jeszcze ta, która mnie urodziła - moja mama, oraz moja siostra.

Uuuu... nic o miłości nie powiesz? Nie ma czy chcesz chronić?

W pewnych sprawach trzeba być dojrzałym. W Izraelu prorocy zaczynali głosić, kiedy dojrzewali do tego. Zwykle był to 30. rok ich życia, patrz Chrystus, Izajasz, itd. Ja nie mam jeszcze trzydziestki. Mówię to z przymrużeniem oka, gdyż nie przywiązuję wagi do liczb, jednak chodzi mi właśnie o dojrzałość.

Jesteś kompozytorem, czy przede wszystkim tekściarzem? Skąd czerpiesz „natchnienie" dla swoich tekstów?

50% na 50%. Piszę o tym, co mnie spotkało, spotyka i może spotkać.

Kurczę, Podol, nie bądź taki enigmatyczny. Ja właśnie ze względu na pisane przez Ciebie teksty uważam Triquetrę za ważny zespół. Mógłbym nawet pokusić się o stwierdzenie, że dysponujesz (jako tekściarz) rzadkim zmysłem metafizycznej intuicji...

Dziękuję! Dyspozycyjność jest dzisiaj bardzo ważna, więc to chyba dobrze, że ją mam! (ha! ha! ha!). Zobacz - czepiam się słówek i bardzo zwracam uwagę na sens wypowiedzi u innych, stąd może bierze się solidna praca nad przejrzystością i logiką moich słów. Owszem: jest zawsze pewien margines dwuznaczności moich tekstów, w wyniku których np. powstała zażarta dyskusja na KDM-ie (www.kdm.pl - przyp.red.), ale prawdą jest to, że jeśli szukasz i chcesz je zrozumieć, to łatwo dostrzeżesz, że są bezwzględnie jednoznaczne. Bez-względnie! Każda nowa kultura czy prąd estetyczny operuje pewnym indywidualnym językiem. Innym mówią hip-hopowcy, innym hippisi, chciałbym i ja pisać na sposób nowy.

No, jeżeli o mnie chodzi, byłby to zupełnie stary sposób, zapoczątkowany już parę tysięcy lat temu („na szaber do nieba", to jak Izajaszowa „skrwawiona szmata dobrych uczynków")...

Ciekawa interpretacja... Spójrz, jeśli tak jest, to „szaber do nieba", oznaczający „skrwawioną szmatę dobrych uczynków", jest właśnie nowym językiem, opisującym te same, ważne treści, gdyż nowa kultura nowym językiem opisuje ten sam, stary świat. Nie zmieniam znaczenia, nie zmieniam treści, staram się używać jedynie innych słów, stąd właśnie mowa o nowym języku.

No właśnie. To, co mnie urzekło w Twoich tekstach, to nigdzie indziej nie spotykana „teologia przestępcza". Pełno u Ciebie wyrażeń typu: szaber, włam, kraść. A wszystko to w kontekście Nieba! Skąd Ci przyszło do głowy, żeby w sposób niegodny „dobrego" człowieka traktować rzeczywistość Niebieską?

Dla mnie to nie są jedynie wyrażenia, to historia życia... Owszem jest to „teologia przestępcza" o tyle, o ile zdasz sobie sprawę, że wobec Prawa jesteś przestępcą i gwałtownikiem. Wszyscy zbłądzili! I ja nie mam złudzeń, że właśnie taki jestem. Pan takich wytraci. Jest jednak klucz, jest nadzieja, bo oto Ewangelista Mateusz pisze, że „...Królestwo Niebieskie doznaje gwałtu i ludzie gwałtowni zdobywają je". I widzę podobny rodzaj emocji i przeżyć w trakcie mojego procesu nawracania się, jakiego doświadczałem, kiedy chodziłem na szaber kraść owoce, na wagary, czy robiłem cokolwiek innego, co można by nazwać „draką". To jakby zrobić coś nielegalnego, coś wbrew „nauce świata", porwać się na coś, na co inni nie mają odwagi! Zdobyć raj, nawrócić się! Wierzę, że skoro starcza mi odwagi na łobuzerstwo, to mogę zdobyć się na coś więcej, wykorzystując właśnie TĘ odwagę! Paradoksalnie, aby spotkać Pana, chcę wykorzystać wszystko; choćby najgorszą swoją cechę.

Nawet na forum dyskusyjnym KDM zarzucano Ci, że piszesz o pierdołach. Ja mam trochę inne wrażenie: jeśli ktoś nie dostąpił „łaski" bycia w grzechu („błogosławiona wina" - patrz: Exsultet śpiewany w Kościele w Wigilię Paschalną),



fot. Wales

poniżenia, rozpaczy; kto nie dokonał przestępstwa (w rozumieniu K.K.) i nie dostąpił ekspiacji (w rozumieniu P.K.), nie zrozumie „łobuzerskich" alegorii w Twoim wydaniu. A przecież Bóg jest „dobry i miłosierny, nieskory do gniewu i bardzo łaskawy". Po czym poznamy Jego miłość, jeśli nie (ze smutku w radość, ze śmierci do życia) przez to, że przygarnia nas, przestępców?

Wiesz, zamiast „pierdoły", powiedziałbym - „głupstwa": jako słowa, jako mówienie, jako przepowiadanie. I sam chyba zdajesz sobie sprawę, że nie każdego stać na ich „głupstwo". Pan daje to, czego człowiek dać nie potrafi: życie w wolności. Święty Paweł pisze: „Wszystko mi wolno, ale nie wszystko przynosi mi korzyść". Czasy są trudne, jeżeli nie masz daru rozeznania dobra i zła, to nie miej złudzeń, że daleko zajdziesz. Nie musi to być przestępstwo w rozumieniu K.K., ale sam z siebie człowiek wybiera tylko zło, ponieważ kradnę, kiedy nie pomagam żebrakowi na ulicy - bo to jest kradzież, jednak bardziej „plastyczny" jest „szaber". Pytasz, po czym poznać miłość Pana Boga. Rozejrzyj się dookoła - może przez piękno tego świata? Choć ja z uporem wracam do miłosierdzia. Pan daruje swym dłużnikom, a kocha bardziej ten, któremu darowano więcej. Ewangelista Łukasz przytacza słowa Chrystusa o Marii Magdalenie: „Komu mało się odpuszcza, mało miłuje". A ona naprawdę była świadoma swoich grzechów. Nie trzeba być od razu cudzołożnicą czy złodziejem (święci piszą o sobie, że są największymi grzesznikami - choć w oczach świata tak nie jest - aby mieć świadomość swojej nieprawości). Zgadzam się z Tobą, że ktoś, kto tego nie doświadczył, może mieć trudności w rozumieniu moich „łobuzerskich alegorii", jak to nazywasz, jednak są one daleko prostsze niż Mickiewiczowskie „czterdzieści i cztery". Widzisz, Ewangelia nie opiera się na emocjach, jak to jest np. z rock'n'rollem, ale na stosunkowo konsekwentnej logice.

A w jaki sposób trafiłeś do Neokatechumenatu? Czemu np. nie Odnowa Charyzmatyczna (nie jest moją intencją poróżnić te dwa ruchy, tak że - spoko!)?

To cudowne, ale od kiedy zacząłem odkrywać Kościół i słowo Boże, miałem intuicyjne pragnienie realizowania rzeczy, o których nie miałem nawet pojęcia, że istnieją. Czekałem na katechumenat, zapragnąłem realizować trójnóg wiary: słowo, liturgia, wspólnota, choć naprawdę o rzeczach tych dowiedziałem się wiele lat później. Nieraz siedząc w kościele wyobrażałem sobie jak to wyglądało w pierwotnym chrześcijaństwie: ukradkiem w jerozolimskich domach, nielegalnie w katakumbach. Jacy byli wtedy chrześcijanie, jaka była liturgia, jakie były znaki, aż do szczegółów: jakie były pieśni, jaki był ołtarz, jak byli ubrani prezbiterzy. Przymykałem oczy i widziałem ciemne pomieszczenie (z obawy przed Żydami i Rzymianami) i ludzi zgromadzonych wokół stołu, skąpe światło świec oświetlające lekko twarze, ale najważniejsze było to, że odczuwałem emocje tego zgromadzenia; przy tym, co się działo, zapominali oni o strachu prześladowania, o obawie przed śmiercią, gdyż działa się rzecz ważna, rzecz wielka, dla której warto było ryzykować. Wiele bym dał, aby być w takim zgromadzeniu. Czasu nie można cofnąć. Dowiedziałem się wtedy, że Kościół ma w swym łonie takie wspólnoty także dzisiaj. Noekatechumenat. Czekałem na katechezy rozpoczynające „Drogę" (słowem „Droga" - najkrócej mówiąc - określa się „doświadczenie", przez które przechodzą członkowie wspomnianego Ruchu - przyp.red.) aż dwa i pół roku. Przeszedłem w tym czasie Rekolekcje Ewangelizacyjne Odnowy, co jednak mnie tym bardziej upewniło, że czekam na coś zupełnie innego. Najciekawsze jest to, że nikt mi specjalnie nie mówił o „Drodze", nikt nie musiał mnie na nią zapraszać, gdyż wśród moich znajomych nikogo na niej nie było. Nie wiem, jak to nazwać - intuicją, przeczuciem, a może najzwyczajniej pragnieniem?

Długo jesteś we wspólnocie? Czy to właśnie obcowanie z Objawionym owocuje przeświadczeniem o własnej (tudzież całego rodu ludzkiego) bezkarności?

To też jest niezwykłe, ponieważ wiele lat miałem obrzydzenie (dosłownie) do jakichkolwiek wspólnot, co wiąże się z moim trudnym w akceptacji poczuciem indywidualności. Człowieku, gdy już miałem kilkanaście lat, wyrzucano mnie karnie z obozów wakacyjnych prowadzonych przez kleryków, przez całe liceum byłem wyrzucany z lekcji religii. Stąd cudem jest, że od trzech lat mogę z własnej woli być z braćmi.

Ja jestem zaborczy, chciałbym, aby wszyscy byli w Neokatechumenacie (bo widzę, że jest on dla mnie dobrym miejscem, że zmienia mnie bycie we wspólnocie). A Ty?

Chciałbym, aby wszyscy byli blisko Pana Boga, a moja zaborczość? ...cóż, zakończyła się podrażnieniem relacji z bliskimi osobami. He! he!

Nie myśleliście o wydaniu oficjalnej płyty, czy też czekasz na trzydziestkę, aby podejść do tego dojrzale?

Zrobić parę dźwięków jest trochę łatwiej niż być z drugą osobą. Chcemy wydać płytę, zanim będę naprawdę dojrzały, a powinno to nastąpić już na wiosnę roku 2003.

O! Tu mnie zaskoczyłeś. Powiedz coś więcej...

Wygraliśmy na festiwalu OST-ROCK-REGGAE 2002 sesję nagraniową w Radio Olsztyn, które posiada bardzo dobre studio. Tam nagramy bębny i bas. Resztę kończyć będziemy w studio u Roberta Friedricha pod Poznaniem, on też zgodził się zadbać o produkcję całości. To bardzo zabawna historia, ale nasza współpraca z nim jest wiązana. Otóż po usłyszeniu płytki „Draka!" Robert spytał mnie, czy Arka Noego może nagrać jeden z naszych utworów, „Dyla dać", na swoją nową płytę, na co ja spytałem go o pomoc w pracy nad naszym albumem. Jak na razie w obu kwestiach panuje zgoda i oby tak pozostało.

Kogo upatrzyliście na wydawcę?

Najbardziej realnym na dziś sposobem na wydanie płyty jest zrobić to samemu, zresztą już od jakiegoś czasu nasze nagrania opatrzone są napisem: „Takich_Jak_My_Nie_Wydaje_Nikt", co jak sądzę, mówi bardzo wiele o polskim rynku fonograficznym. Pojawia się jednak bardzo konkretna myśl o założeniu wytwórni wraz ze znajomymi, pewne kroki zostały już uczynione w tej sprawie. Prawdopodobnie wydana w niej będzie nowa płyta Armii.

Jaki materiał znajdzie się na płycie, czy będzie zawierał kawałki z „demówek", czy zupełnie coś nowego?

Część melodii nagramy ponownie, a część będą stanowić nowe kompozycje.

Czy pozostali muzycy też są w taki czy inny sposób związani z Kościołem lub po prostu wierzący, czy też jesteś samotnym chrześcijaninem na czele zespołu? Czy Triquetra jest zespołem ogólnie mówiąc „chrześcijańskim" (specjalnie dałem cudzysłów)?

„Ogólnie mówiąc", będąc niemowlęciem, każdy z nas został ochrzczony. Domyślam się jednak, że to nie wyczerpie zadanego tematu, więc odpowiem, że wszyscy są w Kościele. Paluch ma styczność ze wspólnotami franciszkańskimi, a także jest na Drodze Neokatechumenalnej.

Fajnie, a teraz odpowiedz na zadane pytanie: jesteście, czy nie jesteście zespołem chrześcijańskim?

Masz zamiar utworzyć jakieś nowe, nikomu niepotrzebne (a już najbardziej muzykom) getto chrześcijańskie? Jeśli tak, to ja do tego ręki nie przykładam. Nie wiem, czy jesteś dobrym dziennikarzem, ale tacy ponoć nie posiłkują się tanimi etykietami. Powoli sam sobie odpowiadasz na swe pierwsze pytanie: „...skąd mam o Tobie opinię prowokatora?"

Rozumiem, że nie chcecie się zamykać w getcie muzyków chrześcijan?

Każde getto, jakkolwiek by się nie nazywało, bardzo utrudnia wychodzenie na zewnątrz. Po co tworzyć nowe różnice i nowe podziały? Nam jest to bynajmniej niepotrzebne.

Chodzi mi o to, czy jako zespół jawnie, stanowczo i jednoznacznie macie zamiar głosić Dobrą Nowinę o śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa, czy też jesteście zespołem przypadkowo złożonym z katolików (chrześcijan)?

To za duże słowa, mam nadzieję, że granie w tym zespole choć odrobinę pomoże nam samym w nawróceniu. Odnoszę wrażenie, że zachowujesz się jak neofita, który cieszy się ze słów, potwierdzeń, zapewnień...

Uważasz, że Triquetra nie powinna grać koncertów ewangelizacyjnych, mówić o Jezusie ze sceny?

Używasz formy: grać koncert - a - mówić ze sceny. Otóż bardzo rzadko opowiadam o Chrystusie - to odnośnie do mówienia, zaś śpiewam tylko o Nim, bądź o Słowie - co tyczy się grania.

Moje ulubione pytanie: kim dla Ciebie jest Jezus Chrystus? Masz jakieś doświadczenie jego obecności (fakty)?

Po samym tym wywiadzie już dość dobrze powinieneś wiedzieć, kim On dla mnie jest.

Niestety ciągle nie wiem, powiedz konkretnie. Ja mogę się domyślać z autopsji, ale nie chodzi mi teraz o mnie...

He, he! I sądzę, że Twoje domysły byłyby słuszne.

O.K., myślę, że na tym zakończymy. Dzięki serdeczne i Pokój z Tobą!

Pokój z Tobą!




fot. Walec

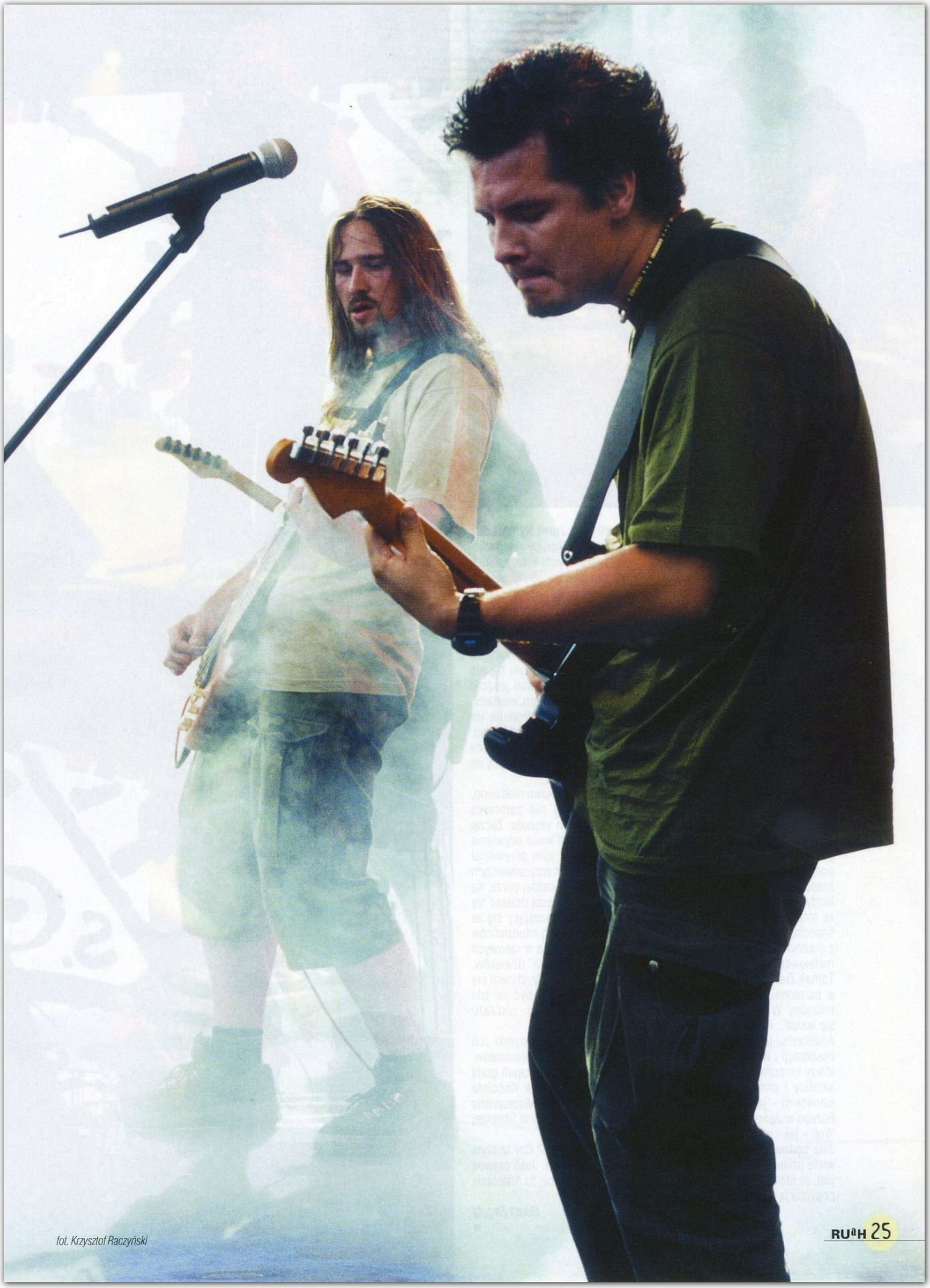


anastasis

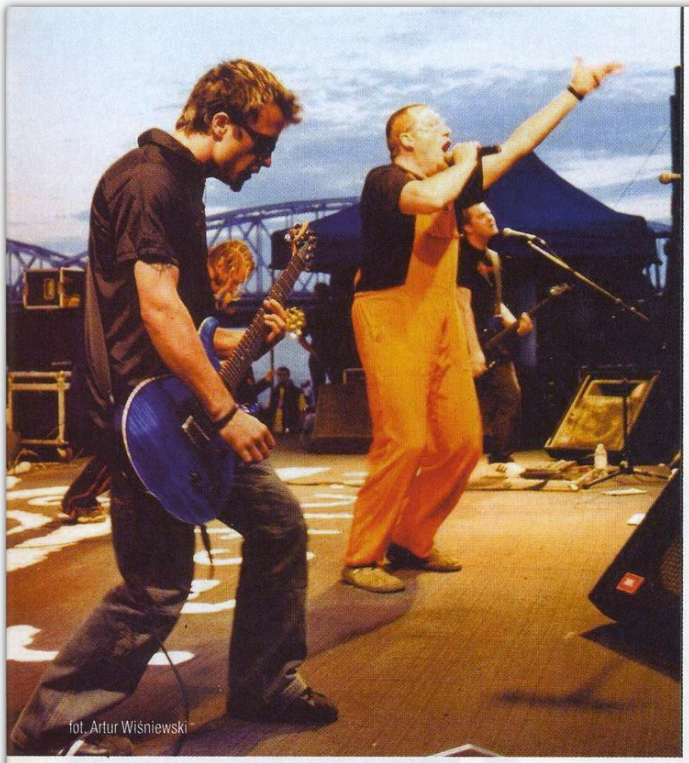
prąd od rana do wieczora

Wiosną ukaże się pierwszy album zespołu Anastasis, zatytułowany tak samo jak nazwa grupy. „**Anastasis**" to po grecku - zmartwychwstanie. To późny i dojrzały debiut fonograficzny grupy, grającej muzykę w stylu new metal, hard core, industrial. Sami mówią, że jest to po prostu „ostra jazda". Anastasis dało się poznać na scenie chrześcijańskiej przede wszystkim jako zespół niesamowicie energetyczny na koncertach, świadomy swego brzmienia, które wręcz obsesyjnie wciąż jest poprawiane, między innymi poprzez zakup nowych instrumentów, wzmacniaczy, elektroniki, poszukiwanie nowych efektów itp.

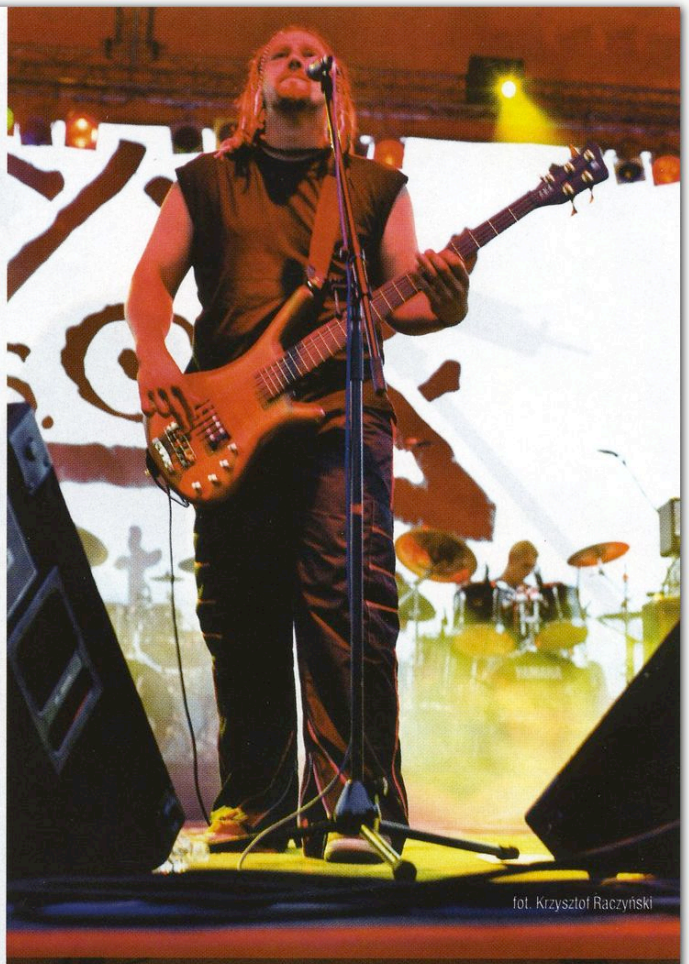
Najbardziej znanym ich utworem jest „Krew", który ukazał się wcześniej na singlu. Znajdzie się on również na płycie, ale w zupełnie nowej wersji. Kiedy słucha się pierwszych dźwięków albumu, można sądzić, że to zupełnie ktoś inny. Z oddali wyłania się dźwięk fletów, słychać trzask analogowej płyty. Wchodzi sekcja, a wraz z nią pojawia się tajemniczy, ludowy motyw, śpiewany w nieznanym języku, który brzmi jak język elfów z „Władcy Pierścieni". Po nim sekcja skrzypiec, ale obniżonych komputerowo, co daje efekt, jakby grały ludowe altówki i basy. W następnych taktach pojawia się rap Cynamona, głównego wokalisty Anastasis: „*Trochę za bardzo – tak daleko nie chciałeś, małe oszustwo – kolorowe spotkanie, wyobraźnia wyłączona na chwilę – i przestałeś: BYĆ*". To nie jest piosenka oazowa ani nawet pełna ciepła, ufności i radości pieśń uwielbienia. Utwory mówią o diabelskich pułapkach, w które wpadają młodzi ludzie, o obłudzie tego świata, o ciemnych stronach życia bez Boga. Jest tu wiele krzyku rozpaczy i beznadziei: „*Srebrny kurz opada – pokrywa setki dusz - Chciałbyś z tego wyrwać się – nie możesz już*". Są oryginalne wizje : „*Przewodzę prąd – w tę albo tamtą stronę – Prąd – chociaż się tego boję – Prąd – od rana do wieczora – Wiem – uwolnić się nie zdołam*". I wreszcie, jakby na samym dnie, w utworze „Nowy świat" pojawia się psalmiczne „*de profundis*" współczesnego młodego człowieka, który z głębokości swego strachu, samotności i tęsknoty za nowym życiem krzyczy: „*Panie!*" Od tego momentu płyta jakby wznosi się w górę. Jest w niej więcej optymizmu, pojawia się nawet ballada, co prawda przestaniana ciemną stroną świata, która wdziera się w obraz wypełniony światłem i ciepłem, ale jednak wnosząca dużo lekkości i nadziei: „*Jak ptak, jak drzewo, jak rzeka, jak czuły dotyk rąk – Jak pierwszy łyk powietrza, jak zawsze ciepły dom – Tylko ty i ja – niebo, tylko ty i ja: cały świat*". Finał albumu to głos kogoś, kto po wielu cierpieniach, zasadzkach i zdradach dotarł pod krzyż, jedyny drogowskaz życia, atrybut cierpienia, z którego rodzi się nowe życie, zmartwychwstanie – anastasis: „*Twoja krew obmywa mnie, pod Twój krzyż prowadzi mnie*".



fot. Krzysztof Raczyński



fot. Artur Wiśniewski



fot. Krzysztof Raczyński

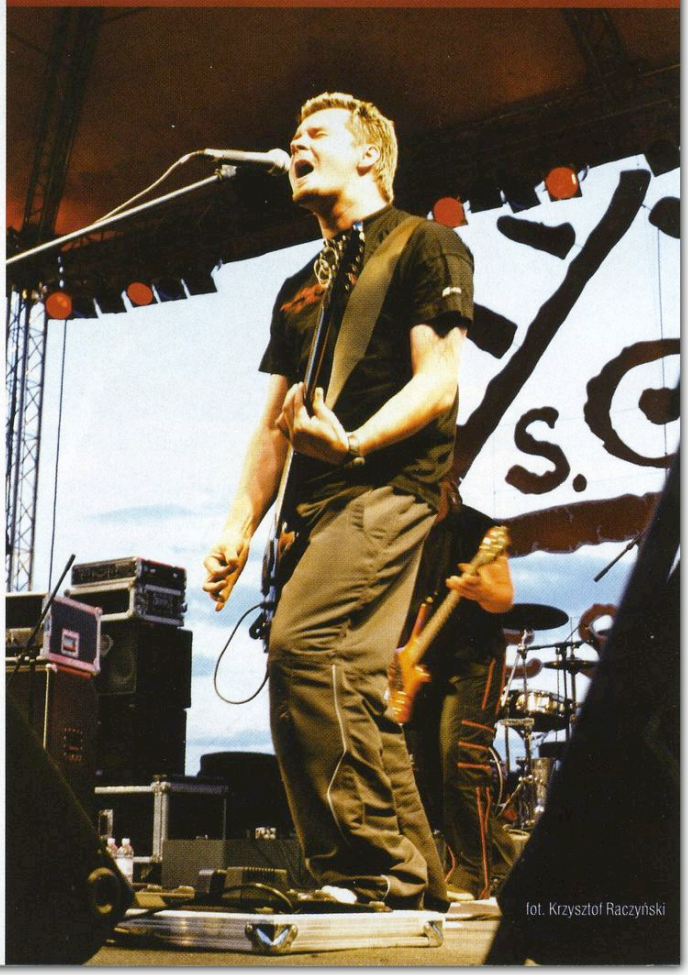
Mieszkają w Legnicy. Tu się poznali i tu zaczęli grać. **Jurek Rymarczuk**, **Marek Zapaśnik** i **Tomek Terlega** są założycielami grupy Anastasis. Spotkali się na młodzieżowych zlotach ekumenicznych. Każdy z nich ma za sobą doświadczenia błądzenia, rozczarowania, utraty nadziei i odejścia od Boga. Poznali smak, a raczej gorycz osamotnienia i utraty wolności. Może dlatego umieją cieszyć się tym, co teraz mają, i swoją przyjaźnią z Bogiem. Jurek mówi, że muzyka jest ważną częścią jego życia. Ona daje mu siłę i „napędza". Wiele razy chcieli zrezygnować: bo nie udawało się z płytą, bo było mało koncertów, bo tracili wiarę, że ich granie ma sens. Ale zawsze okazywało się, że bez muzyki się nie da. I wszystko zmierzało w przeciwnym kierunku: kupowali jeszcze lepszy sprzęt, pracowali wiele godzin nad nowym brzmieniem, efektami, programowaniem. Nie jest łatwo. Utrzymują rodziny. Brakuje im pieniędzy. W życiu codziennym jest im tak samo trudno, jak każdemu. Tomek łapie różne fuchy, aby przeżyć, Marek jeździ po całej Polsce sprzedając maszyny rolnicze, a Jurek musi pilnować swojej posady na stacji paliw, bo jest to – jak na Legnicę – dobra robota.

Jurek Delwo – Cynamon pojawił się w zespole stosunkowo niedawno. Ale od razu dał się poznać jako artysta, który nie zamierza podporządkować się już wykreowanemu wizerunkowi zespołu. Zaczął pisać teksty, które spodobały się chłopakom, wniósł wiele ożywienia do już zrobionych numerów, zaproponował rap, a sam przywdział pomarańczowy kombinezon. Staje się on powoli znakiem rozpoznawczym zespołu. Cynamon to „szafa grająca" z dowcipami. O każdej porze, na każdy temat potrafi tak kłapać paszczą, że wszyscy muszą ocierać łzy ze śmiechu. Nikt by nie pomyślał, że ci panowie, zataczający się ze śmiechu za sceną i wyglądający na pogodnych, łagodnych młodzieńców z modnymi fryzurami za chwilę przeistoczą się na scenie w rasowych metalowców, którzy sprawią, że wokół roztoczy się „rzeźnia" dźwięków. **Tomek Ziemba** jest najmłodszy z nich. Gra na bębnach. Wychował się w porządnej protestanckiej rodzinie, ale sam nie chciał być już taki porządny. W końcu poznał chłopaków z Anastasis. Jak mówi - „*od razu się wkleił*". Pasowała mu muza i ci, którzy ją grali.

Anastasis, jak podkreślają muzycy, istnieje nie tylko dzięki ich desperacji i woli grania. Spotkali wielu ludzi, katolików, protestantów, którzy im pomogli. Którym nie przeszkadzało, że w jednej kapeli grają katolicy i protestanci. Mają wielu przyjaciół zarówno w Kościele katolickim - jak choćby ksiądz Janusz Garula z parafii Miłosierdzia Bożego w Jaworze lub brat Piotr, kapucyn, którego poznali w Stalowej Woli - jak i wśród protestantów.

Jaka będzie ich droga muzyczna? Jakie będzie ich życie? Czy ta płyta wiele zmieni? Na te pytania nie ma na razie odpowiedzi. Jeśli prawdą jest, że idzie druga fala muzyki chrześcijańskiej w Polsce, to Anastasis popycha ją do przodu wyraźnie i mocno.

Beata Zagula



fot. Krzysztof Raczyński

Melanż, Guess Why, Armia

Recenzja z koncertu

Buk k. Poznania, 04.01.2003

Organizatorzy to prawie cudotwórcy. Buk nie obfituje w rockowe imprezy, nie licząc koncertu Tymoteusza kilka lat temu. Jest to spowodowane w głównej mierze brakiem stosownego locum - tu hala OSiR-u zaadaptowana na salę koncertową świetnie spełniła swoje nowe zadanie. Stworzył się klimat dobrego odbioru, oświetlenie umiarkowane, „opady" różnie stonowanego brzmienia, gdzieniegdzie zawierucha sprzężeń. Temperatura - z tendencją wzrostową proporcjonalnie do czasu trwania koncertu.

Na jednej scenie pojawiły się takie Zjednoczone Siły Muzyki jak Armia, Guess Why i Melanż. Z tych trzech załóg tylko Guess Why nie podpisują się pod muzyką stricte pro-chrześcijańską, czy też z przesłaniem chrześcijańskim (to delikatne pojęcia). Dla nich to wydarzenie również niemało znaczyło, w końcu zagrali pierwszy raz w swoim rodzinnym mieście. I tu pragnę dać wyraz swojej radości z faktu, że nie ogradzamy się wysokim murem z napisem „UWAGA ! ŚPIEWAMY O BOGU!". Nie tędy droga ewangelizacji. Koncert był dowodem, że „muzykę stworzył Bóg, a to ludzie podzielili ją na kategorie". Światy muzyczne przenikając, inspirują się nawzajem. Niech tak zostanie.

MELANŻ

Nie zgodzę się z zasłyszaną opinią, że Melanż to „dziubanie w stylach". Fakt, że nie są twórcami jednolitej stylistycznie muzyki - odnosi się wrażenie, że machają wachlarzem stylów z różnych półek. Muzycy są świadomi funkcjonalności instrumentów i głosu ludzkiego, acz nie dosłyszałem w nich śladów emocji. Na specjalną uwagę zasługuje jednakże piosenka „Plastic jest fantastic", w której Michał na wokalu wyraźnie się ożywił, ukazując swą teatralną duszę. Przyozdabiał tekst mimiką, gestami rąk, ciekawą modulacją głosu, co nam - słuchaczom i widzom, bardzo się spodobało.

GUESS WHY

To laureaci Fryderyków 2002 w kategorii: muzyka heavy-metalowa. Widocznie zabrakło szuflad w Muzycznej Komodzie Identyfikacyjnej, którą każdy krytyk muzyczny, dziennikarz czy recenzent ma u siebie na stanie. Do wiadomości wszystkich: sami zainteresowani i fani zapewniają, że Guess Why to nie heavy-metal ! To burza uczuć, huragan przeżyć, strumień prądów. Będąc raz zalanym falą głośnych dźwięków, raz raczonym cichszym, subtelnym kapaniem gitar i szelestem Rhodes'ów, dochodzę do wniosku, że na taką muzykę zawsze jest pogoda...


Guess Why

ARMIA

Na końcu zagrała Armia. Hej! I wyobraźcie sobie moją sytuację – piszę słowa „Na końcu zagrała Armia"... i co mam dalej pisać??? Już w podstawówce utkwił mi w pamięci obraz śpiewającego Budzego w kolorowej czapeczce na głowie. Wtedy nie byłem przygotowany ani na takie granie, ani na odważne i bezkompromisowe przyznawanie się do Chrystusa.

A Armia to olimpijski Byk – zawsze mocna, młoda, niepokonana! Sapiąc z nozdrzy głośników, z wolna grzebała kopytem rytmu w gruncie punk-rocka, podczas gdy przesterowany ogon gitar zamiatał na całej swojej długości. Niekiedy odczuwaliśmy silne tąpnięcie rogów basu, ale zaraz z paszczy wydobył się radosny okrzyk - HEJ!!!

Byk zszedł z areny. Niezwyciężony. I jeszcze silniejszy.

Tekst i zdjęcie: *Szymon „Marcin" Marciniak (szymonmarciniak@kdm.pl)*

STREFA CHWAŁY

12 SPOTKANIA MUZYKÓW CHRZEŚCIJAN

11.07 - 15.07.2003

miejsce:

GRÓDEK N/DUNAJCEM

Dom Centrum Formacyjnego Diecezji Tarnowskiej „ARKA"

* góry, jezioro (Rożnowskie) z wyspą, las i ścieżki spacerowe *

w programie:

- uwielbienie i modlitwa liturgiczna
- wykłady biblijne
- goście
- warsztaty (aranżacja piosenek, śpiew liturgiczny, porady dla młodego zespołu, nagłaśnianie koncertów i akustyka, prowadzenie uwielbienia na spotkaniach modlitewnych)



- rozmowy o przyszłości muzyki chrześcijańskiej w Polsce
- rekreacja

koszt: 270,00 zł (w tym wyżywienie, noclegi, pościel)

LICZBA MIEJSC OGRANICZONA !

zgłoszenia: do 31 maja 2003 r., na adres:
Wspólnota ewangelizacyjna „DZw."
przy par. św. Maksymiliana
ul. Wyszyńskiego 7/9
87-100 Toruń
lub e-mail: strefachwaly@wp.pl
Informacje: tel. 056-648 76 57



Zaliczka (do końca maja) w wys. 70,00 zł na konto:
Danuta Muchewicz
Lukas Bank 19401076 - 49595398

Zapraszamy wszystkich, którzy chcą współtworzyć środowisko muzyków chrześcijan w Polsce - zarówno muzyków, jak i służby muzyczne we wspólnotach.



fot. Maciej Dróbka

muzyka,
której
słucham

ROBERT RUSZCZAK

Czterdziestu Synów
i Trzydziestu Wnuków
Jeżdżących na
Siedemdziesięciu Oślętach

Gdy miałem 6 lat zwichnąłem sobie prawą rękę. Odszkodowanie, które dostałem od PZU, moi rodzice przeznaczyli na zakup akordeonu. Nie rozumiałem wtedy tej nagrody, dość długo jej nie rozumiałem. Z dużą niechęcią jeździłem na naukę gry, którą zafundowano mi raczej wbrew mojej woli. Ale już wtedy, dzięki tym zdarzeniom i determinacji moich rodziców, muzyka zaczęła wkradać się w moje życie. Powoli zaczęła znaczyć prawie tyle, co granie w piłkę. Zacząłem zauważać muzykę w TV oraz w radiu. Byłem wielkim fanem Telewizyjnej Listy Przebojów, zacząłem szukać muzyki, znałem wszystkie możliwe audycje muzyczne w Programie Pierwszym Polskiego Radia, aż pewnego razu dowiedziałem się, że gdy do radia Taraban, do jednego z otworów z tyłu odbiornika włoży się drucik (antenę), to można słuchać całkiem innej muzyki niż ta, którą znałem dotychczas. Dzięki temu wynalazkowi odkryłem Program Trzeci i Czwarty. Do dzisiaj mam dreszcze, kiedy słucham piosenek, które wtedy poznawałem. Słuchałem namiętnie Listy Przebojów Programu Trzeciego, „Zapraszamy Do Trójki", Listy Przebojów Rozgłośni Harcerskiej, „Klubu Stereo", itp. Z tamtego okresu pochodzi najwięcej moich muzycznych fascynacji. Bardzo podobała mi się muzyka polska. Wtedy poznałem zespoły, których nagrań, właśnie z tamtego okresu, bardzo chętnie słucham do dziś. Od samego początku bardzo polubiłem zespół Lady Pank. Jego pierwsze dwie płyty to były dla mnie prawie relikwie. Miałem nawet plakietkę tego zespołu, którą dumnie nosiłem przypiętą do szkolnego fartuszka. Jednak miłość do tego zespołu minęła, kiedy poznałem zespoły alternatywne, może nie te najcięższego gatunku, ale takie jak Izrael, Rap, Bakszysz, Siekiera (ten skład już bez Tomka Budzyńskiego), Made In Poland, Klaus Mitffoch, Randez Vous, Daab, Aya RL, Tilt i inne zespoły Tomka Lipińskiego, Voo Voo oraz Ziyo. Do dziś moimi ulubionymi płytami są: pierwsza czarna płyta grupy Voo Voo z „fazami" i „wizytami", czerwona płyta Aya RL, z ulubioną piosenką „Nie zostawię", pierwsza i jedyna płyta Ziemka Kosmowskiego z grupą Randez Vous, z „Anną", jedną z najpiękniejszych polskich piosenek (oczywiście wg mnie), a także pierwsza płyta zespołu Klaus Mitffoch oraz dwie pierwsze płyty Izraela – „Biada, Biada" i „Nabij Faję". Zawsze bardzo ważne były dla mnie teksty piosenek. Bardzo szanuję za nie właśnie Wojtka Waglewskiego, Lecha Janerkę, Pawła Kukiza, a także Grzegorza Ciechowskiego, którego twórczość doceniłem dopiero w latach dziewięćdziesiątych, jako Obywatela GC. Później, czytając o fascynacjach moich ulubionych muzyków, dotarłem do ich zachodnich wzorów, ale nie pokochałem ich już tak bardzo, jak polskie zespoły. Chcę jednak wymienić te, których słucham chętnie i szanuję. W mojej płytotece mam nagrania grupy U2 (ulubiona płyta: „Rattle and Hum"), Boba Marleya and The Wailers, The Police, Stinga, Boba Dylana, Stana Getza i jeszcze wielu wykonawców, których wymienić nie sposób. Słucham bardzo różnej muzyki i nie za bardzo oryginalnej. Jest jeszcze jedna fascynacja muzyczna, o której chcę opowiedzieć. To fascynacja muzyką folk. Gdy w 1993 roku, razem z moim przyjacielem Jackiem Ryszewskim, zakładaliśmy zespół Chudoba, robiliśmy to pod wpływem zauroczenia muzyką łemkowską i karpacką, wykonywaną wówczas przez Orkiestrę pw. św. Mikołaja. Do dziś bardzo szanuję muzykę tej grupy. Obracając się w kręgu muzyki folkowej, zespołów i festiwali, poznałem piękno muzyki góralskiej, kurpiowskiej, a przede wszystkim muzyki cygańskiej. Tutaj chciałbym przytoczyć kilka nazw zespołów, których muzykę chcę bardzo polecić. Są to zespoły polskie: Varsovia Manta, Sierra Manta, Syrbacy, Kwartet Jorgi, Trebunie Tutki oraz zespoły cygańskie: Kałe Bała, Kałe Jakha, Ando Drom, Kalyi Jag i Toćkolotoć. Zespołami, których muzyki także bardzo lubię słuchać, są Anglicy, śpiewający po ukraińsku Ukrainians, oraz finlandzka supergrupa Varttina.
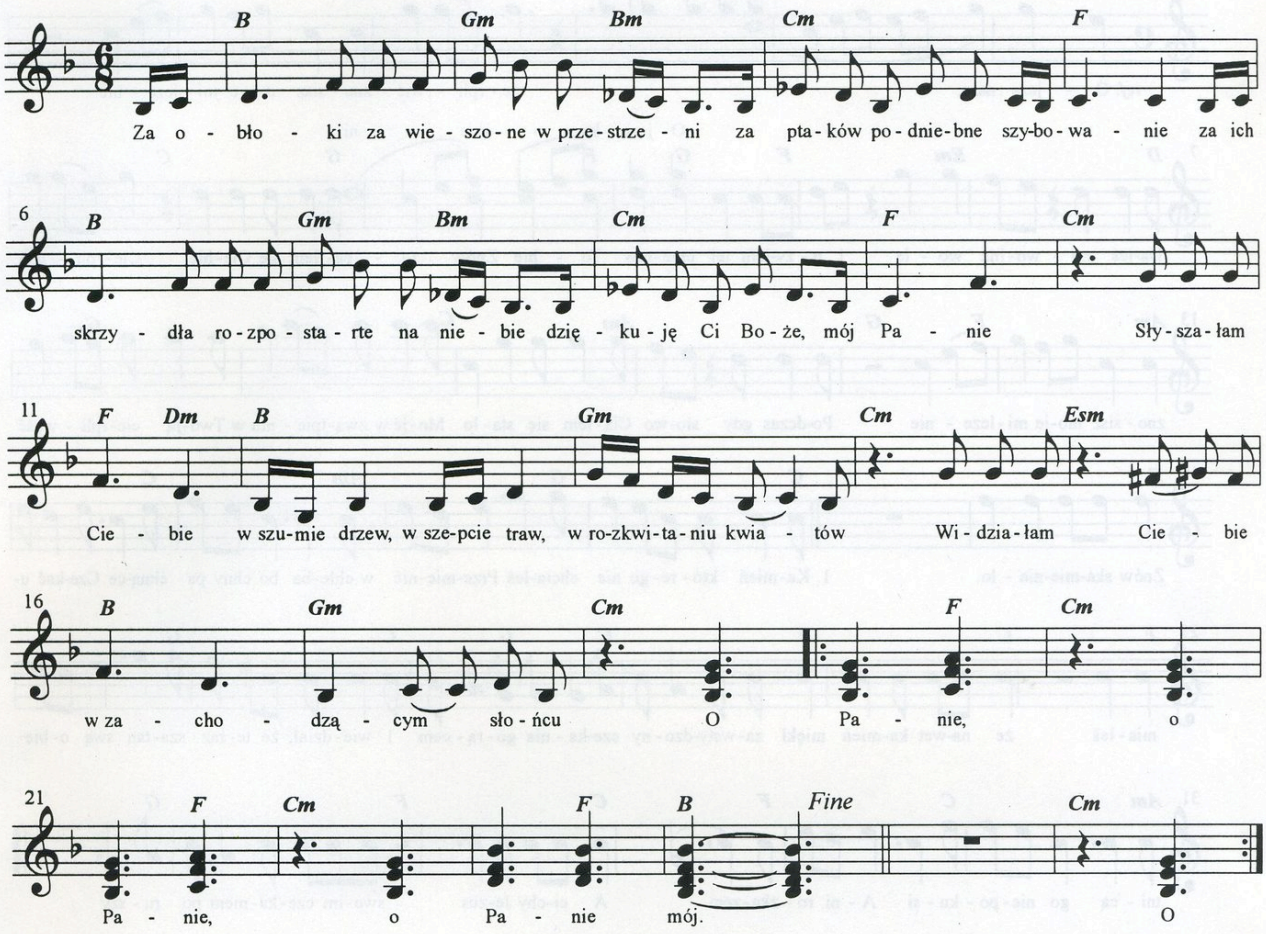
■

KLUB PIEŚNI NATCHNIONEJ

Utwory pochodzą z płyty MAŁGOSI ROMAN „Piosenki dla Pana Boga”

DZIĘKCZYNIENIE

muz., sł. Małgorzata Roman



1. Za obłoki zawieszone w przestrzeni
Za ptaków podniebne szybowanie
Za ich skrzydła rozpostarte na niebie
Dziękuję Ci Boże, mój Panie
Słyszałam Ciebie w szumie drzew, w szepcie traw, w rozkwitaniu kwiatów
Widziałam Ciebie w zachodzącym słońcu
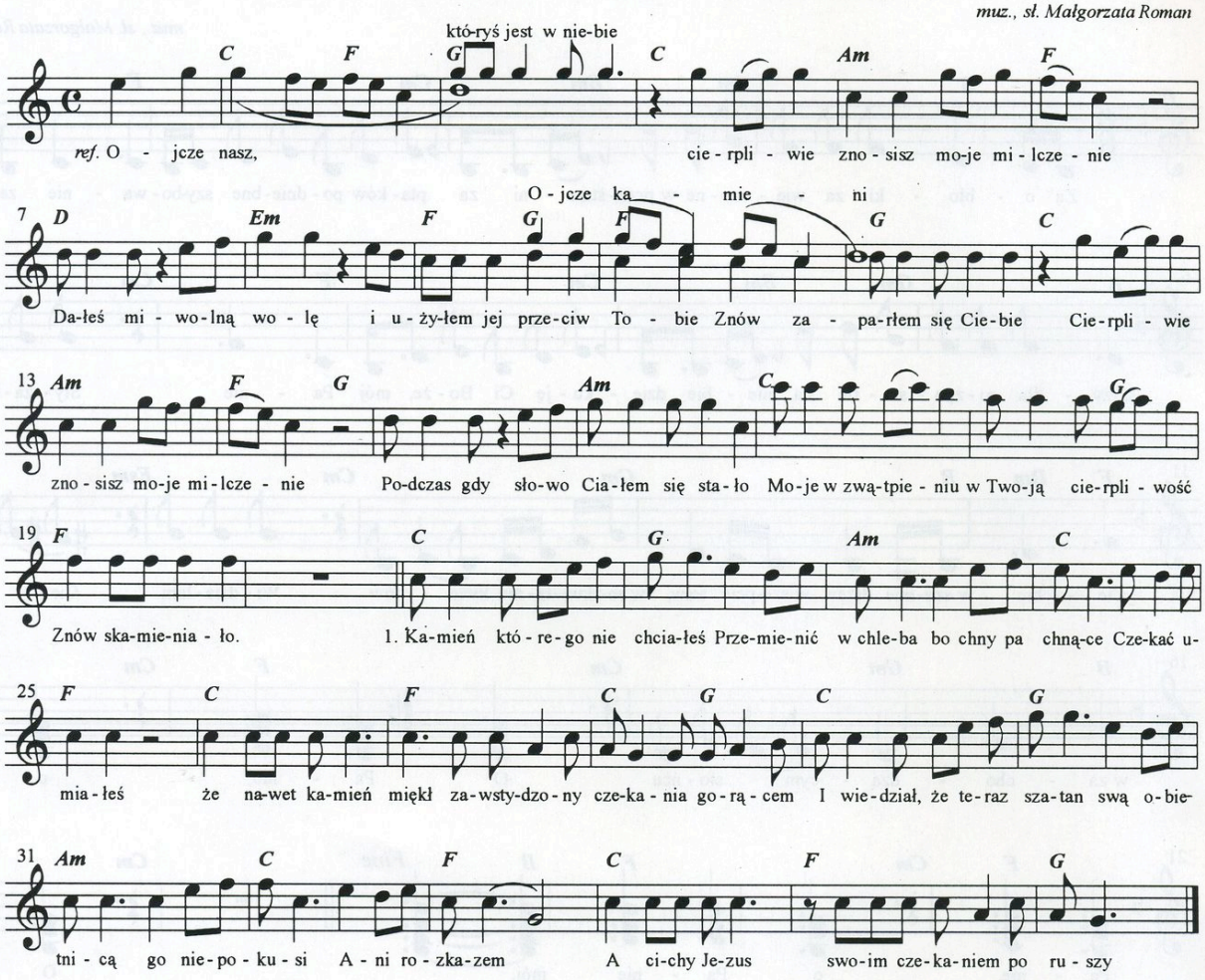
O Panie, o Panie, o Panie mój / x2

2. Za pielgrzymów wędrujących drogami
Modlitwę i każde rozmyślanie
Za ogniska rozpalone sercami
Dziękuję Ci Boże, mój Panie
Słyszałam Ciebie w szumie drzew, w szepcie traw, w rozkwitaniu kwiatów
Widziałam Ciebie w zachodzącym słońcu

O Panie, o Panie, o Panie mój / x2

OJCZE KAMIENI

muz., sł. Małgorzata Roman



ref. Ojcze nasz, któryś jest w niebie
Cierpliwie znosisz moje milczenie
Dałeś mi wolną wolę i użyłem jej przeciw Tobie
Ojcze kamieni
Znów zaparłem się Ciebie
Cierpliwie znosisz moje milczenie
Podczas gdy słowo ciałem się stało
Moje w zwątpieniu w Twoją cierpliwość
Znów skamieniało

1. Kamień, którego nie chciałeś
Przemienić w chleba bochny pachnące
Czekać umiałeś
Że mawet kamień miękł zawstydzony czekania gorącem
I wiedział, że teraz szatan swą obietnicą go nie pokusi
Ani rozkazem
A cichy Jezus swoim czekaniem poruszy

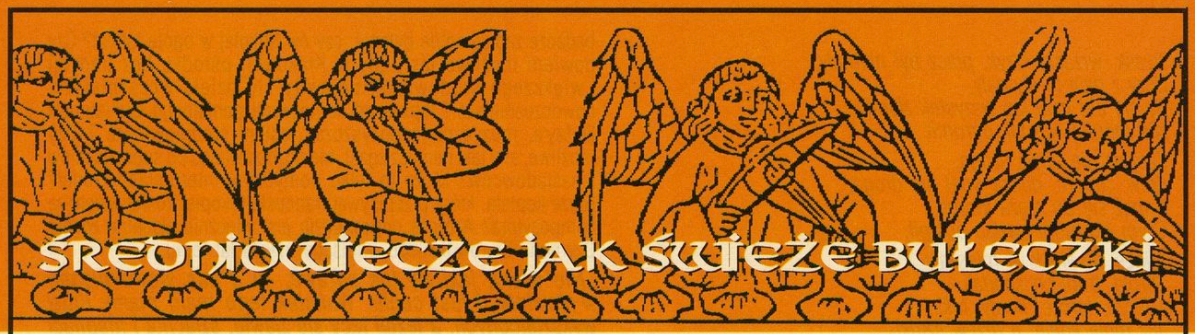
ref. Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

2. Kamień, któremu przyrzekłeś, że na kamieniu nie pozostanie
Lecz nam wskazałeś jak się ratować
A ocaleniem jest Twe zmartwychstanie
O Boże, uwolnij wolę i niech na powrót słowa przybędą
Chcę jeszcze zdążyć przerwać milczenie
Nim kamienie wołać będą

ref. Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

3. Kamień, który na drodze leżał, by zranić stopy zmęczone
Ledwo Cię niosły, a Ty trwożyłeś się
Wiedząc, że jeszcze nie wszystko spełnione
Znów kamień stał się narzędziem, którym do krzyża Ciebie przybili
A inny kamień legł u grobowca, w którym Twe Ciało złożyli

ref. Ojcze nasz, któryś jest w niebie...



Siermiężne mocarstwo

pisze Jacek Kowalski

20/20

Gdzieś pomiędzy unią Polski z Litwą a bitwą grunwaldzką kształt naszej polskiej prowincjonalności gwałtownie się zmienił. Dotąd dyktowano nam warunki, straszono, najeżdżano, zabierano prowincje. Teraz Czesi, Węgrzy, Krzyżacy i Ruś proszą o pokój, ofiarowują korony, składają hołdy, szukają wojskowej i politycznej pomocy. W Europie Środkowej, tej „młodszej Europie", Polska zrobiła oszałamiającą karierę, niczym Stany Zjednoczone w XIX wieku. Stała się mocarstwem o ogromnej powierzchni i sile militarnej, choć kulturowo młodym i ubogim, „siermiężnym". Nasza sztuka tego czasu jest wciąż prowincjonalna, za wyjątkiem genialnych, sprowadzanych dzieł lub sprowadzanych do Polski genialnych artystów, którzy bawią tu przejazdem. Jagiełło zamówił sobie ponoć nagrobek u Donatella, a jego syn - u Wita Stwosza, który jako nikomu nieznany, młody a ambitny artysta wyruszył na antypody szukać szczęścia.

W tle stołecznych superprodukcji - kościoła mariackiego i ołtarza mariackiego, czy kościoła św. Anny w Wilnie - majaczy prowincja: wyrzeźbione, a nie wyrzeźbione pałuby świętych figur, niezdarne, krzywe ściany wiejsko-miejskich kościołów, wznoszone po pijanemu przez partaczy, a w najlepszym razie solidne, nawet ozdobne, ale za to skrajnie proste świątynie polskich bernardynów. Dziś wszystkie te nasze późnogotyckie dzieła wydają się „swojskie i ukochane", a nierówna, genialno-prowincjonalna dwoistość polskiej kultury pasuje i do historii naszego muzykowania.

W tych czasach wielka sala pałacowa, wcześniej przysługująca tylko królom i książętom, przestała już być unikatem. Mieszczanie Wrocławia, Krakowa i polscy możnowładcy zaczęli sobie fundować całkiem spore wnętrza. Przypominały one jednak raczej intymną aurę spotkania Dawida i Betsabe, niż legnickie palatium Henryka Brodatego. W sali na wieży rycerskiej w Siedlęcinie są przy oknach wnęki z ławami do siedzenia - jak znalazł dla amantów - a na ścianach śliczna historia o „Rycerzu z Łabędziem", wymalowana przez jakiegoś wybitnego artystę, który najwyraźniej znał pięknie ilustrowaną, niemiecką antologię poezji miłosnej, zwaną „Codex Manesse". Siedlęcin jest na Śląsku, który był w tym czasie, czyli w połowie czternastego wieku, już poważnie zniemczony i pozostawał zdecydowanie w orbicie Czech, a właśnie z Czech kultura dworskiej miłości i rycerskiej literatury promieniowała ku nam najsilniej. W Małopolsce, w Dębnie koło Brzeska, zachowało się podobnie romantyczne miejsce o sto lat późniejsze, luksusowa rezydencja królewskiego kanclerza, Wojciecha Dębińskiego. Do dziś jest tam nie tylko wygodny klozet, są też pięknie ozdobione i rozświetlone szerokimi oknami kameralne wykusze z ławami w miejsce ciasnych wnęk, otwierające się na wielką salę. Sceneria spóźniona wobec francuskiej o ponad sto lat i znacznie prymitywniejsza; ale jest. Takich wnętrz było już sporo, nawet w klasztorach i pałacach opackich, bo i tam działy się rzeczy intymne. Mikołaj Rziga, opat klasztoru cysterskiego w Wąchocku, *„dobra klasztorne z nierządnicami-szlachciankami szczodrze trwonił, a także z bajarzami czy też komediantami"*. Ale do czasu:

Zdarzyło się pewnego razu, że w dniu świętego Jakuba Zebedeusza roku 1456 urządził wielką ucztę w klasztorze... na ucztę wezwał ludzi z lutniami i z różnymi igrami, aby szlachetni panowie i panie dla jego miłości zwoływani, radośnie ucztowali i tańczyli w miejscu poświęconym jedynie Bogu... Kiedy więc wspomniany opat Mikołaj ucztował otoczony pięknymi kobietami... wszedł diabeł o wyglądzie Murzyna bardzo brzydkiego, a podchodząc zuchwale do opata, rzekł do niego: „Tobie, przeklętniku, mówię, wstań i pójdź ze mną, twoim towarzyszem wiecznych ciemności!" A kiedy ten oniemiał, a wszyscy siedzieli, pociągnął go diabeł za kark, a wyciągnąwszy go, uniósł w powietrze...

O tym, co ściągnęło diabła na ucztę do wąchockiego opata, wiemy już nieco więcej, niż o repertuarze wcześniejszych wieków. Dochowały się ułamki różnych wesołych i rubasznych albo dwornych pieśni. Niestety jednak - tylko ułamki. Jak ten:

Służba moja ustawiczna
Twej miłości, panno śliczna!
Ze mną nie miej rozłączenia
Dla mnogich ludzi mówienia,
Sokom [to znaczy: oszczercom] nie wierz nowego zmyślenia.

Albo ten, najwidoczniej studencko-dworsko-prześmiewczy:

Ach, miły Boże, toć boli,
Kiedy chłop kijem głowę goli,
Ale barziej boli,
Kiedy miła jinszego woli.

Nie obyło się też bez pieśni o zwycięstwach i klęskach. Z czasów naszego „siermiężnego mocarstwa", czyli z piętnastego wieku, znamy jednak tylko kilka epickich okruchów i jedną kapitalną pieśń o bitwie pod Grunwaldem (dyskusyjną - bo niektórzy jej odmawiają, a niektórzy przyznają średniowieczny rodowód). Piszący te słowa ma na koncie niedawne nagranie owej pieśni. Bardzo piękne by to było, gdybyśmy mogli z całą pewnością chwalić się takim własnym „mini-Rolandem":

Trzask, wrzask, krzyk, płacz był niemały,
Uszy z dala to słyszały,
By się bet miał las wszystek złomić,
Nie mógłby ich tak ogromić.

Zaczęła się bitwa sroga,
Krew, śmierć, dusza wnet nie droga;
A mąż się do męża kwapił,
Czym kto mógł swego połapił,

Tak że się we krwi mieszały
Zbroja, trupi co spadali,
Miecze, tarcze, kordy, łuki,
Już mdłe konie, a drzew sztuki.

Zachowała się tylko późna melodia - może osiemnasto-, a może dziewiętnastowieczna, zapewne „dziadowska". Jacek Kaczmarski wykorzystał ją raz jeszcze w czasie stanu wojennego do swojej arcy-piosenki „Przejście Polaków przez Morze Czerwone".

W pewnym rękopisie z około 1420 roku widzimy dwadzieścia trzy dwugłosowe utwory, z łacińskim dopiskiem: „tenor fałszywy... to znaczy osioł". „Osioł" odnosi się do studenta, niejakiego Rambowskiego, jako że rękopis to jego praca seminaryjna. Młode mocarstwo potrzebowało na gwałt większej elity, więc powstał uniwersytet, a na uniwersytecie wykładało się również muzykę i płodziło - po raz pierwszy w Polsce - muzyczne traktaty. Opisywana tu przeze mnie w jednym z wcześniejszych rozdziałków dwunastowieczna miniatura z Biblii Płockiej znalazła wreszcie swój odpowiednik w uczonych dywagacjach. W konsekwencji komponowano też i grywano jakieś utwory bardziej uczone. Grywały i śpiewały je kapele również uczeńsze niż ulubieni ruscy muzykanci Jagiełły, których widzimy na freskach lubelskiej kaplicy. No i wreszcie pojawił się szerzej wielogłos i jeden autor o europejskim znaczeniu: Mikołaj z Radomia. Co prawda niektórzy przewrotni badacze zadają sobie pytanie, czy ów Mikołaj w ogóle istniał? Czy bowiem możliwe jest, aby w Krakowie, ośrodku bez tradycji i większego środowiska, pojawiły się dzieła wcześniejsze, nowocześniejsze i lepsze od kompozycji genialnego Guillaume'a Dufay'a, muzycznego bożyszcza „jesieni średniowiecza"? Czy możliwe, aby taki geniusz zgasł, nie pozostawiając po sobie uczniów i naśladowców? Może to tylko pomyłka w interpretacji źródeł? Może kopista, który przepisywał francuski rękopis, został wzięty za kompozytora? A może odpowiedzią jest wiecznie aktualne zdanie Szymona Starowolskiego, zapisane trzysta lat temu:

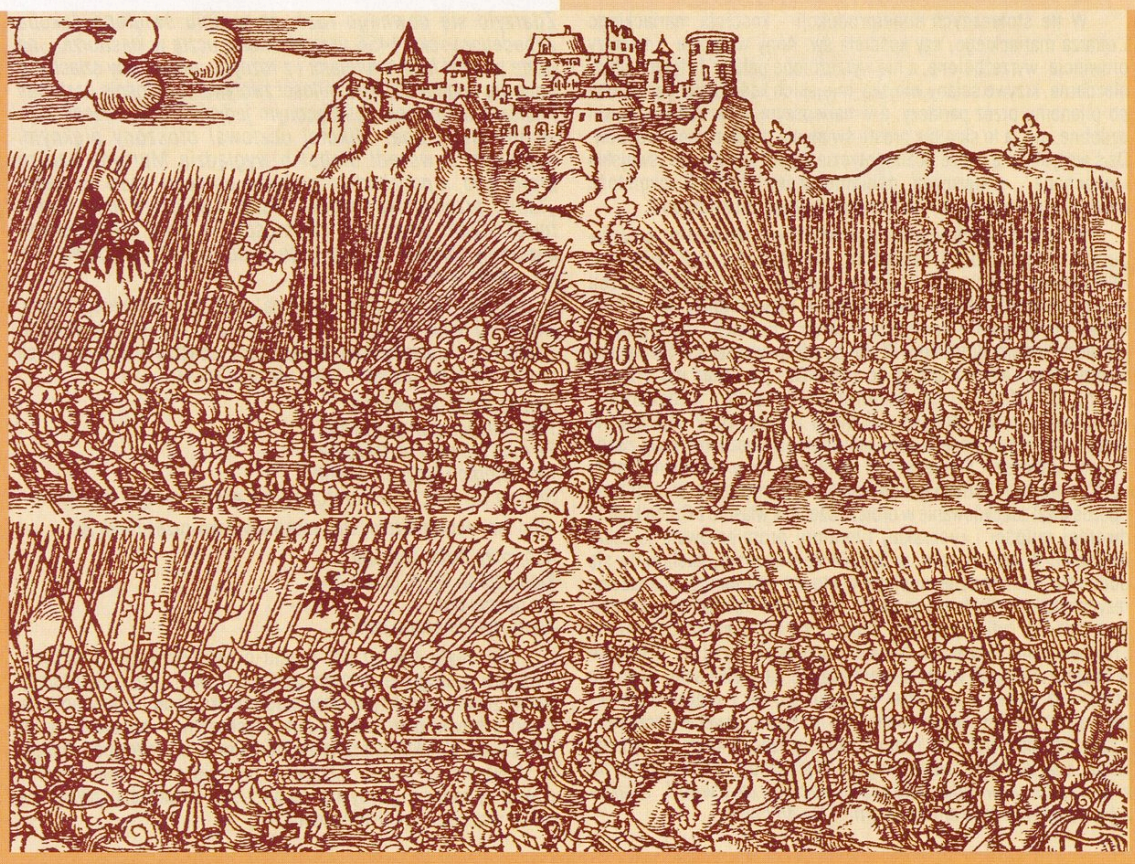
„Nie wiem, jaki zły los sprawił, że u nas słowo pisane w niewielkiej jest cenie. Wskutek tego mało mamy ludzi wykształconych, a jeżeli tacy się zjawią, szlachta i magnaci nie dbają o nich".



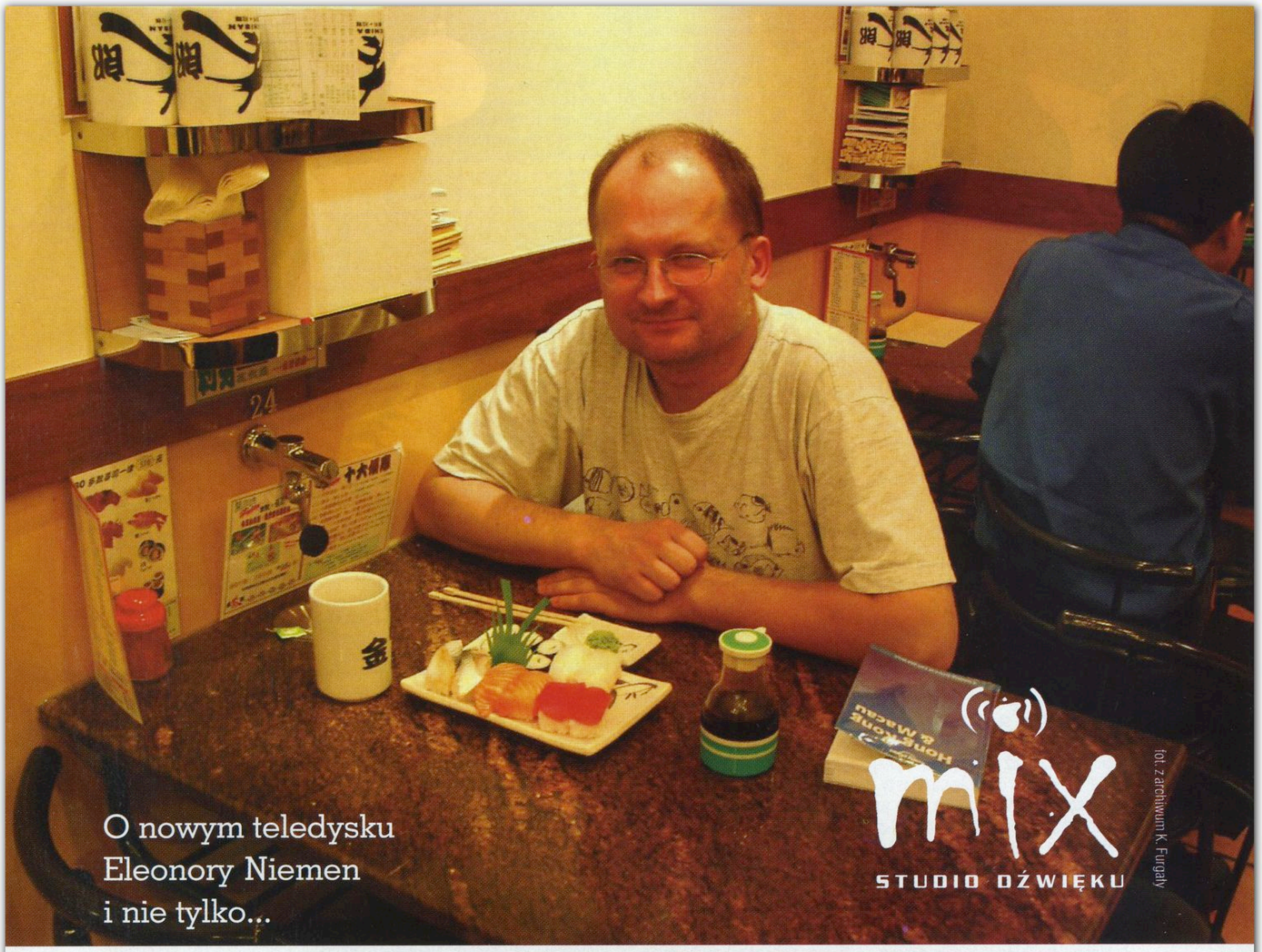
I tu kończy się cykl „opowiadań" Jacka Kowalskiego, które drukowaliśmy przez kolejne 20 numerów naszego pisma. Można je spotkać – zebrane w całość, w książce „O czym śpiewają niebiosa czyli średniowiecze jak świeże bułeczki" wydanej w 2002 roku przez Firmę „Paganini".

Jacku, dzięki za to, że w tak wspaniały, prosty a zarazem wyrafinowany sposób przybliżyłeś nam kulturę, muzykę i sztukę dawnej Polski (i Europy)! Będzie nam brakowało Twojego pełnego pasji i dowcipu spojrzenia na naszą przeszłość. Dzięki też za autentyczną miłość do Średniowiecza! Dzięki Tobie o wiele bardziej je odkryliśmy i zrozumieliśmy!

- Redakcja RUaH



bitwa pod Grunwaldem



fot. z archiwum K. Furgały

O nowym teledysku
Eleonory Niemen
i nie tylko...

rozmowa Grzegorza Ułamka

z Krzysztofem 'Bazylem Furgałą

z wrocławskiego Wydawnictwa Mix-Studio Dźwięku

Jest tyle muzyki i dźwięków w świecie – dlaczego zajmujecie się w Waszym wydawnictwie muzyką chrześcijańską? Czy to się opłaca...?

Po pierwsze, nie lubię pojęcia „muzyka chrześcijańska", bo muzyka – jest lub jej nie ma. Wydajemy muzykę tworzoną przez ludzi, którzy mają określony pogląd na sprawy wiary i życia. Każdy z naszych wykonawców ma coś innego do powiedzenia. Jedni mniej, drudzy więcej opowiadają w swej twórczości o sprawach związanych z wiarą czy światopoglądem. Nasze wydawnictwo jest firmą prywatną, nienależącą do żadnego Kościoła czy organizacji. Staramy się wydawać muzykę na dobrym poziomie artystycznym i technicznym, a treści, jakie promujemy, wynikają z naszych osobistych przekonań. Jesteśmy wydawnictwem niszowym, które zwraca się do odbiorcy nastawionego na określone treści.

Wydaliście kilka dobrych płyt - wspomnę tylko takie zespoły, jak New Life M, Trzecia Godzina Dnia, czy ostatnio - Deus Meus... Jakie kryteria decydują o tym, że współpracujecie z takim, a nie z innym zespołem?

Nie jesteśmy organizacją ewangelizacyjną, która żyje z datków czy ofiar – to, co wydajemy, musi być dobre i jak każda inna produkcja muzyczna, musi się samo bronić się na rynku oraz zarobić na siebie. Wybieramy artystów reprezentujących wysoki poziom artystyczny i gwarantujących powodzenie tytułu. Oczywiście zespół musi stać za tym, co śpiewa, dlatego na początku dość długo się nawzajem poznajemy - obie strony muszą być pewne, że chcą razem pracować. My też musimy się podpisać pod tym, co robi zespół, dlatego dość starannie wybieramy artystów do współpracy. Mimo ogromnej ilości nagrań, które nadsyłają do nas zespoły i artyści, nie ma za bardzo w czym wybierać. W większości są to produkcje ciekawe, aczkolwiek na dość niskim poziomie warsztatowym. Po prostu - nagrania muzykujących przyjaciół lub znajomych. Jest to poziom odpowiedni do posługi w kościele i na imprezach, ale często nie nadający się do wydania. Drugi ważny warunek, który stawiamy, jest związany z tym, czy zespół chce i ma szanse grać koncerty. Bez działalności koncertowej bardzo ciężko jest wypromować grupę lub artystę. Jeśli zespół nie gra koncertów, nie ma managera, to jego szanse na wydanie płyty są nikłe.

Wiem, że Waszej pracy bardzo doskwiera piractwo...

Tak. W ogólnej świadomości odbiorców - można kopiować płyty, bo to nie jest zakazane prawem. Nie chcę dyskutować na temat, co jest zakazane a co nie, bo jest to dyskusja jałowa. I tak każdy robi to, na co ma ochotę i zawsze znajdzie na to uzasadnienie. Mogę powiedzieć tylko o sobie. W moich zbiorach nie mam ani jednej skopiowanej płyty, a mam ich naprawdę sporo. Nie wynika to z tego, że jestem rozrzutny lub nie mam co robić z pieniędzmi, lecz z szacunku, jakim darzę ludzi, których muzykę kupuję. Kupując CD wiem, że artysta w tym partycypuje i w ten sposób mogę mu podziękować za to, co stworzył. Moim zdaniem każda kopia płyty jest policzkiem w twarz



realizacja teledysku Eleonory Niemen fot. provizorca

artysty. To tak, jakbym zjadł na oczach cukiernika pączki, oblizał się i powiedział, że są smaczne, a następnie wyszedłbym z cukierni nie płacąc za nie. I na odchodne tłumaczę się tylko, że zjadłem, bo byłem głodny, a przecież twoje pączki są najlepsze w mieście, dlatego zjadłem twoje. Cukiernik co prawda cieszy się z popularności i uznania, ale jest wściekły, bo mimo, że jego praca została zauważona, to jednak nie pozostaje doceniona, nie dostał zapłaty. Podobnie jest z kopiowaniem płyt. Ludzie kopiują płyty, bo je lubią i chcą mieć, a przy okazji dają w twarz artyście i tym wszystkim, którzy przy niej pracują. Ale ilu jest ludzi, którzy tak myślą? Na wszystko jest wytłumaczenie. Każde kopiowanie płyt, bez względu na ważne przyczyny, jest szkodliwe - prędzej czy później piractwo zniszczy muzykę. To tak jak z tym cukiernikiem. Kiedyś zamknie interes z najlepszymi pączkami w mieście. Wszyscy chcą jego pączków, ale nikt nie chce za nie zapłacić. Cukiernik sam zapłaci za to, że robił najlepsze pączki. Zamknie cukiernię i jaką korzyść będą mieli wtedy wielbiciele jego wyrobów? Taką samą „korzyść" będą mieli ci, co kopiują lub słuchają skopiowanych płyt - nie będzie nowej muzyki. Czy na pewno tego oczekują słuchacze? Chyba nie. Myślę, że nie jest moim zadaniem zmieniać stosunek słuchaczy do tej sprawy. To powinny robić media i osoby opiniotwórcze, jak nauczyciele, księża i liderzy, a ja powinienem wydawać jak najlepsze płyty. Niestety, to często od nich idzie przykład i pozwolenie na kopiowanie płyt w imię jakichś świętych celów. Takie działanie zabija muzykę. Żaden, nawet najświętszy cel nie powinien prowadzić do zabijania, no chyba, że cofniemy się do Średniowiecza. Od nas jako wydawcy, mogę tylko powiedzieć, że jeśli nasi klienci będą robić wszystko, żeby zniszczyć tę muzykę, to im się uda i zamkniemy wydawnictwo. Jeśli taka jest wasza wola, to – klient nasz pan! Im więcej kopii, tym szybciej zamkniemy.

Masz swój nowy i ciekawy pomysł akcji przeciwko piractwu...

Wiem, że nie przemówię nikomu do sumienia. Jako wydawca nawet nie chcę oceniać tych, co kopiują płyty, bo zaraz będę przez nich osądzony. Jedyne co mogę zrobić, to podziękować tym, którzy kupują nasze płyty. Samo słowo „dziękuję" nikomu nic nie da, dlatego ruszamy z akcją wynagradzania tych, którzy są legalnymi posiadaczami naszych wydawnictw. Chcemy to honorować w postaci darmowych płyt. Mam taki pomysł, który chcemy zrealizować w najbliższym czasie. Należałoby nadesłać do nas 5 oryginalnych książeczek (okładek) z naszych płyt wraz z zaadresowaną i oznakowaną kopertą zwrotną (ale taką, w której można wysyłać płyty CD) na adres wydawnictwa wraz z podaniem płyty z naszego katalogu, jaką chce się otrzymać. My wraz z książeczkami (które będą oznakowane) wyślemy wybraną płytę do odbiorcy. Uwaga - muszą być to książeczki z płyt z naszego wydawnictwa (albo 5 książeczek z CD albo 5 z kaset, nie będziemy akceptować mieszanych, trochę z CD i trochę z kaset). W ten sposób chcemy wynagradzać tych, co są fair wobec nas i fair wobec artystów. Chcemy im podziękować za ich wsparcie i zaufanie. Myślę, że wkrótce ten pomysł stanie się faktem i poinformujemy o tym na naszej stronie internetowej i w prasie. Na razie proszę jednak jeszcze nie przysyłać do nas okładek!!! Ale chętnie usłyszę Wasze opinie na ten temat.

Jakie inne problemy związane z promocją płyt przeżywa wydawnictwo?

Myślę, że jak każde wydawnictwo niszowe, nie jesteśmy bardzo widoczni w mass mediach i wielu potencjalnych odbiorców nie wie o naszej ofercie. Staramy się to zmienić - to długi proces, ale będziemy pracować. Szczególne kładziemy nacisk na Internet i z tym związane możliwości. Jesteśmy jednym z niewielu wydawnictw, które na stronach www.mix-studio.pl oferują całe utwory w formacie mp3 oraz mix z całej płyty. Zapraszam na nasza stronę do działu mp3.

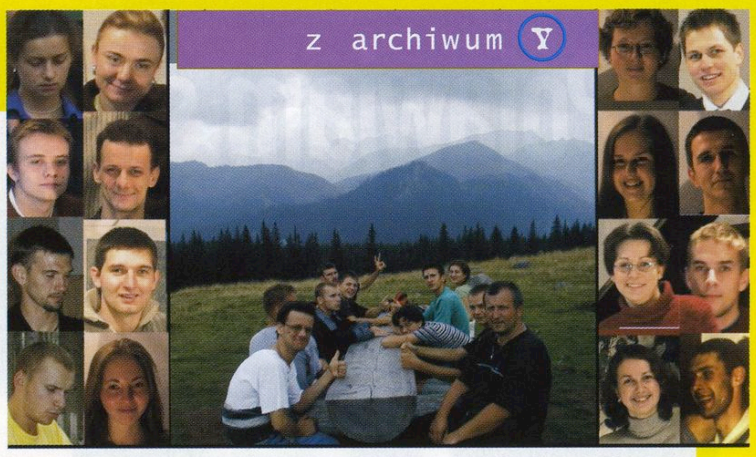
Nowy teledysk Eleonory Niemen MTV i Viva pokazuje kilkadziesiąt razy tygodniowo i trzeba powiedzieć, że ten clip jest bardzo profesjonalny, wciąga widza i zaprasza do posłuchania płyty. Coraz częściej zespoły chrześcijańskie tworzą clipy do swej muzyki – czy można dziś promować muzykę bez telewizji?

Tak jak mówiłem na początku, chcemy robić muzykę na wysokim poziomie artystycznym i warsztatowym. Do każdej naszej nowej CD będziemy produkować teledyski. Muzyka bez TV nie ma większych szans zaistnieć. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że jeśli muzyka i teledysk są na wysokim poziomie, nie ma problemu z zaistnieniem w MTV czy Vivie. Elenora z naszego wydawnictwa i zaprzyjaźniony wrocławski zespół Ocean są tego najlepszym dowodem. Oczywiście, zły teledysk nie ma szans zaistnieć. Co więcej, szkodzi zespołowi i całemu nurtowi muzycznemu. Większość teledysków, jakie do tej pory były zrobione, są bardzo kiepskie. Dopiero od jakiegoś roku zaczęły się pojawiać profesjonalne produkcje. Cieszy mnie to.

Opowiedz o najbliższych planach wydawniczych...

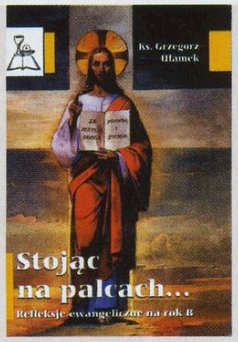
Po pierwsze, chcielibyśmy wydawać więcej nowości, ale przy obecnym poziomie piractwa jest to trudne, ponieważ koszty poniesione na wydanie nowego tytułu zwracają się o wiele dłużej. Dlatego premier będzie mało. Ale będą. Na pierwszą połowę roku planujemy płytę zespoły Leaf z Wrocławia. Terminy nagrań w studio są już znane, piosenki gotowe, nad okładką i teledyskiem już pracujemy. Myślimy nad nową płytą TGD, Beaty Bednarz oraz nad jakimś debiutem. Ale za wcześnie na szczegóły. Im więcej kopii ludzie robią, tym trudniej nam planować przyszłość, a tym bardziej zdradzać nasze plany.

Marana-tha



Zespół Marana-tha powstał przy Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży w parafii św. Jadwigi w Dębicy w 1995 roku. Wszystko zaczęło się od oprawy muzycznej Mszy św. młodzieżowej i comiesięcznych młodzieżowych czuwań. Potem przyszły koncerty ewangelizacyjne podczas rekolekcji i dni skupienia młodych. Odtąd, dzięki pomocy Bożej i temu, że członkowie grupy mają niespożytą ochotę i dużo dobrej woli, Marana-tha koncertuje w różnych parafiach diecezji tarnowskiej. Nikomu chyba nie trzeba tłumaczyć, że nie jest łatwo zebrać na próby kilkunastoosobową grupę ludzi rozsianych po różnych częściach Polski (dosłownie!). Wzajemna życzliwość ludzi w zespole i ich przyjaźń między sobą pozwala zsynchronizować czas i wykroić z zajęć „okienko" dla „Bożej sprawy". Za wszystko zespół składa Bogu dzięki! W ciągu 7 lat wspólnego grania przewinęło się przez niego wielu ludzi. Wciąż przychodzą nowi. Aktualnie jest w nim 15 osób. Część zespołu ma wykształcenie muzyczne: Akademie Muzyczne w Krakowie, Wrocławiu, Łodzi i Gdańsku; inni przeszli przez Liceum Muzyczne w Rzeszowie lub I i II stopień Szkoły Muzycznej w Rzeszowie i Dębicy. Pozostali są samoukami mającymi ową muzyczną „iskrę Bożą". Liderką zespołu jest Agnieszka Szczepańska, nauczycielka szkoły integracyjnej. Ma za sobą studia wychowania muzycznego w Rzeszowie i skrzypiec w Łodzi oraz muzykoterapii na Akademii Muzycznej we Wrocławiu. Niezmordowanie, od początku do dziś, prowadzi grupę aranżując jej piosenki. Pomaga jej w tym pianista - Piotr Czerny, który w planach swoich muzycznych zajęć w Krakowie i Warszawie wiele razy dokonywał różnych wolt, by zasiąść za klawiszami w zespole. Przy finalizowaniu nagrania pierwszej płyty Marana-tha wspomagał zespół absolwent AM w Krakowie (na wydziale jazzowym w klasie saksofonu) – Tomasz Duda. Gitary akustyczne sprawnie „obsługują" - br. Tomasz Parys SChR, Paweł Kołodziej - student i Kamil Para - maturzysta. Na gitarze basowej „walczy" student UJ – Piotr Olechowski (z wykształcenia basista i saksofonista). Na skrzypcach „wymiatają": Iga Lis (AM w Gdańsku i w Krakowie) i Joanna Ciepińska (LM w Rzeszowie). Instrumentami rytmicznymi (perkusja, bębny, dżamba, przeszkadzajki) zajmuje się Grzegorz Reguła (II stopień w klasie perkusji). Chórek śpiewających tworzą: Agnieszka Szczepańska, siostry Katarzyna i Maria Jabłkowskie, Beata Walczyk i Justyna Zagajewska, Dominik Magdoń, Jan Bysiewicz i Rafał Malinowski. Opiekunem duchowym i założycielem formacji jest ks. Krzysztof I. Pasyk . Brzmienie bogatej w instrumentarium formacji jest akustyczne, mocno nastawione na poszukiwania barw i urozmaiconą aranżację (to pasja muzyka i akustyka zespołu Piotra Czernego – do niedawna akustyka w Teatrze Słowackiego w Krakowie, a obecnie akustyka w galerii „OFF" w Warszawie). Jako że „muza" zespołu jest wypadkową różnych osobistych fascynacji jego członków, pobrzmiewa w niej raege, akustyczny pop-rock, salsa, swing-jazz czy ballada muzyczna. Grupa koncertuje dla głoszenia Ewangelii i tylko tak, służąc Bogu i ludziom swym talentem. Grała w wielu miejscach, głównie na południu Polski – w ośrodkach miejskich: na rekolekcjach w Mielcu, kilka razy w Tarnowie (m.in. na II Diecezjalnym Tygodniu Kultury Młodzieżowej, oraz podczas I Diecezjalnego Forum Grup i Stowarzyszeń Katolickich), w Bochni, Nowym Sączu. Do szczególnie sympatycznych i ciepłych należały koncerty w małych parafiach takich jak: Nowy Sącz-Chełmiec (na nocnym czuwaniu młodzieży diecezji), Stary Sącz (przed spotkaniem z Papieżem), Pustków-Osiedle, Piwniczna, Muszyna, Krościenko, Szczawnica, Tymbark, czy Limanowa–Sowliny (kwietniowy koncert ewangelizacyjny dla młodzieży licealnej). W miesiącach od sierpnia do listopada 2002 roku zespół pracował nad płytą zatytułowaną - „Dzieci Światłości". Jest to krążek, na którym do tekstów będących parafrazami, kompilacjami, bądź fragmentami Biblii muzykę napisali członkowie zespołu. Nagrania dokonane zostały w sierpniu w studio „Edycji Paulińskiej" w Częstochowie. Płytę można nabyć w Krakowie, Warszawie, Lublinie i Rzeszowie u członków zespołu oraz w diecezjalnych referatach młodzieżowych, także podczas koncertów Marana-tha.

Marana-tha, kontakt: 0-602-887-005, internet: www.tel.debica.pl/inne/fara/marana-tha (tam też próbki piosenek zespołu) ■



O. Andrzej Bujnowski OP

Uwaga: ciekawe książki!

O księdzu Grzegorzu Ułamku z Częstochowy powiedzieć możemy - „kolega redakcyjny", bo od ponad dwóch lat jest stałym współtwórcą naszego pisma. Jego książkę „Pięć okien" (wydaną rok temu przez Firmę „paganini"), wywiady z muzykami i artykuły dobrze znacie, jeśli jesteście czytelnikami RUaH. Swego czasu, felieton ks. Grzegorza o piractwie płytowym sporo „namieszał" na stronach internetowych www.ruah.pl i odbił się głośnym echem wśród artystów.

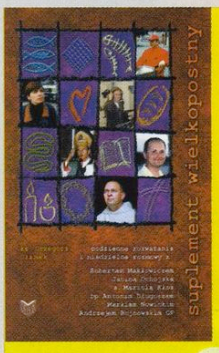
W ostatnim czasie pojawiły się dwie jego nowe książki, co pokazuje, że ks. Ułamek, jak mawiamy, nie lubi siedzieć z założonymi rękami. I bardzo dobrze, bo my na tym też korzystamy.

Pierwsza z nich, **„Stojąc na palcach"**, wpadła mi w ręce jeszcze w Adwencie i wyraźnie zwróciła na siebie uwagę. Są to rozważania dotyczące czytań mszalnych na niedziele Roku „B". W podtytule książki czytamy jednak: „Refleksje ewangeliczne", a zatem – nie kazania?

Wielu kapłanów, przewodników duchowych, w tym teologów świeckich, publikuje swoje homilie do Mszy niedzielnych i są one dostępne w sprzedaży. Książka ks. Ułamka wyróżnia się swoją nowoczesnością! Nie znajdziemy w niej raczej tradycyjnych kazań, ale bardzo ciekawe i zachęcające do przemyśleń artykuły (charakterem zbliżone do felietonów) - komentarze do poszczególnych Ewangelii. Pisane były kilka lat temu dla słynnej „Gazety Radomszczańskiej", redagowanej pod kierunkiem Jacka Łęskiego. „Prasowa refleksja ewangeliczna nie może być komentarzem ewangelicznym" – czytamy we wstępie książki. Także „inaczej pisze się do pism religijnych, a nieco inaczej do świeckich gazet" – dodaje autor. I faktycznie, „rozważania" ks. Grzegorza koncentrują się nie tyle na teologii wspomnianych czytań (to robili już wyczerpująco inni), ile na wnioskach z niej wyciągniętych, wśród których pełno „pytań, prowokacji, propozycji rozwiązań". Ks. Ułamek pisze o Ewangelii z pozycji „dziecka swego czasu", patrzy na nią oczyma użyt-kownika Internetu, młodego człowieka zainteresowanego współczesną ekonomią, stosunkami społecznymi, zjawiskami kultury i sztuki, psychologią czy socjologią. To bardzo świeże spojrzenie na Dobrą Nowinę, pozwalające odczytać ją w kontekście nowych mediów, które intensywnie kształtują myślenie obecnego pokolenia, jak w ogóle – nowej rzeczywistości, w której żyjemy od kilku lat. Mnie się ono bardzo podoba! W naszym Kościele nie za dużo wciąż pozycji, które reprezentują ten typ myślenia. A swoją drogą – do kazań niedzielnych wygłaszanych przez kapłanów, pomysłów tu kopalnia!

Druga książka nosi tytuł **„Suplement wielkopostny. Codzienne rozważania i niedzielne rozmowy o Wielkim Poście"**. Pojawiła się nakładem Wydawnictwa „Dehon" krakowskich Księży Sercanów i jest pozycją szczególnie aktualną, jak sama nazwa wskazuje. Choć, trzeba dodać, nie tylko. Prócz rozważań na każdy dzień Wielkiego Postu zawiera sześć wywiadów z ludźmi, którzy reprezentują bardzo różne dziedziny, mające jednak jakiś związek z szeroko pojętą kulturą (szczegóły na stronie www.oknonakulture.art.pl). Są to m.in.: Janina Ochojska, Siostra Mariola Kłos, Robert Makłowicz, Biskup Antoni Długosz, Marek Nowicki. Grzegorz rozmawia z nimi o Wielkim Poście w kontekście profesji, jakie pełnią. Wywiady są ciekawe, ich główną zaletą są prowokacyjne, inteligentne pytania, także fakt, że ks. Ułamek wybrał ludzi głęboko zaangażowanych w to, co robią, traktujących z pasją swoją służbę społeczną, a przy tym niekoniecznie mocno eksploatowanych przez prasę, radio i telewizję.

Serdecznie polecam obie książki, a Grzegorzowi życzę kolejnych – podobnie udanych! ■



Pojawiam się i znikam...

o Bogu, marzeniach, sukcesie z Violą Brzezińską

rozmawiają Marcin Oleksy i Ilona Pliszka

Zacznijmy naszą rozmowę od momentu, w którym wielu ludzi ujrzało Cię po raz pierwszy – „Szansa na sukces", Debiuty w Opolu. Powiedz mi, Violu, kogo Ci ludzie przed telewizorami zobaczyli? Jakim byłaś człowiekiem, o czym marzyłaś?

Zobaczyli zapłakaną ze szczęścia małolatę, która nie potrafiła ukryć łez wzruszenia. Jej marzenia zaczęły się spełniać. Marzyłam całe życie o sławie, o tym, by śpiewać i być popularną gwiazdą.

I byłaś na dobrej ku temu drodze. Zaczęłaś dostawać konkretne propozycje, nawet ostatnio...

Całkiem niedawno zostałam zaproszona do wzięcia udziału w castingu do „bardzo znanego zespołu". Przesłuchania odbywały się blisko mojego domu, więc poszłam z ciekawości, by dowiedzieć się, cóż to za zespół. Dopiero na miejscu zobaczyłam, że to Ich Troje. Wybrano mnie, ale nie zgodziłam się na tę współpracę. I takich propozycji - w „oczach tego świata" bardzo „poważnych" - dostawałam sporo.

Spełniały się Twoje marzenia. W tym jedno z największych - dołączyłaś do artystów występujących w „Metrze". Jak tam trafiłaś?

W III klasie liceum mieliśmy do wyboru wyjazd na „Metro" lub „Skrzypka na dachu" i wtedy to właśnie „nakręciłam" klasę na tę pierwszą opcję. Od tamtej pory kombinowałam, jak by tu zobaczyć musical jeszcze kilka razy. Wiadomo, że tego typu wyjazdy grupą są tańsze, zatem „zaprzyjaźniłam" się z giżyckim Orbisem. Ja rozwieszałam ogłoszenia w szkołach, organizowałam grupę, a oni udostępniali nam autokar, etc. Razu pewnego, kiedy zabrakło chętnych, sprzedałam swoje dżinsy, żeby mieć na bilet. Jeśli chodzi o „Metro", dostałam się tam dzięki Eli Zapendowskiej, która uczyła mnie emisji głosu. Któregoś razu na zajęciach zaśpiewałam „Litanię" i wtedy Ela zaproponowała mi spotkanie z Januszami: Stokłosą i Józefowiczem. Przesłuchali mnie i przyjęli.

Teraz dla większości ludzi Ela Zapendowska to wymagający juror w „Idolu". Jak wspominasz współpracę z osobą, z którą spotkania obawia się niejeden młody kandydat na gwiazdę?

Po raz pierwszy pojechałam do pani Eli na zajęcia będąc licealistką. Pamiętam, że powiedziała: „Po maturze przyjedź do Warszawy, a ja ci pomogę". Wzięła mnie „pod swoje skrzydła" na 3 lata, lekcje miałam gratis, mogłam przychodzić, kiedy chciałam. Przygotowywała mnie do finałów „Szansy"; Opola. Wiedziałam, że mogę na nią liczyć, nie tylko w kwestii emisji. To kobieta o wielkim sercu i wrażliwości.

Drugi z „Idolowych" jurorów - Jacek Cygan - napisał tekst do śpiewanej przez Ciebie piosenki, do której nakręciłaś nawet teledysk.

Jacka Cygana poznałam dzięki Eli, napisał dla mnie tekst piosenki, natomiast clip dla TVP to była nagroda za „Szansę".

To nie był Twój jedyny kontakt z filmem...

Bardzo ciekawym doświadczeniem było nagrywanie piosenki „Szeptem" do filmu „Amok". Jego reżyserka zaproponowała mi, żebym się w nim też pojawiła śpiewając w quasi-barze (nagrywaliśmy w „Ground Zero"). Potem widziałam siebie w kinie przez parę sekund. Czekając na nagranie swojej kwestii, miałam okazję przyglądać się pracy aktorów na planie. Byłam pełna podziwu dla ich cierpliwości, zdolności koncentracji. Jeśli chodzi o „Sponę", dogrywałam tam chórki („smaczki") do wokalu Darka Malejonka, pod czujnym uchem Marcina Pospieszalskiego. Pomysł, abym to ja zaśpiewała tę piosenkę, wyszedł od Jacka Wąsowskiego. A do „Amoku" dostałam się z castingu.

Wydawałoby się zatem, że wszystko zaczyna się kręcić, wszystko idzie dobrze, a tu nagle znikasz. Dlaczego?

Tak to już jest: pojawiam się i znikam... Ale całkiem poważnie, cały ten czas pracowałam, zaśpiewałam na przykład gościnnie na płycie „Trzeci wymiar" Roberta Jansona, dojrzewałam. Przede wszystkim jednak poznałam wówczas Pana Boga i Jego Miłość, budowałam swoją relację z Nim, a w konsekwencji muzyka, telewizorek, który był dla mnie kiedyś wszystkim, z piedestału w mojej dawnej hierarchii wartości wrócił na właściwą mu pozycję. Poza tym taka jest specyfika tego zawodu – trudno jest być bez przerwy na topie. Wiele osób często na własne życzenie, czasem nie mając na to wpływu, znika z małego czy dużego ekranu.

Ty miałaś jednak propozycje, możliwości... Ktoś mógłby pomyśleć, że nie wykorzystałaś swojej szansy na sukces, ale Ty przecież nie sprawiasz wrażenia osoby żyjącej z piętnem porażki. Czyżby wyraz „sukces" nabrał w Twoim życiu innego znaczenia?

Sukces w sensie zawodowym, to, według mnie, robić to, co się lubi, a z drugiej strony, po latach robiąc „bilans" móc stwierdzić z czystym sumieniem, że nie robiło się czegoś wbrew sobie, nie brało się udziału w takich projektach, których należałoby się wstydzić.
Sukcesem dla mnie jest życie w harmonii z Panem Bogiem, ze sobą samą i bliźnimi. To także zgoda na siebie, co oczywiście nie zwalnia z pracy nad sobą. Poza tym pokój w sercu bez względu na to, co się dzieje.

Co Ci pomaga trwać na tej drodze?

Pomaga mi w tym wspólnota „mieszkalna", a także Saruel.

Co to jest wspólnota mieszkalna?

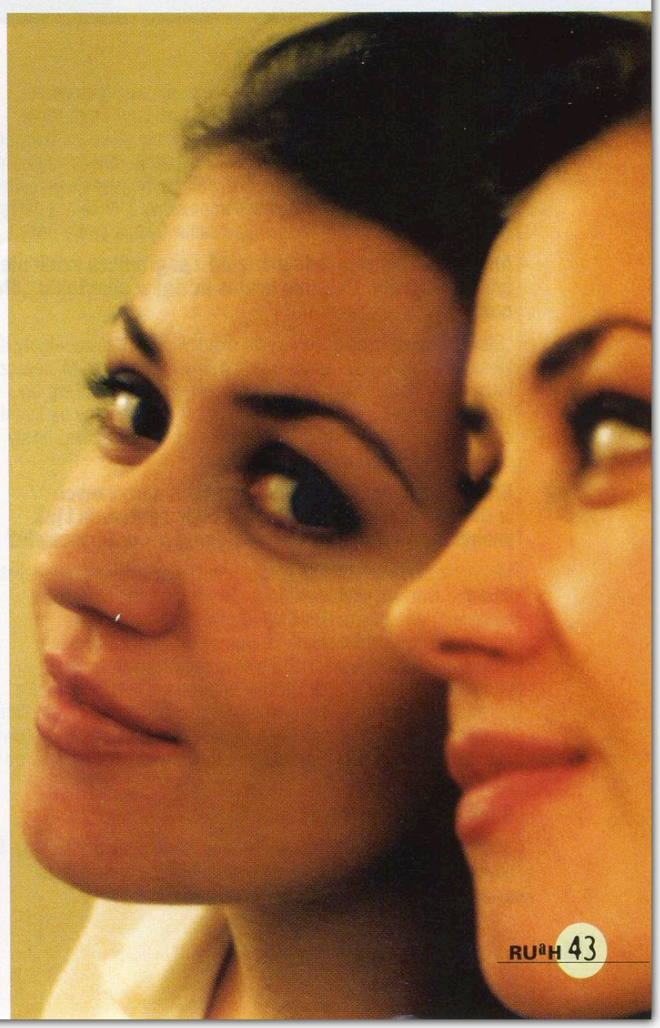
Mieszkam z siostrą i dwiema przyjaciółkami – też siostrami. Modlimy się razem każdego wieczora.

A Saruel? To chyba coś więcej niż zespół?

Saruel to Salezjański Ruch Ewangelizacyjny. To wspólnota ewangelizacyjna młodych ludzi. Poza grupą muzyczną istnieje teatr Saruel i grupa taneczna Saruel. Ruch ten w ewangelizacji posługuje się sztuką, ale przede wszystkim to formacja w duchu salezjańskim: rekolekcje, dni skupienia, spotkania formacyjne na terenie całej Polski (z główną „bazą" w Łodzi).

Nie tylko całej Polski, ale i Europy – byliście niedawno we Włoszech...

Dostaliśmy zaproszenie od włoskiego stowarzyszenia L'Ancora na zagranie pięciu koncertów na terenie regionu Trentino w północno-wschodnich Włoszech. Koncerty odbywały się w przepięknych miejscach, głównie w nadmorskich kurortach. Większość refrenów Saruelowych przetłumaczono na język włoski, dzięki czemu Włosi mogli pośpiewać z nami, co bardzo chętnie czynili. Nieco wcześniej przeszliśmy zintensyfikowany kurs wymowy włoskiej pod wodzą księdza A. Kęsiaka i Tiziano – szefa L'Ancory, żebyśmy wiarygodniej brzmieli. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, w sierpniu tego roku pojedziemy tam raz jeszcze.





Czy L'Ancora to włoski Saruel?

L'Ancora to świeckie stowarzyszenie, które ma trochę podobny charyzmat do salezjanów, tzn. zajmuje się dziećmi i młodzieżą z rodzin dysfunkcyjnych i takimi, które nie mają gdzie się podziać. Zadanie stowarzyszenia polega na pedagogizacji, opiece nad nimi. Ma ono swoje domy na terenie północnej Italii, współpracuje ponadto z wieloma organizacjami z krajów europejskich. L'Ancora to także zespoły muzyczne, które koncertują i same wydają swoje płyty.

Angażujesz się w przedsięwzięcia z pogranicza sztuk nie tylko w Saruelu. Ostatnio brałaś udział w spektaklu „Słowa nadziei"...

„Słowa nadziei" to przedsięwzięcie międzynarodowej wspólnoty ICPE. Występuję tam u boku znakomitego mima – Grzegorza Misiewicza i Krzysztofa Kolbergera. To spektakl oparty na Ewangelii wg św. Łukasza. Założenie spektaklu jest takie, by był on grany na terenie całej Polski. Muzykę napisali Piotr Dziubek i Piotr Bańka, teksty piosenek – Jacek Dudzic.

Brałaś aktywny udział w warsztatach muzycznych w Dursztynie. Na czym polegają takie spotkania i jak zachęciłabyś do udziału w następnych – w Stryszawie?

Muzycy z zespołu New Life Music mieli zajęcia z instrumentalistami, mówili o tym, jak grać w zespole, aby nie przeszkadzać sobie nawzajem, itd. Z kolei Basia Włodarska, Natalia Niemen i ja pracowałyśmy z wokalistami. O. Bujnowski wraz z Marcinem Pospieszalskim odpowiedzialni byli za prowadzenie śpiewu liturgicznego. Poza tym codziennie odprawiana była Eucharystia, jutrznia. Był to bardzo intensywny czas i na pewno każdy, kto serio go potraktował, wyniósł dla siebie i dla swojej wspólnoty wiele nowych i ubogacających rzeczy. Myślę, że w Stryszawie będzie tak samo albo jeszcze lepiej.

A jak trafiłaś do AmenBandu?

W Saruelu czasem grał Andrzej Cudzich, tak oto się poznaliśmy. Po pewnym czasie zaprosił mnie do współpracy, co mnie bardzo ucieszyło.

Przyjęłaś zaproszenie nie tylko Andrzeja Cudzicha, ale i zespołu kojarzonego raczej z muzyką folkową... W styczniu doszło do nietypowego koncertu. Zaprosił cię wrocławski zespół 40+30/70 (Czterdziestu Synów i Trzydziestu Wnuków Jeżdżących na Siedemdziesięciu Oślętach – przyp. red.). Byłaś pierwszą, w dodatku poruszającą się na co dzień w innych nurtach muzycznych, wokalistką, która z nimi zaśpiewała...

Chłopcy zaprosili mnie podczas festiwalu muzyki dobrej w Warszawie. Ucieszyłam się bardzo. Od dłuższego czasu przyglądałam się ich działalności. Kilkakrotnie graliśmy na tej samej scenie. Spodobał mi się ich pomysł na siebie, to, że mają tak wiele nietypowych instrumentów perkusyjnych, które bardzo lubię, no i przede wszystkim polubiliśmy się chyba. Koncert jak zawsze profesjonalnie i z sercem nagrywał Wojtek Białoskórski.

A skąd pomysł zagrania koncertu w pubie – miejscu nietypowym dla koncertów chrześcijańskich? Czy była to jakaś forma ewangelizacji?

Zamysł był taki, aby głosić Królestwo Boże w miejscu, które jest „uczęszczane", lubiane, w którym można posłuchać ciekawej muzyki, a że przy okazji ta muzyka ma przesłanie ewangeliczne... Resztę oddaliśmy Panu Bogu. Myślę, że na pewno była to jedna z form ewangelizacji. Bo czyż ewangelizacją można nazwać koncert dla osób zaangażowanych w życie Kościoła, starających się być wiernymi Panu Bogu pomimo wszystko? W tym kontekście, wydaje mi się, należy mówić o umocnieniu wiary, pogłębieniu relacji z Bogiem. Prawdziwa ewangelizacja to głoszenie Dobrej Nowiny osobom, które odrzuciły Chrystusa, Jego naukę.

W 1995 roku marzyłaś o sławie i byciu gwiazdą – o czym marzysz teraz?

...Tak naprawdę zależy mi na tym, aby wola Boża wypełniła się całkowicie w moim życiu, aby Pan Bóg był w nim zawsze na pierwszym miejscu. Jeśli tak będzie, będę najszczęśliwszą osobą pod słońcem!

Tego też wszyscy Ci życzymy. Bardzo dziękujemy za rozmowę.

zdjęcia: Lucyna Dowejko-Riege

List od Czytelnika

Golub-Dobrzyń, 21 stycznia 2003 roku

Droga Redakcjo czasopisma RUaH!!!

Bardzo długo zastanawiałam się jak rozpocząć swój list do Was, bo nie bez powodu często mówi się, że najtrudniejsze są zawsze początki. W moim przypadku (choć osobiście jestem pewna, że Przypadków nie ma) rozpoczęcie, tak praktycznie, nie powinno być problemem, a jednak! Nazywam się Małgorzata Kuźmińska, mam 45 lat, od 20 lat jestem nauczycielem Zespołu Szkół Specjalnych w Golubiu-Dobrzyniu. Od niedawna, dokładnie od 2 lipca 2001 roku, jestem magistrem teologii. Wydawać by się mogło, że ktoś taki nie powinien mieć żadnych trudności z początkiem. Ale widać, jestem potwierdzeniem powiedzenia, że najtrudniejsze są rzeczy z pozoru najprostsze. Jak napisałam, pracuję bardzo długo z dziećmi i młodzieżą niepełnosprawną. Jako nauczyciel z długim stażem pracy w jednej szkole - specjalnej, mogę z całkowitą, niepodważalną pewnością stwierdzić, że jestem osobą, którą Pan Bóg na pewno nie przez Przypadek umieścił właśnie w tym Miejscu, abym właśnie Tutaj robiła to, co robię. Często w rozmowach z rodziną, przyjaciółmi, znajomymi, mówię, że nie zamieniłabym swojej pracy na żadną inną. Tym niemniej doświadczam na co dzień, że jest to praca wyczerpująca, trudna, ale przynosząca Obfite Owoce. Dzisiaj śmiało mogę stwierdzić, że warto dać siebie całego dla pracy z dziećmi, z którymi pracuję, bo to, co się daje, w porównaniu z efektami i satysfakcją, jest tylko jak gdyby maleńką kropelką w morzu życia. Jeszcze do niedawna, konkretnie do rekolekcji adwentowych w Sikorzu, w których uczestniczyłam w listopadzie ubiegłego roku, tak do końca nie byłam chyba tego w pełni świadoma. Być może dla kogoś, kto czyta to, co piszę, może wydawać się rzeczą nieprawdopodobną, być może wręcz absurdalną. Jak to?!

Ktoś w takim wieku (choć wewnątrz ciągle tkwi we mnie młodość), z tak długim stażem pracy (choć czasami mam wrażenie jakbym dopiero rozpoczynała swoją pracę) - pisze, że dopiero od niedawna jest przekonany, że to gdzie jest, co robi - ma prawdziwy sens? A jednak tak! Dla mnie samej, gdy się tak trochę głębiej nad tym zastanowię, jest to trudne do zrozumienia, ale prawdziwe. Właśnie podczas rekolekcji adwentowych w Sikorzu, dla nauczycieli katechetów uczących w szkołach Diecezji Płockiej, nastąpiła we mnie jakaś, na sposób tzw. „ziemski"- niewytłumaczalna - wewnętrzna przemiana. Zauważyli to wszyscy - zarówno członkowie rodziny, przyjaciele, znajomi, współpracownicy w szkole, przede wszystkim - ja sama! To właśnie dzięki Sikorzowi mój list dotarł do Redakcji kwartalnika RUaH, i pojawiła się nieodparta wręcz chęć nawiązania kontaktu z ludźmi, którzy współtworzą to czasopismo. Dlaczego? Zaraz pokrótce postaram się wytłumaczyć - choć słowami będzie to trudno wyjaśnić. A więc Sikorz! Rekolekcje prowadzone przez ks. Andrzeja Krasińskiego i siostrę Ernestę. Sikorz jest wioską położoną niedaleko Płocka. Znajduje się tam KATOLICKIE CENTRUM FORMACJI. W kaplicy Domu Rekolekcyjnego znajduje się obraz Jezusa Miłosiernego - „Jezu, ufam Tobie!". Tyle może, jak gdyby tytułem wstępu, chyba za bardzo się rozpisałam, ale już teraz przechodzę do meritum sprawy. Wstyd może przyznać się, ale właśnie w Sikorzu po raz pierwszy zetknęłam się z Waszym czasopismem RUaH. Ksiądz Andrzej Krasiński i siostra Ernesta uczyli nas - katechetów, między innymi pieśni prezentowanych na płytach CD - dodatkach do Waszego kwartalnika. Szczególnie ważną rolę odegrała w moim przypadku pieśń „Zaufaj Panu". Wiem, że pieśń ta powstała na czas pielgrzymki Ojca Świętego do Polski. Byłam osobiście ze swoją rodziną na Błoniach Krakowskich podczas Mszy św. celebrowanej przez naszego Papieża Jana Pawła II... Należę do osób, które przywiązują ogromne znaczenie do słów, a właśnie słowa tej pieśni, według mnie, w sposób wyjątkowy oddają prawdziwość naszych czasów, realia dnia współcześnie żyjących ludzi. Każdy może zidentyfikować się z treściami zawartymi w pieśni, a odpowiedź na nurtujące ludzkość pytania jest jedna: Zaufaj Panu już dziś! Słowa i muzyka tej pieśni stała się od Sikorza głównym mottem mojego życia. Naprawdę, to, co dotąd czasami przerażało mnie, blokowało moje Ja, stało się prostym do rozwiązania zadaniem. To po części zasługa Waszego czasopisma, które przedstawia różne rodzaje muzyki chrześcijańskiej. Jestem pod dużym wrażeniem tego, co robicie na łamach czasopisma. Bardzo dobrze się stało, że Ktoś zajął się promocją właśnie muzyki chrześcijańskiej. Pracując w Szkole Specjalnej na co dzień, obserwuję, że młodzież chętnie słucha muzyki, np. typu hip-hop. Ale słowa zawarte w Waszym hip-hopie to strzał w dziesiątkę. A więc hip-hop! Huraaa - że są ludzie, którzy tworzą taką właśnie muzykę, a przede wszystkim takie teksty piosenek. Jako osoba wierząca, ufająca Bogu wiem, że... „Na początku było Słowo". Być może właśnie dlatego tak dużą wagę przywiązuję do słów. I tutaj należy się bardzo głęboki ukłon i największe słowa uznania dla pana Jacka Jabłońskiego - 3miela, za wydanie płyty - „HIP-HOPE". Uczniowie, z którymi pracuję pochodzą często z rodzin patologicznych, często czują się niechciani i odrzuceni przez swoje rodziny. Nauczyciel pracujący w szkole specjalnej niejednokrotnie zmuszony jest do prowadzenia indywidualnego toku nauczania na każdej jednostce lekcyjnej. Konieczna jest duża elastyczność w pracy z uczniami, ogromna cierpliwość i wyro-zumiałość. A przede wszystkim potrzebne jest Serce - KTÓRE TAK PIĘKNIE BIŁO w pierwszym utworze na płycie, serce, którego naszym uczniom tak często brakuje, a które daje gwarancję powodzenia, zarówno w pracy wychowawczej jak i dydaktycznej nauczyciela. Prawdziwy nauczyciel stara się traktować izby lekcyjne jako drugi dom UCZNIÓW. Zawsze trzeba mieć nadzieję - ufając Panu, że praca wykonywana skieruje te dzieci w stronę godnego życia, pokaże im prawdziwe wzorce, których szczególnie w obecnych czasach tak często brak, a które z całą pewnością warto naśladować. Jak już pisałam, z Waszym magazynem RUaH zetknęłam się po raz pierwszy w Sikorzu. Tam był Początek, ale z całą pewnością nie Koniec...! Utwory z płyt CD dołączanych do kwartalnika RUaH zaczęłam włączać w nauczanie na lekcjach religii. Skutek niesamowity, przeszedł wręcz moje najśmielsze oczekiwania. Młodzież była wręcz zszokowana, że tego typu muzyka, może mieć - takie Słowa! Po prostu SZOK! Zarówno dla uczniów, jak i dla mnie samej. A więc jeszcze raz serdeczne podziękowania i gratulacje dla pana Jacka Jabłońskiego, no i dla tych wszystkich osób, które pomogły Mu stworzyć taką płytę! Każdy, słuchając i zastanawiając się nad prawdziwym sensem słów poszczególnych utworów prezentowanych na płycie, jestem o tym głęboko przekonana, na pewno - WYPŁYNIE NA GŁĘBIĘ i całkowicie ZAUFA PANU JUŻ DZIŚ. Bo naprawdę WARTO!!! Na koniec chciałabym jeszcze raz bardzo serdecznie podziękować siostrze Erneście i ks. Andrzejowi Krasińskiemu za Sikorz, no i oczywiście wszystkim współtworzącym tak wspaniały kwartalnik muzyki chrześcijańskiej RUaH, życzyć dalszej Owocnej Pracy.

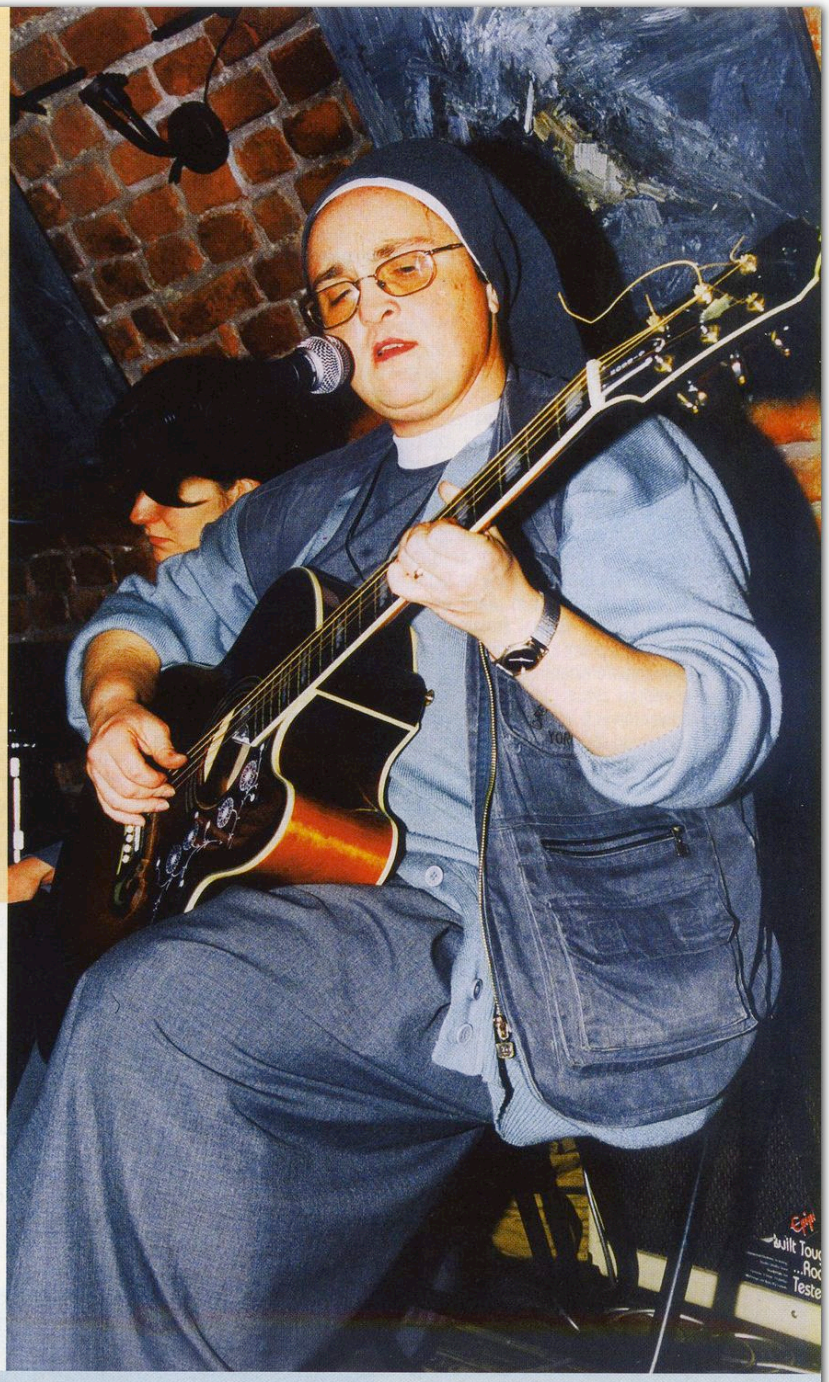
Małgorzata Kuźmińska z Golubia- Dobrzynia



Autorka listu (w środku) z grupą Eden przed występem w Kowalewie

O siostrze Annie Bałchan pierwszy raz usłyszałem wiele miesięcy temu. W którymś z wieczornych dzienników zobaczyłem migawkę o katowickim stowarzyszeniu, które pomaga kobietom-ofiarom przemocy. W pamięci utkwiła mi postać siostry zakonnej w szarym habicie, która nie miała w sobie nic z eterycznej maniery, jaką od czasu do czasu mogłem spotkać u niektórych przedstawicielek zakonów żeńskich. W sądach była stanowcza (od razu widać było, że stąpa mocno po ziemi), a gdy wzięła do ręki gitarę, to jej śpiew nie miał w sobie nic z ulotnego i łaskotającego ucho sacro-polo. Potem siostrę Annę zobaczyłem w teledysku z piosenką Magdy Anioł „Zaufaj Panu już dziś", który został nakręcony specjalnie z okazji pielgrzymki papieskiej.

Wszystko to zadecydowało o tym, że kiedy dowiedziałem się, że 29 listopada 2002 roku, siostra Anna wystąpi z zespołem w Krakowie w „Piwnicy przy Dominikańskiej", od razu zdecydowałem się tam pójść.



Cezary Sękalski

Siostra Anna Bałchan

w „Piwnicy przy Dominikańskiej"

Jestem „artystką ludową"!

Już przed koncertem piwnica była gęsto nabita ludźmi a stoliki, które w pierwszym momencie wydawały się wolne, szybko okazywały się zarezerwowane. Trzeba więc było jakoś się ratować, żeby znaleźć kawałek wolnego miejsca.

O 19.30 muzycy podeszli do instrumentów i z głośników zaczął dobiegać dobry, stary blues. Skład zespołu zresztą w sam raz pasował do kameralnego klubowego grania. Perkusja z obowiązkowymi szczoteczkami, kontrabas, nieodzowny element dobrej sekcji rytmicznej, i gitara z rewelacyjnymi bluesowo-jazzowymi solówkami. Takiej muzyki mógłbym słuchać godzinami!

Po chwili rozgrzewki na scenie usiadła siostra Anna trzymając w rękach gitarę rytmiczną, a przy dwóch pozostałych mikrofonach ustawił się chórek i popłynęły okraszane dowcipnymi zapowiedziami piosenki.

Mimowolnie na skraju stołu zacząłem notować ciekawsze sformułowania, którymi siostra Anna z miejsca „kupiła" publiczność: *„Księża i siostry zakonne nie są jakimiś eksportami z nieba, też mają swoje problemy...."*, *„Czasem wielkie ideały zalewa tłuszcz – proszę nie patrzeć na mnie!"* *„Na szczęście u Boga nie ma marginesu"*. Po zapowiedzi następowała kolejna pieśń, w której siostra Anna dzieliła się swoim życiem, swoimi poszukiwaniami, czasem doświadczeniem bólu. Znowu nie mogłem się powstrzymać od zanotowania fragmentu kilku tekstów: *„Piszesz do mnie, że życie straciło sens, / że zawiódł ktoś, / kto podobno kochał Cię..."* i konkluzja: *„Uwierz, że Bóg kocha Cię"*. Albo z innej piosenki: *„Każdy z nas samotność swoją ma..."*

Teksty te może nie są wielką poezją, ale tchną prostotą i autentyzmem i tym głównie podbijały młodych słuchaczy. Patrzyłem na kołyszące



się wokół mnie w rytm muzyki młode dziewczyny i widziałem, jak bardzo chłoną płynące ze sceny treści. Kiedy na koniec zabrzmiał znany standard gospel „*Bóg jest tu*", sala zawirowała w tańcu a burza oklas-ków wymusiła upragniony bis.

Po koncercie miałem okazję zadać siostrze Annie kilka pytań:

W jaki sposób zaczęło się Siostry śpiewanie?

Nie ukończyłam żadnej szkoły muzycznej i nie znam nut, żałuję tego. Sama określam siebie jako „*artystkę ludową*". Może trudno to sobie wyobrazić, ale kiedyś byłam osobą nieśmiałą i trudno mi w ogóle było mówić do ludzi, a już szczególnie mówić o sobie. Nosiłam w sobie pełno lęków w rodzaju: Co inni pomyślą? Czy mnie nie uznają za wariata? itp. Przeżycia i treści, które były we mnie, chciały być wypowiedziane i dlatego układałam sobie piosenki. Kiedyś przez przypadek komuś je zaśpiewałam (oczywiście nie mówiąc, że to jest moje) i ze zdziwieniem dostrzegłam, że ludzie zaczęli dopominać się tych piosenek, jakoś się z nimi utożsamiali. Stopniowo ułożył się z tego zbiór. Teraz mam w pisaniu pewien zastój, bo jestem w okresie żałoby. W ciągu dwóch ostatnich lat straciłam oboje rodziców i to, co chciałabym napisać, jest tak silne, że potrzebuję czasu, żeby wszystko w sobie ponazywać i poukładać.

A skąd wzięła Siostra zespół? Co to są za ludzie?

Naszym gitarzystą jest Czesław, który gra od wielu lat i jest wyśmienity. Potrafi zagrać wiele standardów, ma niesamowite wyczucie i traktuje poważnie to, co robi. Czesława do zespołu przyprowadził Błażej, nasz perkusista, który jest z zawodu konserwatorem zabytków (naprawia różne dzieła sztuki np. stare meble itp.), a kiedyś zajmował się również wyrobem instrumentów, np. gitar, kontrabasów itp. Marek basista na co dzień zajmuje się kwiatami. Z kolei Marysię spotkałam na rekolekcjach w Brennej, gdy była jeszcze maturzystką. Zwróciła moją uwagę swoim pięknym wokalem. Henia zaś śpiewała w zespole, który brał udział w różnych sacro--songach (m.in. na Gaude Feście). Tak panowie, jak i dziewczyny śpiewające w chórkach mają już swoje rodziny. Czekam tylko na ślub Błażeja, zresztą na koncercie była jego narzeczona.

Wszystkich nas łączy wspólna pasja. Muzyka jest częścią naszego życia, muzyka, która dotyka tego, co jest ponad nami, co jest nienazwane, Tego, który jest najwyższy.

Czy często koncertujecie?

Nie często, ale zdarza się. Każdy z nas ma swoją pracę, musi zarabiać na życie. Ja większość czasu poświęcam pracy Stowarzyszeniu im. Maryi Niepokalanej na Rzecz Pomocy Dziewczętom i Kobietom. Zresztą wszyscy ludzie z zespołu pomagają mi zdobywać środki na działalność. Przez koncerty chcemy łączyć przyjemne z pożytecznym. Prosimy o pomoc finansową, ale w zamian też coś chcemy dać. A czym my możemy się podzielić? Tylko jakąś cząstką naszego życia, talentem, naszą drogą. To jest nasz dar. Piosenki, muzyka jest jakimś uzewnętrznieniem się.

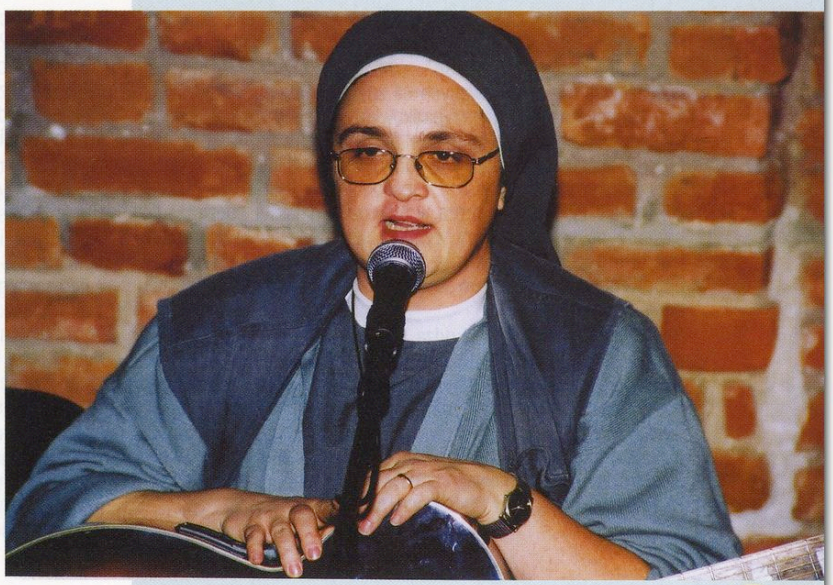
zdjęcia Dominik Chobot

Chcielibyście nagrać płytę?

Chcielibyśmy. Szukamy ludzi, którzy mogliby nam zasponsorować wynajęcie studia. Wszyscy muzycy graliby za darmo, natomiast pieniądze ze sprzedaży płyt przekazywalibyśmy na ośrodek pomocy dziewczętom ofiarom przemocy i handlu kobietami. Chcemy stworzyć miejsce, w którym takie osoby mogłyby zamieszkać, doświadczyć domu, przejść terapię. Tam mogłyby odnaleźć swoją godność, odkryć swoje talenty. Aby to wszystko zrealizować, potrzeba dużo pieniędzy. Ufam Bogu, że da nam światła choćby na krok. Na razie pracujemy na ulicach, pomagamy tym osobom socjalnie i prawnie. Współpracujemy też z różnymi organizacjami.

W jaki sposób trafiła Siostra na plan teledysku do piosenki „Zaufaj Panu już dziś"?

To był „przypadek". Mój kontakt z Magdą Anioł i jej zespołem zaczął się 2 października w... święto Aniołów Stróżów. Dom Aniołów Stróżów w Katowicach, gdzie pracowałam, tego dnia miał swoje święto i zorganizowaliśmy koncert schol dziecięcych, na którym gościem była Magda Anioł. Potem wraz z wieloma osobami zostałam zaproszona do śpiewania chórków na jej płycie. Ku mojemu zdziwieniu później zostałam zaproszona na plan teledysku. Nagrywaliśmy od szóstej rano do trzeciej nad ranem. ■





REBELIANCI I MISJONARZE
czyli rockowa anoraknofobia

Nie minę się chyba z Prawdą, gdy stwierdzę, że wszelkie próby klasyfikacji i zaszufladkowania Artystów są pomysłem aż nazbyt dużej grupy krytyków i dziennikarzy muzycznych. Skądinąd wiadomym jest, iż to właśnie muzyka (a więc pokaźna część Sztuki) niesie za sobą, czy nieść powinna, klasyczne rozumienie Piękna i Prawdy, bądź jak twierdził Cyprian Kamil Norwid – Piękna i Dobra. Skądinąd także wiadomo, iż duch słowa uzupełnia współbrzmienia akordów, harmoniczność gam, dysonanse dźwięków.

Aż wierzyć się nie chce, iż współczesny głos rockowej generacji można właściwie spotkać tylko (?) w sieci księgarń „Św. Hieronima", „Rock Serwisu", czy w jak grzyby po deszczu powstających, ukierunkowanych na zdobycie mamony oddziałach tzw. „taniej książki". Nieprzypadkowym staje się również fakt, iż massmedia proponują nam nie mającą nic wspólnego z ARS MUNDI nieprzebraną i nazbyt niefortunnie wyselekcjonowaną grupę tzw. „muzycznych zjawisk". I jak pisano o literaturze jeszcze kilkanaście lat temu – „proza w odwrocie, natarcie poezji" – tak obecnie na plan pierwszy wysuwa się grzeszny urok niekontrolowanego, niewybrednie skomponowanego hałasu bądź popowego zalewu utworów w stylu, rzec by można, „I love you babe" czy „I kill you".

Rockowi gentlemani odchodzą gdzieś w niebyt; mało usłużni wobec komercyjnych nośników przekazu, przenoszą swe dokonania (fobie, liryzm słów, marzenia, polifoniczność akordów) na grunt maleńkich klubowych sal, małych wytwórni płytowych, wreszcie linków internetowych („Thank God for the Internet" – napis na okolicznościowej bluzie grupy Marillion) – by tam móc spokojnie, tj. twórczo (!), komponować i oddawać się kontemplacji wyrosłych na bazie zgodności nut i rytmu wierszy.

Rock chrześcijański – rock „sztuka rebelii". Opozycja? Zgodność? Kontynuacja? A może po prostu: ten sam cel, do którego realizacji służą nieco odmienne środki wyrazu? To tak, jakby wziąć do ręki „Słownik języka polskiego" pod redakcją W. Doroszewskiego i odczytać, doszukując się zbieżności, definicje terminu „styl". Jest ich aż siedem – to samo, a jednak inaczej?

Aż przepięknym w tym względzie wydaje się fakt, że dla współczesnego konesera rockowej ewolucji właściwym źródłem informacji stają się, oprócz radiowej „Trójki", książki typu „Radykalni" i wywiady z rockmenami Wiesława Weissa. Obie kupione przeze mnie na tej samej ulicy w centrum miasta – czterystutysięcznego zresztą. Oddalone od siebie o jakieś 50 metrów – „tania książka" i „Św. Hieronim" – nabierają nowych sensów. Czyżby jedynym, widocznym i namacalnym znakiem różnicy było między nimi te kilkadziesiąt metrów? A może to klient wybrednym będąc, szuka oporu wobec komercjalizacji sztuki i udaje się po Prawdę, gdzie się da?

Wróćmy jednak do sedna sprawy – jak trafnie ujął to Graham Greene: tak naprawdę to prawdziwym Artystom zależy na Prawdzie, Dobru i Pięknie. Naprawdę! I nie przypadkiem jest tu poszukiwanie dla grunge'owych klimatów Armii, 2Tm2,3 odwołań do psalmów czy ewangelicznych przesłań.

I nie są tu przypadkiem próby wyrażania relacji „człowiek-Bóg", obecne na wielu fragmentach płyt z różnych okresów twórczości wykonawców spod znaku rocka symfonicznego, neoprogresywnego bądź nawet gotyckiego. „Epitaph" King Crimson, „wasteland" The Mission, „Mercy Street" Petera Gabriela, „Afraid of sunlight" Marillion czy „Talk" Yes'ów – znają je przecież na pamięć wszyscy prawdziwi pasjonaci (czytaj – anoracy [!]) przesterowanych bardziej lub mniej lirycznie gitar. Rodzimy rock w stylu Collage, Abraxas, Voo Voo czy Lecha Janerki odpowiada w równym stopniu zapotrzebowaniom na „ważność" przesłań. Czy można jednak utrwalać na pięciolinii Piękno bez odniesień do religii, przede wszystkim tych zinstytucjonalizowanych?

Niektórzy słusznie zauważają, iż duch ewangelizacji młodego pokolenia nabiera nowego wymiaru: dotknął nawet rockowych brzmień. Zagrane z szybkością do pozazdroszczenia – utwory skomponowane przez Tomasza Budzyńskiego, Roberta Friedricha czy Dariusza Malejonka, jakby mało wpasowują się w ciepło i liryzm biblijnych psalmów. A zwolenników przybywa – vide „Przystanek Jezus"! Z kolei ci, głównie zachodni, wykonawcy wymienionych odmian rockowego piedestału, jakby odwrotnie – próbują tylko „ożenić" liryzm z religijnością, nie zawsze jawnie głoszoną, czasem tylko sygnalizowaną. Ale to nie rebelianci! To nie krwawe przewroty w rodzaju obnażania się (duchowego i „cielesnego") na scenie, w stylu niezupełnie sprawnych intelektualnie „gwiazd", takich jak choćby Marilyn Manson, Slayer, WASP czy King Diamond.

Rock to dziś niezwykły melanż odniesień psychologicznych, estetycznych, wreszcie etycznych (podkr.m.). I w tej rebelianckiej szufladzie zabraknie w związku z powyższym i Jona Andersona z Yes, Steve'a Hogartha z Marillion, Nicka Barreta z Pendragon, Stevena Wilsona z Porcupine Tree czy Davida Gilmoura z Pink Floyd. Harmonii duchowej, właściwej człowiekowi zaprzeczać więc będą z pewnością takie gatunki współczesnej kultury młodzieżowej jak death metal czy postawangarda, podszywające się tylko pod klasyczne pojęcia. Przekaz bowiem współczesnej skomercjalizowanej muzyki rockowej zapominać zdaje się o podstawowym przesłaniu Sztuki, a co za tym idzie, o idei tworzenia i progresji w kulturze. Jest ona bowiem ze swego założenia nastawiona na człowieka, a dokładnie na osobę ludzką – byt jednostkowy, który swój początek i koniec winien wiązać z Bogiem (filozoficznie - z Absolutem). Być może rewolucja światopoglądowa wieku XVIII., tzw. oświecona, tak silnie oddziałuje dzisiaj na indywiduum, wtłaczając mu z każdego medialnego nośnika i przekaźnika komunikatów konsumpcjonizm i nadmierne poczucie hedonizmu, a co za tym idzie egocentryzmu. Prawda i Dobro w związku z tym przegrywają bitwę o Uczciwość Twórczą. Chować muszą się bowiem za parawanem tylko niektórych odmian rockowych stylistyk (czytaj: tych, które mają ścisły lub mniej ścisły związek z tradycją). Nie próbujmy więc zatem autorytatywnie zaliczać rocka do kultury niskiej lub wyłącznie podlegającej prawom komercji! Nie szufladkujmy także artystów na przedstawicieli rocka świata rebelii czy chrześcijaństwa! Raczej należałoby pomyśleć o wspólnym mianowniku celów – wszak kulturę, w tym muzykę rockową, stworzył człowiek dla człowieka, by była mu ostoją, punktem odniesień do rozważań o sensie istnienia. Stąd zresztą ostatnio modne, a rozpropagowane przez tytuł ostatniego, jak dotąd, studyjnego albumu grupy Marillion, słowo „anorak" (podkr.m.). Oznacza ono, najprościej mówiąc, osobę bardzo w coś wierzącą, czymś dogłębnie zafascynowaną. Wynikająca z tego kwestia pasjonactwa jest, moim zdaniem, podstawą rozwoju wartościowej kultury. Czyż bowiem z samej koncepcji klasycznie rozumianego umiłowania rzeczy nie powinno dla współczesnego fana rocka wynikać głębsze przesłanie skierowane ku ideom bycia szczęśliwym? Jak? W kim? Dlaczego? Wreszcie – po co?

Rebelianci rocka – buntownicy bez powodu? Misjonarze rocka – kochający Chrystusa i ewangelizujący poprzez nagłośnione do granic możliwości brzmienia chorusów, flangerów, „przesterów"? Oto plejada i mieszanka odcieni współczesnych subkultur. Rozpoczęta więc czasem Woodstock'u idea poczucia wspólnotowości, byleby tylko bez narkotyków i „wolnej miłości", powinna być istotą mówienia o sensach: od życia do śmierci, od rebelii (czyli buntu) ku chrześcijaństwu. A że przyznano już „Fryderyka" ewangelizującemu zespołowi 2Tm 2,3 – to temat na zupełnie inne dywagacje.

Mariusz Robert Stoppel.

zdjęcia: Krzysztof Raczyński



ETNA



TORI AMOS

to jedna z najciekawszych oraz najbardziej charyzmatycznych postaci współczesnego rocka. Pianistka, kompozytorka, producentka i autorka tekstów, ma w naszym kraju spore grono fanów, choć jej muzyka kompletnie nie przystaje do popowej sieczki spod szyldu show-biznes.

Liczy się prawda

Miałem okazję posłuchać jej koncertu w popularnym studiu radiowym im. Agnieszki Osieckiej. Wystąpiła tam przed pięćdziesięcioosobową publicznością. Nie było wówczas taryfy ulgowej, a wręcz przeciwnie, to czego słuchaliśmy, cechowało wielkie skupienie, szacunek dla słuchacza.

Tori Amos ma niespełna 40 lat i jest półkrwi Indianką z bardzo wojowniczego plemienia Cherokee. Natomiast jej ojcem jest pastor - metodysta. Jak mówi, to on nauczył ją życia opartego na twardych zasadach, a to co wyniosła z domu, mocno wpłynęło na jej charakter i spojrzenie na świat. To właśnie prywatne doświadczenia mają odbicie w tym, o czym śpiewa. I co tu ukrywać, artystka nie boi się dotykać najbardziej drażliwych stron ludzkiego życia. Z pełną stanowczością piętnuje zakłamanie, wstawia się za słabszymi, walczy o prawa mniejszości. Wstrząsająca piosenka „Me and a Gun", w którym artystka opowiada o zgwałconej i zdeterminowanej kobiecie, zdolnej do zabójstwa, przez wiele lat była wielką niewiadomą. Dopiero od niedawna Tori Amos przyznaje, że ma charakter autobiograficzny, a doświadczenie nie sposób nazwać inaczej jak traumatycznym.
- To było dawno, jeszcze przed czasami, kiedy zaczęto o mnie mówić. Jakoś tak się stało, że odwoziłam po koncercie jednego z fanów. On najnormalniej sterroryzował mnie, uwięził i wielokrotnie zgwałcił.

O tym, że biznes potrafi wciągnąć i przetrawić każdą sensację czy tragedię, dobrze wiemy, jednak Amos przyjęła bardzo stanowczą postawę wobec takiego konsumpcyjnego myślenia. Ot, słynny reżyser, Oliver Stone, chciał włączyć tę piosenkę do swego kontrowersyjnego filmu „Urodzeni mordercy". Tori, osoba wolna od pokus taniego poklasku, nie zgodziła się. Nie wybiera drogi na skróty.

Dzisiaj mieszka w domu, który wybudowała na ziemiach swoich przodków w stanie Nowy Meksyk. Ma tam studio nagraniowe i jak mówi, obok rodziny i przyjaciół, dwie najcenniejsze rzeczy, fortepiany Bessendorfera. To jedyna jej, skrzętnie chroniona prywatność. Nawet mężczyzna jej życia nie może dotykać klawiszy. Choć, jak mówi sama artystka, jej córka, mała Tosh, może sobie na to pozwolić. Przyznaje, że dotykanie klawiszy instrumentu jest rzeczą tak intymną, że byłaby o swoje fortepiany zazdrosna. Bzik? Na pewno nie, jak znam Tori Amos, decyzja ta podbudowana jest czymś więcej. Może tajemną wiedzą indiańską? A może zwykłą kobiecą zazdrością? Nie wiem, ale ona zapewne wie, co robi.

Wokalistka potrafi zahipnotyzować publiczność minimalnymi środkami. Siada za fortepianem, czasami ma, jak w Madison Square Garden, klawesyn, i oczywiście swój głos. Gdy zaczyna śpiewać, przenosi się w całkiem inny świat, świat, w którym wiara i szczerość są rzeczami pryncypialnymi. Nasza wspólna rozmowa poprzedzona była czymś, co nie sposób nazwać inaczej, jak małym szkoleniem.

Piotrek - mówiła do mnie Anna Szymocha z Warner Music Polska - musisz uważać! Ona potrafi rozpłakać się, gdy zadasz pytanie tylko z pozoru proste. Ona znajdzie jego drugie dno, często bardzo tragiczne. Tori potrafi zawiesić rozmowę na kilka minut, tylko po to, aby udzielić absolutnie najlepszej odpowiedzi. Musisz dać jej wówczas czas na zastanowienie. Wiesz, ona nie rzuca słów na wiatr i nie ma gotowych odpowiedzi, to jeden wielki kłębek emocji - dodała. Miała rację, Amos udziela odpowiedzi skończonych, zamykających daną kwestię. To, co mówi, nie podlega redakcji, to zdania oznajmujące, przetrawione przez umysł w sposób klarowny, wyrażające jej emocje czy stanowisko. Tym bardziej na ten wywiad szedłem trochę jak na skazanie. Niby mówię po angielsku, ale nie jestem lingwistą, zaś Tori używa bogatego języka pełnego metafor... Kupiłem bukiet kwiatów, zabrałem mojego dziesięcioletniego synka (chciał zobaczyć gwiazdę) i oka-zało się, że był to ruch z punktu widzenia dziennikarskiego, jak pokerowa zagrywka. Tori nigdy nie odwiedził dziennikarz z dziec-kiem. Kwiatów, oczywiście, też się nie spodziewała. Bardzo się wzruszyła.

Piotr Iwicki: Obawiałaś się podobno przyjazdu do Polski.

Tori Amos: Tym samym pobyt tutaj to dla mnie zaskoczenie. Oczywiście nie były to obawy, w sensie „strach", ale ekscytacja. Warszawa jest piękna, to miasto pełne historii i ludzi, z których każdy jest osobną opowieścią i historią.

W waszym kraju już poznałam osoby pełne energii i przebojowości. Tacy ludzie osiągają cele, nie oglądają się na innych, tylko realizują swoje idee. Bez idei nie ma sensu życia. Tym motorem są wyzwania, jak choćby to, aby na swojej drodze postępować tylko tak, aby nie krzywdzić innych, oczywiście dając z siebie jak najwięcej. To, co czuję w was, Polakach, to wielką pasję, która jest wszechobecna. Bez tej pasji nie zmienilibyście swojej ojczyzny tak bardzo. Widzę piękne stare kamienice, mieszkam w pięknym starym hotelu, ludzie, którzy się mną tutaj zajmują, są bardzo otwarci i bardzo młodzi! A przy tym niezwykle profesjonalni. Trochę się czuję, jakbym przyjechała do takiej dalekiej rodziny, o której wiedziałam, że jest, ale jej nigdy nie widziałam.

Masz w sobie wielką odwagę. Co jest Twoim orężem?

Szczerość, szczerość i jeszcze raz szczerość. Nikogo nie można okłamywać, a zwłaszcza publiczności i trzeba wyczuwać wibracje, które płyną od ludzi. Każda sala, każdy tłum ludzi mają swój klimat. Oczywiście ludzie błyskawicznie zauważą, czy to, co do nich śpiewasz, a w zasadzie, co do nich mówisz, bo chodzi o tekst, jest „o czymś" czy „o niczym". Ja chyba nawet nie potrafiłabym śpiewać o niczym. Takie podejście wymusza też pewne ruchy. Często zmieniam program, kolejność utworów, wprowadzam zmiany już w czasie koncertu. I tu przydaje się komfort solowego koncertowania, z zespołem jest to o wiele trudniejsze. Gdy siadam sama za fortepianem, staram się rozpocząć opowieść, przekazać jakąś myśl, czasami przestanie.

?

Nie chcę nikogo zbawiać, ale myślę, że mogę w ludziach budzić niepewność, zastanowienie, mogę sprawić, że ktoś zastanowi się nad jakimś z aspektów własnego życia. Czas płynie tak szybko, a my zwyczajnie nie mamy czasu na to, aby zastanowić się nad rzeczą nam najbliższą, nad samym sobą.

Teksty Twoich piosenek, często poetyckie, nawet te o miłości, to nie jest takie typowe „ble, ble, ble" w stylu: pragnę Ciebie, chcę Ci powiedzieć, że Cię kocham, itd. Ty chyba zawsze musisz o coś walczyć!

I chyba już jestem tym trochę zmęczona. Ale nie widzę innej możliwości. Moja matka, mój dziadek, oni zawsze mówili, aby nie tracić czasu na rzeczy oczywiste, które toczą się od stuleci własnym biegiem, aby nie przepuszczać życia w obojętności jak piasek przez palce. Jeśli masz w sobie coś do wykrzyczenia, to nie wolno tego skrywać. Twoje słowa mogą coś zmienić, mogą dodać komuś odwagi. Jak patrzę wstecz, to widzę, że współczesność to ciągłe wojny i walka. Te oczywiste, wstrząsające pomiędzy narodami, plemionami, ale i te mniejsze, wcale nie mniej istotne, jak walka o równe prawa, choćby kobiet i mężczyzn czy mniejszości. Mamy XXI wiek, a są kraje, w których nie wolno słuchać muzyki wcale bądź bez jej uprzedniej cenzury. A człowiek ma swoje prawa, w tym prawo do muzyki!

Tak jak do wolności, pracy, szczęścia, prawdy...

Zniewolenie człowieka następuje na tak ukrytych pokładach jego życia, że często sobie tego nie uświadamiamy. Dzisiaj musisz nawet walczyć o ciszę.





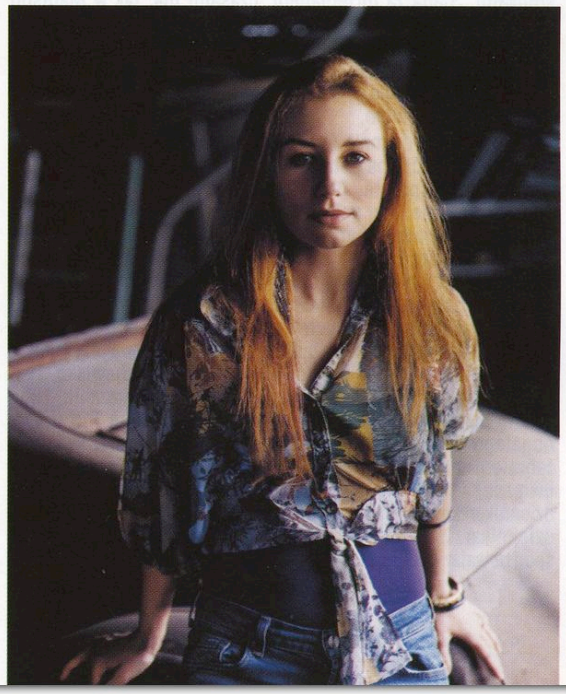
A wiara?

Bez niej nie ma motywacji, natomiast wiara w sensie religijnym stoi u podwalin wszelkich wartości. Często mnie pytają o to, w co wierzę. Jakimi zasadami się kieruję. Wówczas odpowiadam, że wszystkimi nami rządzą te same prawa. Sami łatwo oddzielamy prawdę od kłamstwa czy dobro od zła. Bez względu na wyznanie, kolor skóry czy miejsce zamieszkania. Stawiamy sobie za cel życie według zasad, które są oczywiste. Niestety, w życiu bywa tak, że te oczywiste rzeczy najtrudniej wprowadzić, urealnić. Nasze plany zawodzą na etapie realizacji. Gdy popatrzysz trochę dalej, to zobaczysz, że świat ciągle nękają wojny, a ja, gdy pytam siebie, dokąd to wszystko zmierza, nie odnajduję odpowiedzi. Kalendarz Majów kończy się bodaj na 2007 roku i nie ma nic dalej. To byli bardzo światli ludzie, takie nauki jak astronomia i matematyka nie były im obce. Mieli doskonały kalendarz, i to mnie niepokoi, nie ma nic poza rok 2007. Mam nadzieję, że się pomylili. A może nie liczyli dalej, bo chcieli pozostawić sobie tę przyjemność na później, ale niepokój pozostaje. Tym samym, jedyną rzeczą, która może z nas wyplenić strach przed tym, czy po tej dacie coś będzie czy też nie, jest prawość, którą nosimy w sobie, ale często nie potrafimy jej urzeczywistnić. Narody stosują się do swoich doktryn, kanonów wiary czy praw. Pryncypialnym powinien być w nich człowiek, ale w życiu okazuje się, że człowiek staje się narzędziem realizacji czyichś ambicji, schodzi na dalszy plan. Działa się w imię człowieka kosztem człowieka. A to jakiś chory mechanizm. Szkoda, że politycy tak często zapominają, co obiecywali. Przypomina mi się taka przypowieść, jak do dziadka, bodaj Żyda, przychodzi wnuczek i zadaje pytanie: co to jest to Pismo Święte? I dziadek odpowiada najprościej jak tylko można: nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe, reszta to zaś komentarz. I nie chcę tutaj nic roztrząsać, ale jeśli tylko ludzie zaczęliby kierować się tą prostą zasadą, prawdą i jednocześnie najoczywistszym z praw, życie na Ziemi byłoby prostsze i piękniejsze. Ale nie można też nikogo zmieniać na siłę, najpierw trzeba wyrugować zło z siebie, potem patrzeć na innych. Ufff! Nie za mądrze?

Nie, rzeczy, o których mówisz, to bardzo ważkie sprawy, tym bardziej dziękuję za rozmowę. Nieczęsto rozmawiając z artystką - gwiazdą rocka czy popu, można porozmawiać o czymś więcej niż o show-biznesie.

Rozmawiał: Piotr Iwicki

zdjęcia: z Archiwum Sony Music - Polska



GRITS

Gramatyczna Rewolucja w Duchu



Z sympatycznym duetem po niezwykle dynamicznym koncercie rozmawia Tomek Wienke.

Od pierwszych taktów złapaliście kontakt z widownią. Publiczność śpiewała i recytowała z Wami teksty. Daliście niezły show, ale było też miejsce na głębokie świadectwo i zaproszenie do modlitwy. Ożywiliście widownię poprzez muzykę i słowo. Skąd czerpiecie pomysły i inspirację?

Dla nas inspiracją jest to, co czujemy w naszych sercach. My po prostu robimy to, do czego czujemy się powołani. Chcemy tworzyć muzykę, która jest pozytywna, budująca i przemienia życie ludzi. Kochamy to, co robimy, ale w tym wszystkim nie chodzi o nas, nie martwimy się tym, jak widownia zareaguje. Oczywiście, jeżeli widownia będzie miała dobry czas, to ty jako artysta także będziesz zadowolony. Oczywiście, miłe jest kiedy znają ciebie i twoją muzykę. Dzisiaj wszystko zagrało, zgraliśmy się z widownią i po pierwszych bitach wiedzieliśmy, że to będzie dobry show. Widownia doładowała nas dzisiaj swoją energią.

A czy miały miejsce także jakieś trudne dla Was występy? Pamiętacie takie?

Oczywiście, np. takie, gdzie były 3 osoby na widowni, ale wiesz co? Graliśmy je. Dla nas to błogosławieństwo i łaska, że możemy robić to, co robimy na pełen etat. No i liczy się każda osoba. Nie gramy dla tłumów, gramy dla indywidualnych ludzi.

Na zakończenie koncertu powiedzieliście, że schodzicie teraz ze sceny, że nie chcecie, aby Was pamiętano jako tych, co stali wyżej. Schodzicie po to, aby spotkać się z publicznością, móc spojrzeć każdemu w oczy, porozmawiać i modlić się z tymi, którzy modlitwy potrzebują.

Tacy już jesteśmy. Jesteśmy zwykłymi ludźmi, którzy przechodzą doświadczenia jak każdy inny. I tutaj jesteśmy dla nich... Chrystus przemienił nasze życie i chcemy, aby inni mogli doświadczyć tego samego. Chodzi o to, że nie chcemy, aby myślano o nas jako o gwiazdach (wiesz, show biznes mówi inaczej). Zależy nam, aby patrzono na nas, jak na zwykłych facetów, bo któregoś dnia nie będziemy już zapraszani na scenę, będziemy zwykłymi Coffee i Bonafide chodzącymi po ulicy. Dlatego nieustannie o tym pamiętamy i powtarzamy, że jesteśmy dwójką prostych ludzi, niezależnie od tego, że akurat tworzymy muzykę.

W tym roku zostaliście nominowani do nagrody Grammy. Jak to odbieracie?

Byliśmy bardzo zaskoczeni, nie wiemy, jak to się stało, choć oczywiście czujemy się zaszczyceni... Przygotowując płytę wiedzieliśmy, że to będzie nasz najlepszy rok, ale nie robiliśmy nic nadzwyczajnego. Po prostu przygotowaliśmy materiał najlepiej, jak to było możliwe, i zaufaliśmy Bogu mówiąc, że przyjmiemy wszystko to, co będzie miało się wydarzyć. Dlatego też z tym większą radością przyjmujemy tę nominację.

Czy czujecie się zaakceptowani przez artystów niechrześcijan, czy jesteście zapraszani na „typowe" hip hopowe sceny?

Właściwie to czujemy się bardziej zapraszani przez tę właśnie scenę niż przez kojarzoną z rynkiem CCM. My zawsze zabieramy ze sobą tę samą atmosferę, niezależnie od tego, gdzie idziemy występować. Jesteśmy zwykłymi ludźmi, zwykli ludzie nas otaczają i automatycznie wytwarza się więź, kontakt. To chory potrzebuje lekarstwa, zdrowy jedynie - może witamin, dlatego dobrze, że istnieje muzyka CCM, ale ważne jest, aby była także muzyka, która dotrze do tych, którzy są w potrzebie, którzy potrzebują nowego życia jak powietrza.

Wy tworzycie hip hop już od wielu lat, ale dopiero ostatnio ten styl muzyki stał się bardzo popularny i zaistniał w mediach. Z czym kojarzycie takie zainteresowanie hip hopem?

To głos młodych ludzi, ekspresja. Hip hop to wypowiadanie tego, o czym się myśli, to mówienie o tym, co się chce powiedzieć i jak się chce powiedzieć. Młodzi reagują na to i budzi w nich to szacunek. Widzą jak wielu jest „naśladowców" niemających swojego zdania, podążających za trendami i modami. Dlatego, kiedy słyszą, że ktoś



nagle się wypowiada w inny, własny sposób, pozwala im to myśleć, że i oni tak mogą. Ale z drugiej strony, w końcu znów podążają za gościem, który im najbardziej odpowiada, przypada do gustu i to pokazuje jedynie, że wszyscy szukają lidera. Muzyka hip-hop jest w pewnym sensie nieobliczalna. Np. w muzyce pop jest sztywna formuła, której wszyscy się trzymają. Jest formuła dla boysbandów, jest formuła dla indywidualnych gwiazd. W hip-hopie tego nie ma, forma nie ma znaczenia. Przez to, że hip-hop jest tak popularny ostatnio, można by powiedzieć, że przetarte zostały ścieżki dla nas i teraz łatwiej nam dotrzeć do ludzi z naszą muzyką i przesłaniem. Mamy nadzieję, że tym, co robimy, wpłyniemy także na dzisiejszą kulturę i będziemy wskazywać dobry kierunek.

Jesienią zeszłego roku wydaliście bardzo udaną płytę „The Art of Translation". CD otwiera zapowiedź utworu „Here we go" jako bardzo dużego przeboju... Czy było to proroctwo?

To tak jakoś samo wyszło, kiedy nagrywaliśmy ten kawałek w studiu. Wszyscy byliśmy podekscytowani tym utworem i wiedzieliśmy, że to będzie dobry utwór. Jest tu duża zasługa naszego producenta i DJ-a, który przyniósł jakąś bardzo, bardzo starą płytę i to nas też jakoś zainspirowało do umieszczenia tej zapowiedzi. Okazuje się, że ta zapowiedź utworu rzeczywiście była prorocza. My tylko powiedzieliśmy „Yo, to będzie hit", i tak się stało.

Dużo koncertujecie. Czy byliście już z koncertami w Europie?

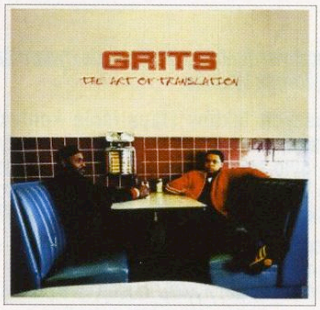
Tak, oczywiście, w Europie byliśmy kilkakrotnie. W ostatnim roku tak się złożyło, że dużo pracowaliśmy w domu, ale jesteśmy gotowi ruszyć w trasę ponownie.

A czy przyjechalibyście do Polski?

Jasne, że tak! Naszą wizją jest gotowość udania się, gdziekolwiek zostaniemy zaproszeni.
Jeżeli byłaby to Polska – świetnie, jesteśmy gotowi! Pytanie tylko, czy Polska jest gotowa? (ha, ha). W miejscach, w których koncertujemy chcemy także wyznaczyć pewien poziom, ustawić poprzeczkę tak, aby inni starali się robić muzykę jeszcze lepszą od nas.

Nazywacie się Grits – jakie znaczenie dla Was ma ta nazwa?

Grits to bardzo popularny na południu Stanów składnik codziennego pożywienia (coś jak płatki śniadaniowe), który znajdziesz w każdym sklepie spożywczym. Dla nas jednak Grits ma inne znaczenie: to skrót od Grammatical Revolution In The Spirit (tłum: Gramatyczna Rewolucja w Duchu). Gramatyczna - oznacza słowa, właściwe słowa, a w hip-hopie - właśnie słowa znaczące, Rewolucja - oznacza przemianę, a owa przemiana musi się dokonać poprzez Ducha w Twoim sercu.





Grits to dwóch muzyków: Coffee i Bonafide, którzy spotkali się na początku lat 90, krótko po tym, jak przeprowadzili się do Nashville w stanie Tennessee. Ich pierwszy album ukazał się w 1995 roku. Ciekawe jest to, że będąc chrześcijańskimi artystami i rapując chrześcijańskie teksty, Grits byli od samego początku akceptowani przez większość środowisk hip-hopowych.
Mówią, że stało się to między innymi dzięki temu, że starali się, aby muzyka, którą robią, była na najwyższym poziomie. Potwierdzeniem tego mogą być częste zaproszenia na wspólne trasy z popularnymi gwiazdami tego gatunku, tj. Outkast, A Tribe Called Quest, czy Ice Cube. Później wideoklipy Grits zaczęły regularnie pojawiać się na MTV, a w 1999 roku ich video „They All Fall Down" zdobyło nagrodę Billboardu. W 2002 roku nagrali swój najnowszy album „The Art of Translation", który zdobywa rewelacyjne oceny zarówno na chrześcijańskim, jak i świeckim rynku. To najlepsza do tej pory chrześcijańska hip-hopowa produkcja. Każdy loop, efekt, brzmienia instrumentów, wszystko jest perfekcyjnie dopieszczone i zmiksowane. Grits współpracują z Gotee Records, które do celów produkcji tej płyty zaangażowało także swoje inne znane głosy, takie jak: Toby Mac, Out of Eden, John Reuben czy Jennifer Knapp. Płytę otwiera przebój o afrokubańskich rytmach - „Here we go". Świetne teksty odnoszące się do wersetów biblijnych oraz dzisiejszej rzeczywistości, jak np. „Video Girl", poruszający problem zdominowania przez sex większości klipów video i przypominający o prawdziwej wartości kobiety, o szacunku i o potrzebie pokazywania młodzieży dobrych wzorców. „Moja córka ma 10 lat" - mówi Bonafide - „Chciałbym w tej piosence powiedzieć jej i wszystkim rówieśniczkom, że mają wybór, że ważne jest, aby znać swoją wartość i oczekiwać szacunku".
The Source (magazyn numer 1 poświęcony muzyce hip-hop) napisał: „Jeżeli chciałbyś posłuchać pozaplanetarnych rytmów, sięgnij po Grits".
Udało im się zniwelować sztuczną granicę pomiędzy chrześcijańską i świecką muzyką. Udało im się pozyskać uznanie i szacunek. Udało im się dotrzeć do tych, którzy dobrego przesłania najbardziej potrzebują. Stało się to chyba dlatego, że świadomie postanowili pozostać sobą i robić swoje. Prawdziwa rewolucja, prawdziwa sztuka rodzi się z Ducha... - w sercu.

Dyskografia GRITS:

THE ART OF TRANSLATION (2002)
GRAMMATICAL REVOLUTION... (1999)
FACTORS OF THE SEVEN (1997)
MENTAL RELEASES (1995)

tekst i zdjęcia: Tomek Wienke (tomw@kdm.pl)





Zapal Płomień Miłości

Gdańszczanie Afryce

„Zapal Płomień Miłości" - to nazwa projektu zaczerpniętego z piosenki o tym samym tytule. Sercem przedsięwzięcia są listy dzieci z różnych stron świata, zwłaszcza z tych miejsc, gdzie toczy się wojna i panuje terroryzm (Afryka, Indonezja, Kosowo). W gdańskim Ratuszu Staromiejskim (Nadbałtyckim Centrum Kultury) - 9 grudnia ubiegłego roku, już po raz drugi listy czytali artyści Trójmiasta: Arek Brykalski (aktor Teatru Wybrzeże), Maciej Miecznikowski (wokalista zespołu Leszcze), Aneta Lenkowska (Teatr Wybrzeże) i autorka niniejszego artykułu,

Oprawę muzyczną przygotował zespół Ikenga Drummers, który wykonuje muzykę etniczną, będącą połączeniem tradycyjnych rytmów afrykańskich i polskich. Zespół inspirują pieśni gospels z Afryki Zachodniej oraz polskie piosenki ludowe oparte na transowych rytmach bębnów (wykonanych zresztą własnoręcznie przez muzyków). Charyzmatyczny lider Ikengi - Larry Ugwu mówi, że nazwa zespołu pochodzi z języka igbo, jednego z narodów w Nigerii, a oznacza Ducha Opiekuńczego, który posiada każdy człowiek (mówiąc „po naszemu" - Anioła Stróża). Formacja istnieje od 1997 roku, a ludzie skupieni wokół zespołu powołali do życia Galerię „Jeden Świat" (która w lutym obchodzi rocznicę powstania), przedstawiającą dziedzictwo kulturowe narodów z często odległych zakątków świata.

W koncercie gościnnie wystąpił znakomity saksofonista jazzowy Przemek Dyakowski. Uczestnicy projektu „Gdańszczanie Afryce" mogli również obejrzeć zdjęcia dzieci z Sierocińca w Indonezji, z Jerozolimy, Kosowa. Najbardziej wstrząsały zdjęcia autorstwa Hanny Gnatowskiej z Rwandy, która przez wiele lat pracowała na misjach w okolicach Kigali Masaca.

W czasie koncertu czytano wiersze dzieci z Sierocińca, z Dżakarty (Indonezja), które przygotowała Jagoda Możdżer. Jagoda gości w tym niezwykłym miejscu od roku na stypendium teatralnym i zajmuje się m. in. pracą z dziećmi tak zwanej ulicy. Natomiast Wojtek Zięba, który od ponad dwudziestu lat zajmuje się Maitri (Ruchem na Rzecz Pomocy Ubogim Trzeciego Świata), mówił o ciężkiej sytuacji w Rwandzie. Rodzeństwo Ania i Wojtek Milochowie opowiadali o warsztatach, jakie prowadzą w enklawie dla uchodźców na terenie Kosowa. Ogrom ludzkich problemów, ale i drogi wyjścia, czyli pomocy dla najbardziej potrzebujących i opuszczonych. Z wielką nadzieją, na zakończenie spotkania, zaśpiewano po raz pierwszy piosenkę „Zapal Płomień Miłości", której słowa przetłumaczono na kilkanaście języków:

„We dnie i w nocy
zapalaj płomień miłości
Zbuduj pełen miłości dom
Dziecku, które marzy malując tęczę
O lepszym dniu"

Iwona Flisikowska



Carravaggio „Powołanie celnika Mateusza"

Rafał Solewski

Co się stało ze sztuką?

Kiedy pragnąłem współtworzyć sztukę w środowisku niezależnej kultury, uformowanym wokół nowej muzyki, z satysfakcją dowiadywałem się, że akcje Fluxusu były koncertami, Nowi Dzicy inspirowali się punkiem, koncerty Armii to pełne znaczeń performance, teledyski Red Hot Chili Peppers to dzieła body art czy artystycznej grafiki komputerowej, zaś teatralny spektakl Voo - Voo wpisuje się w idee art brut. Jednak szukając związków sztuki plastycznej ze środowiskami muzycznymi usłyszałem też, że dziś nie wiadomo, czym jest sztuka. Poszukiwanie wzajemnych relacji musi zatem poprzedzić próba rozwiązania tego problemu.

Sztuka dzieje się pomiędzy ludźmi. W jej doświadczaniu tworzy się wspólnota twórcy i widzów. Czym jednak różni się sztuka od dziejącego się pomiędzy ludźmi powiedzenia „cześć!" wśród wspólnoty kolegów albo słów „kocham cię" we wspólnocie zakochanych, albo od instrukcji obsługi pralki, istniejącej pomiędzy wykonawcą i użytkownikami?

Powiedzenie „cześć!" ma na celu nawiązanie kontaktu. Wykrzyczenie „kocham cię" - wyrażenie własnych uczuć i wywołanie uczuć u kogoś. Myśl: „Boże, bez Twej miłości i łaski jestem nikim" niesie wiadomość, ale i wyraża uczucia pokory i podziwu. Instrukcja obsługi zawiera pozbawioną uczuć informację. Myśli, słowa, działania, dzieła zawiązujące się pomiędzy ludźmi informują, nawiązują i podtrzymują kontakt, wyrażają i wywołują uczucia, tworzą pomiędzy ludźmi wspólnotę.

Sztuka dzieje się wtedy, kiedy wśród tych różnych zadań, celów i funkcji pojawia się jako najważniejsza funkcja estetyczna, a więc – skoro estetyka to nauka o pięknie – zadanie wywoływania i niesienia piękna. Sztuka to pierwszeństwo piękna. Dlatego instrukcja obsługi pralki nie jest sztuką. Najważniejsza jest w niej informacja. Choć i instrukcja może być pięknie napisana, jednak nigdy to nie będzie w niej najważniejsze. Nie jest sztuką samo powiedzenie „kocham cię". Ponieważ najważniejsze są w nim zadania przekazania wiadomości oraz wyrażenia i wywołania uczuć. Choć i to można uczynić w wyszukanych i niezwykle skomponowanych słowach, a więc w piękny sposób, tworząc tym samym sztukę literacką. Nie jest dziełem sztuki reklama, bo najważniejsze jest w niej informowanie i wywołanie uczucia pożądania. Choć reklamy mogą w sobie piękno zawierać. Lecz nie na pierwszym miejscu. Jeśli jednak sztuka to pierwszeństwo piękna, to czym jest piękno?

Przez wieki wierzono, że piękno jest obiektywne. Że tkwi w odpowiedniości rzeczy do jej zadania (gitara jest piękna, bo jej konstrukcja i kształt umożliwiają wygodne wydobywanie dźwięków). Albo że wynika z harmonii całości, z której ujęcie części wywoła wrażenie brzydoty (czy elektryczne gitary bez imitacji rezonansowego pudła, z samym gryfem, nie są jakieś „nie takie"?). Czy też z proporcji, czyli na przykład odpowiedniego stosunku części mniejszej do większej (mini-gitara powinna mieć mini-gryf i mini-pudło). Albo z zachowania rytmu. Albo z wybrania formy odpowiedniej dla wagi informacji. Albo z natchnienia.

David Small fot. JB



Od czasów Oświecenia ludzie, coraz bardziej ufni w siłę własnego rozumu, rozumieć właśnie zaczęli, że każdemu podoba się co innego. Że to kwestia gustu. Że piękno jest względne i subiektywne. To rozumienie trwa do dzisiaj.

A przecież piękno jest obiektywne. Jest atrybutem Boga. Tak jak dobro czy miłość. *„Nie to jest piękne, co się podoba, ale to się podoba, co jest piękne"* – napisał święty Augustyn. Wierząc w Boga wiesz, że piękno pochodzi od Niego. I że – tak jak On – jest niezmienne, obiektywne i absolutne.

Piękno budowli to uporządkowana relacja części do całości i poziomu do pionu, to użyteczność odpowiednia dla mieszkaniowego albo sakralnego celu. Piękno malarstwa **Leonarda da Vinci** tkwi w dostrzeganej, czyli uchwytnej zmysłami, zwartej, ale i naturalnej kompozycji figur, w wyraźnym podobieństwie figur do żyjących ludzi, w spokojnym ruchu i delikatnym uśmiechu, w miłym dla oka i prawdopodobnym w rzeczywistości doborze barw, w nastrojowej mgle i odpowiedniości tych cech dla podniosłego tematu. W sztuce **Jana van Eyck, Caravaggia** czy **Caspara Davida Friedricha,** artystów średniowiecza, baroku czy romantyzmu, piękno doświadczania zmysłem i przemyślenia jest we wkomponowaniu symboli w dzieło ciągle dbałe o zmysłowe doświadczenie, ale i w pewnej wymyślności skłaniające do odczytywana wielu znaczeń. Artyści abstrakcyjni dwudziestego wieku, na przykład **Wassily Kandinsky**, uznali, że sztuka wolna od treści i zadania informowania staje się sobą w skupieniu na kompozycji linii i barw, na trwaniu w przestrzeni czy na wypełnianiu płaszczyzny. Na estetycznej funkcji ozdabiania świata autonomicznie wywoływanym, czystym pięknem jakości zmysłowych, nie zaś na piękna świata naśladowaniu. Plastyka dorównać miała w ten sposób muzyce, wyrażającej piękno w sposób najbardziej czysty.

Wśród reakcji na sztukę abstrakcyjną pojawił się konceptualizm. W obrazach, grafikach, konkurujących z nimi projekcjach video, w budowlach, rzeźbach czy zastępujących je przestrzennych instalacjach, jakby mało albo w ogóle nieważne stały się przestrzeń, kolor, linia, kompozycja czy inne ze zmysłowo doświadczalnych cech, w których zwykle objawiało się piękno. Artyści ogłosili, że najbardziej istotna jest treść.

Przecież jednak przekazywanie treści to zadanie informacyjne, a nie estetyczne. Ważne w instrukcji albo w telewizyjnych wiadomościach, a nie w dziele sztuki. Jednak artystom chodziło o to, aby wiadomość o głębokiej, filozoficznej wymowie zakomponować w literackie metafory i poetyckie symbole, czytelne dopiero dzięki trudowi interpretacji.

On Kawara czy **Roman Opałka**, przedstawiając szeregi cyfr, czytając liczby samemu lub poprzez zamkniętych w szklanej klatce lektorów, nie poświęcają całości swego działania zmysłowo uchwytnemu pięknu surowych, monumentalnych dźwięków i kształtów w przestrzeni. Piękno tkwi bardziej w paradoksalnej poetyckości metafory uchwycenia nieuchwytnego czasu i zatrzymywaniu niepowstrzymanego przemijania.

Rzeźbiarka **Louise Bourgeois** przedstawiając zamknięte w klatce kobiece głowy i ramiona, odziane w materię i kryjące pod nią kule-jaja, pięknie komponuje instalację, ale i skupia się na metaforze kobiecości urokliwej i smutnej, anonimowej i matkującej, twórczej i w kobiecości uwięzionej.

David Small w interaktywnym projekcie „Iluminowany rękopis" wywołuje doznanie estetyczne atmosferą ciemnego pomieszczenia rozświetlonego pulpitem z księgą, po której w trakcie odwracania czystych, białych kart przebiegają kolorowe napisy. Jednak przede wszystkim operuje symbolem księgi i metaforą boskiego światła w natchnionym pisaniu i czytaniu, pytając przy tym o to, kto naprawdę jest autorem literackiego piękna.

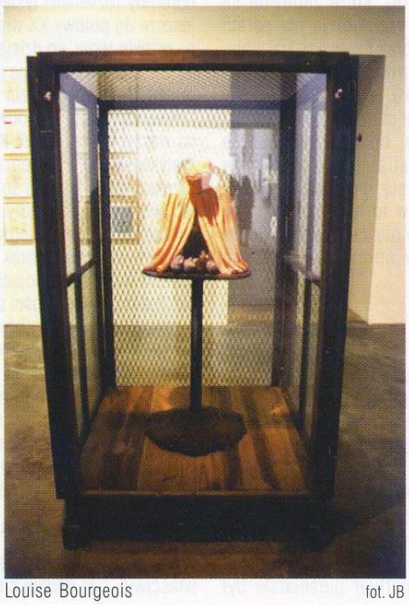
Jeśli zatem artyści abstrakcyjni pragnęli być muzykami, tak najbardziej współcześni artyści konceptualni pozazdrościli filozofom głębi przemyśleń, a pisarzom poetyckiego sposobu przemyśleń komponowania. Piękno filozofii tkwi w głębi myślenia, zaś literatury w sposobach komponowania tekstu. Tak więc piękno, to obiektywne, wciąż tkwi w tych dziwacznych dziełach współczesności, tyle że w innym miejscu. I w sztuce dawnej komponowano treść obrazowych przedstawień w przemyślane koncepty. Jednak nigdy piękno nie tkwiło tak bardzo w doświadczaniu intelektualnym i literackim, mniej ceniąc zmysły.

Wspomniani współcześni artyści to twórcy bardzo znani. Często jednak piękna należy poszukiwać w podobnym trudzie filozoficznej i literackiej interpretacji, także w sztuce związanej z muzycznymi subkulturami. Doświadczenie kwestionowania wartości i porządku, a potem dramatycznego szukania prawdy, owocuje bowiem komplikowaniem drogi do piękna, ale nie zatracaniem go.

Aby zająć się bliżej sztuką inspirowaną muzycznymi subkulturami i wzajemnie inspirującą je, a przy okazji poznawać sztukę współczesną, należy najpierw zrozumieć, że piękno, będące atrybutem Boga kryje się dziś i odsłania w różnych miejscach artystycznych działań i dzieł. Może po to, abyśmy wśród trudu szukania zdali sobie sprawę z tego, jak naprawdę piękna pragniemy. ■



On Kawara, fragment wystawy



Louise Bourgeois fot. JB



Pełnym głosem

Jakub Żmidziński

O śpiewie liturgicznym uwagi z głębi kościoła

● Podpoznańska kaplica na nowym osiedlu, tuż przy budującym się kościele. Niedzielna msza w jesienny wieczór. Przez głośniki płynie śpiew i muzyka wykonywana przez młodych, stojących na chórze ludzi. Słychać skrzypce i gitarę elektryczną akompaniujące nowym pieśniom, znanym nielicznym uczestnikom pielgrzymek i członkom młodzieżowych grup modlitewnych. Płynie piękny śpiew z instrumentalnym podkładem, ale kościół milczy. Gdy ksiądz intonuje dobrze znane wszystkim części stałe mszy, podnosi się z głębi kaplicy cichy śpiew, ale słychać go tylko w przedniej części, tył świątyni milczy.

● Rekolekcje dla studentów w jednym z poznańskich kościołów. Wcześniej półgodzinna nauka śpiewu. Schola intonuje pieśni wspierając się akompaniamentem gitary, której używa ktoś z dużym kunsztem. Pieśni brzmią w całym kościele, tak się przynajmniej wydaje, lecz w tyle świątyni panuje cisza.

● Niedzielna przedpołudniowa msza w jednym z kościołów parafialnych w Poznaniu. Organista z dużym wyczuciem intonuje pieśni, które wierni lepiej lub gorzej śpiewają. Czasami uda się zaśpiewać nawet dwie zwrotki. Właśnie trwa okres Bożego Narodzenia i co jakiś czas pojawiają się znane kolędy, ale ludzie z trudem wśpiewują się w tonację organów, gardło męczy się po kilku wersetach...

Nakreśliłem kilka obrazów przebiegu liturgii, które zapewne są reprezentatywne dla wielu regionów Polski, szczególnie dla parafii miejskich. Ich wspólnym rysem jest nie tyle brak śpiewu w kościele, co bierna postawa wiernych. Nasilenie biernych postaw podczas liturgii obserwowane jest w Polsce od ponad 10. lat, a dotyczy przede wszystkim ludzi młodych. I ma się wrażenie, że pomimo świadomości tego stanu sytuacja nie tyle polepsza się, co bardziej jeszcze komplikuje. Powstaje wiele chórów parafialnych i zespołów młodzieżowych, działają schole, zaprasza się na msze orkiestry i profesjonalnych muzyków, wielu organistów to ludzie z wyższym wykształceniem muzycznym. Ale to wszystko nie zawsze daje dobre efekty. Dlaczego? Dlaczego przestajemy śpiewać w naszych świątyniach?

Zanik tradycji śpiewu

Odpowiedź łatwo uprościć, wskazując na jedną przyczynę, np. niedostosowanie repertuaru kościelnego do gustów młodego pokolenia. Ale rzecz wydaje się dużo bardziej złożona. Nie sposób wskazać tu wszystkie przyczyny, ale choć kilka warto przytoczyć. Przede wszystkim przestajemy śpiewać jako naród. Słowianie zawsze byli rozśpiewani, wieś polska rozbrzmiewała przez cały rok pieśniami religijnymi, śpiewanymi modlitwami, ale także pieśniami związanymi z pracą, zabawą, weselem. To wszystko niemal doszczętnie w Polsce zanikło, choć trwa u wielu naszych sąsiadów: Czechów, Ukraińców, Litwinów. Nawet tak „zachodni" naród jak Anglicy śpiewa lepiej więcej od nas. Warto uświadomić sobie, że tradycyjny repertuar pieśniarski był ogromny (dziesiątki tysięcy pieśni i przyśpiewek) i trwał całkiem nieźle jeszcze do połowy XX wieku! Odrzuciliśmy go nieomal w całości, jakby na przekór temu, co dzieje się na wielu obszarach Europy, gdzie powraca się do korzeni, kultywuje je i na nowo odczytuje. Jedyny śpiew, jaki u nas pozostał (poza do dziś śpiewającymi regionami Kurpiów, Podhala i mniejszościami narodowymi) to właśnie śpiew kościelny, a ten zamiera na naszych oczach. W Kościele bowiem, pomimo zaleceń II Soboru Watykańskiego, a czasem zupełnie bez ich zrozumienia, zanika mechanizm przekazywania tradycji śpiewu, który w Polsce funkcjonował przez tysiąc lat. Nie znamy i nie uczymy się tekstów ani starych, ani nowych pieśni, a jeżeli już, zapamiętujemy najwyżej jedną, dwie zwrotki. Kryzys pamięci... owszem, ale również brak dobrej edukacji i zbyt częste zmiany repertuaru (dr Zoła mówiło przebojach w Kościele, które żyją najwyżej kilka sezonów). Nie ma też w większości parafii ludzi, którzy byli niegdyś żywą pamięcią – potrafili bez śpiewników odtworzyć cały repertuar i to w pełnej wersji, po kilkadziesiąt zwrotek każdej pieśni. My nie śpiewamy często nawet wtedy, gdy znamy teksty. Zapewne każdy przeżył doświadczenie śpiewu wspólnotowego, kiedy nic nie zagłusza, nie pośpiesza, nie śrubuje wysokości, gdzie śpiew nie męczy, a płynie spokojnie, niesie radość i poczucie wolności. Często zdarza się to również w kościołach, niestety, najczęściej wtedy, gdy nie ma organisty, a ksiądz odprawiający mszę intonuje wszystkim znane pieśni.

Organy i mikrofon

Nie jestem wrogiem organów, to pięknie brzmiący instrument, jedyny właściwie, jaki nadaje się dla zachodniej liturgii, ale bardzo często są

one niewłaściwie użyte. Marcel Peres wspominał, że najczęściej źle, zbyt wysoko się je stroi. Niewłaściwie użyte potrafią też zagłuszyć śpiew. A przecież nie od początku tak było. Dawniej organy miały inne, cichsze brzmienie i jedynie intonowały śpiew, głośniej włączając się w odpowiednich momentach celebracji, np. do improwizacji podczas komunii, gdy ludzie spożywają Eucharystię, co wymaga milczenia i krótkiej chociaż medytacji. Istnieje także zjawisko, które można by nazwać prymatem mikrofonu, i to niezależnie, czy używa go organista, kapłan lub osoba prowadząca śpiew. Ktoś posługujący się mikrofonem ma poczucie donośności swego głosu, choć mówi cicho. Kiedyś, gdy nie było jeszcze megafonizacji, kapłani uczyli się mówić i śpiewać tak, by byli jak najlepiej słyszalni: śpiew musiał być donośny i daleki, a to wymaga odpowiedniego tempa i rytmu. Bardzo często zauważam, że ktoś przy mikrofonie, najczęściej organista, nie ma świadomości tego, że cichy śpiew rządzi się innymi prawami niż śpiew wspólnoty wiernych - śpiew wiernych musi w pełni wybrzmieć. Przysłowiowe jest już przyspieszanie śpiewu przez organistę, gdy ksiądz prowadzi mszę zbyt rozwlekle. Ale... dokąd tu się spieszyć, jeśli ludzie mają śpiewać, trzeba im dać na to czas i nie wolno ich zagłuszać, ani organami, ani zbyt głośnym śpiewem do mikrofonu, co często z kolei czynią kapłani. Oczywiście liturgia musi mieć swoją dynamikę, na pewno jednak ogromnym jej wrogiem jest pośpiech. Warto sobie uświadomić, jak długo niegdyś trwały nabożeństwa i jak długo trwają do dzisiaj w Kościele prawosławnym. Czas liturgii jest czasem świętym i nie można go upodabniać do wydarzeń świeckich. Ale, można powiedzieć, skoro nie będzie śpiewał organista ani kapłan, to w kościele zapanuje cisza. I tu się nie zgadzam, znam bowiem wiele przykładów z kościołów wiejskich czy miejskich, kiedy liturgia wspaniale obywała się bez instrumentów. Najważniejsze okazuje się odpowiednie zaintonowanie śpiewu. Niegdyś tę rolę pełnili kantorzy, na Korsyce np. istniały bractwa kantorskie, kantorzy prowadzili śpiewy w kościołach przyklasztornych, w każdej wsi była osoba, która przewodziła śpiewom podczas nabożeństw. Dzisiaj z różnym efektem próbują tę lukę wypełnić młodzieżowe schole.

Instrumenty

Pozostaje kwestia instrumentów, których użycie podczas liturgii dopuścił II Sobór Watykański. Mało kto pamięta, że na wprowadzenie innych, poza organami, instrumentów do liturgii powinien wyrazić zgodę biskup danej diecezji. Dlaczego większość instrumentów nie nadaje się do kościoła? Miejsce organów sankcjonuje tradycja, zresztą samo ich brzmienie było kształtowane tak, by odpowiadało odczuciu sakralności. Świat skojarzeń, jaki wywołuje muzyka organowa, zazwyczaj prowadzi nas do świątyni. Inne instrumenty, najczęściej pojawiająca się gitara, pochodzą z innego świata, służyły od początku innemu, świeckiemu rodzajowi muzyki. Już nawet użycie organów elektrycznych bywa ogromnym zgrzytem – pierwsze skojarzenie: tradycja rockowa: The Doors i Czesław Niemen. Piękna muzyka, ale nie dla liturgii, grozi nam bowiem przemiana obrzędu w koncert czy teatr. Jaka jest różnica między rytuałem a teatrem (czy koncertem)? – muzyka koncertowa, gest teatralny skupiają na sobie, natomiast rytuał, którym jest liturgia, odsyła dalej, do innej rzeczywistości, którą odsłania i której służy. Teatr czy koncert zakłada istnienie wykonawcy (aktora) i widzów, natomiast rytuał jest celebrowany przez wszystkich. Ktoś powie: subtelne różnice... Różnice są zasadnicze, bowiem obrzęd może zamienić się w adorację osoby: artysty, wirtuoza, będzie więc zaprzeczeniem tego, czym miała być pierwotnie.

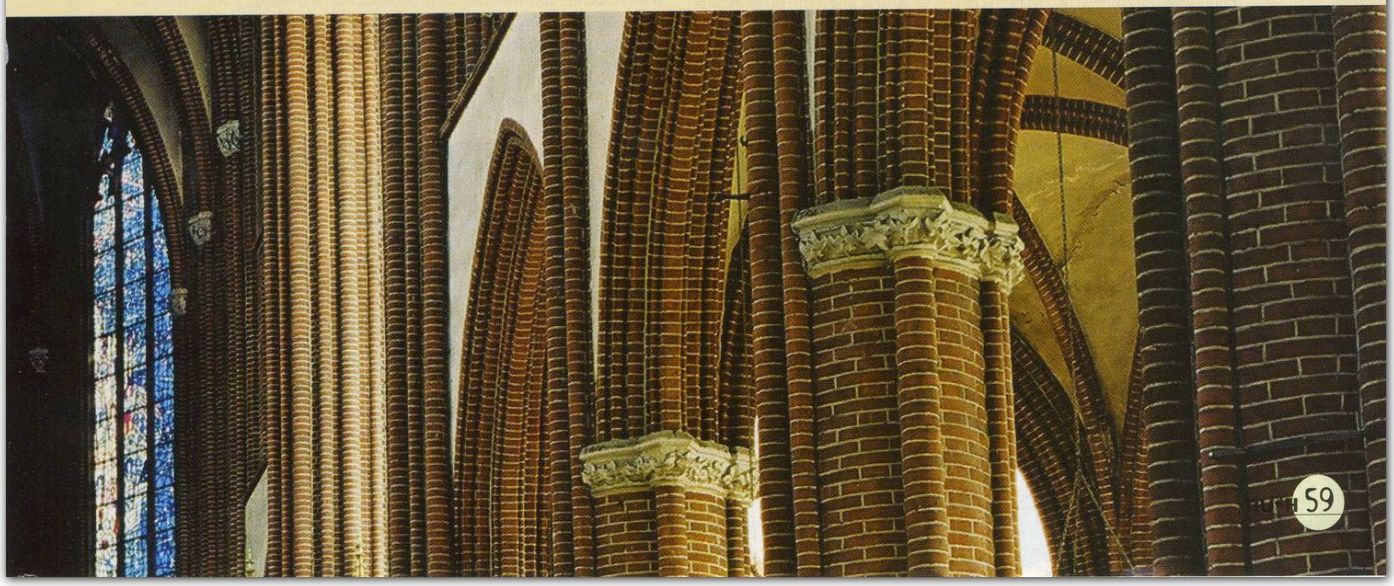
Współuczestnictwo w liturgii niebiańskiej

Zasadą rytuału zawsze jest współuczestnictwo, każdy wierny niejako koncelebruje to, co dzieje się na ołtarzu. W trakcie ofiary eucharystycznej wszyscy, łącznie z kapłanem, włączają się w coś, co przerasta naszą zdolność pojmowania, a co w dokumentach Soboru Watykańskiego tak zostało opisane: Liturgia ziemska daje nam niejako przedsmak uczestnictwa w liturgii niebiańskiej, odprawianej w mieście świętym Jeruzalem, do którego pielgrzymujemy, gdzie Chrystus siedzi po prawicy Bożej jako sługa świątyni i prawdziwego przybytku. W liturgii ziemskiej ze wszystkimi zastępami duchów niebieskich wyśpiewujemy Panu hymn chwały. Liturgia niebiańska nie jest zatem jakąś metaforą czy symbolem, jest rzeczywistością, w którą wierzyli nasi przodkowie i którą uznaje współczesny Kościół, choć należy ona do porządku mistycznego. Uczestniczymy zatem w czymś, co przerasta naszą zdolność rozumowego poznania, a ledwie potrafimy wyśpiewać (czasami wymówić): *Święty, Święty, Święty*... i to na jakąś skoczną melodyjkę, choć ten właśnie śpiew, który wydobywał się z ust serafinów, usłyszał prorok Izajasz podczas wizji tronu Bożego (Iz 6, 1-4), a później św. Jan w chwili zachwycenia (Ap 4, 2-8). Czyżbyśmy zapomnieli o wielkości Boga, a może nie potrafimy jej wyrazić? Dante, by oddać muzykę anielską, utworzył w Boskiej Komedii nowy czasownik - pisał, że anioły w niebie nieustannie *allelują* na chwałę Pana, a my czasami nie potrafimy nawet najprościej wyśpiewać tego pradawnego hebrajskiego słowa. Kiedy wczytamy się w opisy uroczystości w świątyni jerozolimskiej, zrozumiemy, dlaczego prawosławni pozostali przy liturgii śpiewanej i z niechęcią odnoszą się do liturgii zachodniej:

Kiedy wyszli kapłani z Miejsca Świętego (...) ubrani w bisior, stali na wschód od ołtarza grając na cymbałach, harfach i cytrach, a z nimi stu dwudziestu kapłanów, grających na trąbach – kiedy tak zgodnie, jak jeden, trąbili i śpiewali, tak iż słychać było tylko jeden głos wysławiający majestat Pana, kiedy podnieśli głos wysoko przy wtórze trąb, cymbałów i instrumentów muzycznych przy wychwalaniu Pana, że jest dobry i że na wieki jego łaskawość, świątynia napełniła się obłokiem chwały Pańskiej... (2 Krn 4, 11-14).

Spełnienie Ofiary

Ofiara eucharystyczna zawsze pozostanie spełniona, niezależnie od tego, czy obrzęd będzie śpiewany, czy mówiony, z akompaniamentem organów czy bongosów, czy w pełni w nim uczestniczymy, czy tylko przestępujemy z nogi na nogę pod drzwiami kościoła. Ale jeżeli pytamy, dlaczego spada liczba ludzi chodzących do kościoła, to jedną z odpowiedzi jest niska jakość liturgii. I nie chodzi o to, by uczynić ją bardziej artystyczną, lecz bardziej żywą, bardziej wspólnotową. Można bowiem pięknie przeżyć i mszę mówioną, choć zawsze czegoś w niej brakuje, ale czy można głęboko przeżyć mszę śpiewaną z akompaniamentem elektrycznym, gdzie śpiewa się części stałe na melodie piosenek estradowych? Naprawdę, niewiele potrzeba.



Pamiętam rekolekcje o. Jacquesa ze wspólnoty św. Jana, prowadzone kilka lat temu: proste łacińskie śpiewy, rodem z Taize, pełne skupienie, waga każdego gestu i słowa (wszystko po łacinie, bo o. Jacques nie zna języka polskiego). Trzeciego dnia oprawę liturgii przygotowywała wspólnota Odnowy w Duchu Świętym. Kontrast był ogromny, uświadomiłem sobie wtedy, że prostota, poparta pełnym duchowym zaangażowaniem zupełnie wystarcza, nie trzeba wymyślać dodatkowych gestów i pieśni, wprowadzać nowych instrumentów. Ale pamiętam też wiele niezwykle uroczystych, pełnych ducha celebracji, z udziałem chórów, a nawet orkiestr. Nasze przeżycie jest subiektywne, w dużej mierze zależy od wcześniejszego przygotowania, od wewnętrznego skupienia. Oprawa liturgii może jednak skupieniu bardzo dopomóc.

Kiedy próbowałem sobie uświadomić, co było dla mnie, jako dziecka, najważniejsze w kościele, dlaczego - mimo zawirowań wieku młodzieńczego - nie przestawałem do niego przychodzić, doszedłem do wniosku, że najważniejsze było i jest przeżycie czegoś ważnego. Co jest owym ważnym? – dotknięcie tajemnicy, zaledwie otarcie się o wielkość Boga, a jednak to nieświadome uczucie potrafiło prowadzić do zrozumienia słów, które zostały zapisane w dokumentach ostatniego soboru: „Liturgia (...) jest szczytem, do którego zmierza działalność Kościoła i jednocześnie jest źródłem, z którego wypływa cała jego moc".

Aby to wszystko stało się dla nas rzeczywistością, trzeba m.in. pracować nad liturgią, bo jestem przekonany, że wielu ludzi odchodzi z Kościoła nie dlatego, że nie potrzebuje Boga i obrzędów ku Jego czci, lecz dlatego, że w Kościele nie odnajduje odpowiedzi na swój duchowy głód.

Piękno i siła korzeni

Co zatem można zrobić, by nie tylko teoretyzować i mówić, jak bardzo jest źle? Koncentrując się tylko na muzyce, choć ważne jest przecież i wnętrze świątyni, światło, wystrój plastyczny, charakter homilii – na pewno konieczna jest lepsza edukacja muzyczna w szkołach, a przede wszystkim w seminariach. To jednak, jak wiadomo, nie zmieni się tak szybko... Potrzebne jest również pogłębianie świadomości i kształtowanie na nowo pewnej wrażliwości muzycznej. Musimy przede wszystkim docenić naszą tradycję: polską i chrześcijańską. Wolimy egzotykę – rytmy afrykańskie czy monotonne brzmienia hinduskie, możemy zauważyć, że w Afryce czy Ameryce Południowej wprowadza się lokalne tradycje do liturgii, ale przecież z tego samego powodu my powinniśmy trwać przy swoich, a ich bogactwo jest ogromne. Nawet jeśli wiele pieśni się zestarzało, to przecież zasób nagranych polskich ludowych pieśni religijnych przekracza 20 tysięcy! Samych kolęd i pastorałek było około 2 tysiące. Posłuchajmy, jak te pieśni śpiewa Bractwo Ubogich, jak brzmią kolędy na płycie Kapeli Brodów, czy nawet Muzykantów. Wiele śpiewów odrzuciliśmy zbyt pochopnie, a mają w sobie ogromną moc, są piękną modlitwą. W globalizującym się świecie to one mogą stanowić o naszej tożsamości, tak jak tańce irlandzkie, rytmy andyjskie, hinduskie mantry dla ich tradycyjnych wykonawców. Zakopaliśmy ogromny skarb, który trzeba na nowo wydobyć i oczyścić, by rozbłysnął takim światłem, które będzie przyciągało nawet młodych, wychowanych na rocku, rapie czy techno. Czy jest to możliwe? - widziałem, jak studenci owacyjnie przyjmowali koncerty muzyki dawnej... – na pewno tak, ale nie jest proste, wymaga wiele czasu i talentu. Na podjęcie czeka ogromna tradycja śpiewu chorałowego, którego, wg Marcina Bornusa-Szczycińskiego, powinniśmy uczyć już dzieci. Prowadzone od ponad 10 lat roraty w kościele poznańskich dominikanów dowodzą, że mądrze wprowadzony śpiew łaciński doskonale spełnia swoją funkcję nawet na początku XXI wieku.

Jestem przekonany, że tylko tradycja, sensownie uaktualniona, może nas uchronić przed banalizacją tego, co ważne. Dopiero na jej bazie, gruntownie ją poznając, można tworzyć nową muzykę liturgiczną.

Muzyka sakralna a estrada chrześcijańska

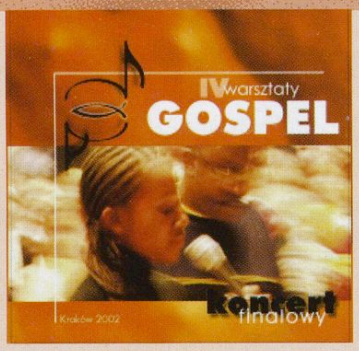
Musimy zrozumieć różnicę, jaka dzieli muzykę sakralną od muzyki estradowej: funkcja tej pierwszej jest służebna wobec obrzędu, z estrady można ewangelizować, można się na niej modlić, mówić o Chrystusie, ale nie dokonuje się tam uobecnienie Ofiary. Estradowa muzyka chrześcijańska (CCM) nie nadaje się do liturgii, jej znaczenie jest zupełnie inne. W jej nurcie jest wiele interesujących zjawisk. Często słucham wielu jej wykonawców i wyobrażam sobie, że w wyjątkowej, odświętnej sytuacji muzyk czy zespół estradowy może uświetnić liturgię, ale w sytuacji wyjątkowej (np. przyjazd papieża, spotkania na Lednicy itp.). Nie jestem wrogiem nowoczesnych instrumentów, które wykorzystuje się podczas pielgrzymek, spotkań modlitewnych (piękny śpiew Wspólnoty Miłości Ukrzyżowanej, niezapomniana celebracja Wigilii Paschalnej na Kopiej Górce w Krościenku), ale liturgia doskonale się bez nich obchodzi, a jeśli je wprowadzamy, to czyńmy to bardzo umiejętnie, one bowiem mają jedynie służyć, a nie skupiać na sobie uwagę. Nie uważam też, że msze dla dzieci muszą być okraszone estradowymi piosenkami, że kapłan musi nieustannie prowadzić dialog z dziećmi, co może doprowadzić do takiego absurdu, którego niedawno byłem świadkiem: tuż przed przeistoczeniem spora grupa przedszkolaków gromadzi się wokół ołtarza, a wtedy kapłan pyta: *co jest na ołtarzu, czy w kielichu jest „kubuś marchwiowo-bananowy", a na patenie kotlet schabowy?* Dzieci, przekrzykując się, wołają z całych sił: *Nieeee!* Przecież nie chodzi o to, żeby dzieci po wyjściu z kościoła powiedziały, że było fajnie, ale by miały poczucie, że uczestniczyły w czymś ważnym, że spotkały się z Bogiem. Można je przecież rozśpiewać przed mszą, ale podczas liturgii uczyć ciszy, skupienia i pięknych, poważnych pieśni.

Zrozumieć dokumenty soborowe

Należę do pokolenia, które urodziło się po II Soborze Watykańskim i ze zdziwieniem odkrywam, jak wielką rewolucją była zmiana liturgii. Jednak nie do końca przekonuje mnie radykalne stanowisko powrotu do liturgii łacińskiej. Twórcy Soboru, wyczuwając ducha czasu, otworzyli furtkę dla wielu nowych zjawisk, ale to nowe często wprowadzane było szeroką bramą. Teraz chyba dojrzał czas, by z perspektywy 30. lat przyjrzeć się reformie soborowej, oddzielić plewy od ziaren, zrozumieć do końca ducha tamtych dokumentów (są one ogólnie dostępne w każdej księgarni katolickiej czy bibliotece parafialnej). Myślę o wielu prostych rozwiązaniach, które gdzieniegdzie funkcjonują i które mogłyby się upowszechnić. Warto, by powstawały małe schole lub pojawiały się pojedyncze osoby, biorące na siebie trud czuwania nad oprawą muzyczną tak, by inicjować śpiew wiernych, uczyć go, wydobywać zapomniane, a wciąż nowe pieśni, współpracować z organistą i księdzem, ustawiać odpowiednio nagłośnienie świątyń (znam kościół, w którym uczestnictwo we mszy traktuję w kategoriach umartwienia, ze względu na zbyt głośne megafony). Marzy mi się śpiewane na każdej mszy hebrajskie *Alleluja*, łacińskie *Sanctus*, które ma tyle w sobie wzniosłości, czy greckie Kyrie, dzięki czemu wszystkie dawne języki liturgiczne byłyby choć na chwilę obecne. Marzy mi się również, by wierni w kościołach śpiewali tak, że przechodzień, słuchający przez uchylone drzwi dobywających się pieśni, zapragnął przekroczyć próg świątyni. Bym mógł w kościele, wraz z innymi wiernymi, śpiewać Bogu pełnym głosem.



zdjęcia: Krzysztof Raczyński



IV WARSZTATY GOSPEL

„Koncert finałowy"

płyta / Stowarzyszenie Gospel 2002

Muzyka gospel to Dobra Nowina na złe czasy. Nic więc dziwnego, że zdobywa ona coraz większe rzesze ludzkich serc na całym świecie. Jej szczerość, emocjonalna intensywność, modlitewna głębia i silny ewangeliczny przekaz są w stanie poruszyć każdego człowieka, umocnić jego wiarę i dodać otuchy w chwili zwątpienia.

Mimo iż polskiej kulturze i tradycji obce są pełne religijnych uniesień ekstatyczne śpiewy, to z roku na rok stale przybywa osób pragnących osobistego doświadczenia takiej modlitwy. Stąd rosnąca ilość koncertów, festiwali, warsztatów i zespołów chóralnych sięgających po afroamerykańskie pieśni.

Podczas czwartej edycji Warsztatów Gospel, które odbyły się w połowie października zeszłego roku w Krakowie, zawiązał się pierwszy w Polsce Mass Choir (chór masowy) liczący ponad 400 śpiewaków. Wraz z zagranicznymi instruktorami i zaproszonymi muzykami wypełnił on niemal w całości scenę statecznej Filharmonii w Krakowie. Zapis dziesięciu pieśni zarejestrowanych w trakcie ponad dwugodzinnego koncertu finałowego został tradycyjnie wydany w formie kompaktu.

Na krążku znalazły się zarówno dynamiczne pieśni uwielbienia, przynaglające do oddawania czci Jezusowi („Sing Praises To The King", „Praise The Name Of Jesus"), pieśni prośby („Pass Me Not"), czy też przepełnione żarliwą modlitwą ballady („Open Up My Heart"). Niektóre z nich odwołują się do obrazów i symboliki czasów niewolnictwa („He That The Son Has Free"), inne urzekają pięknem melodii i harmonii („He'll Never Let You Down"). Jeżeli do tego doda się wywołujący dreszcze śpiew solistów i potężne brzmienie chóru, niepotrzebne będą dalsze rekomendacje. Warto choć raz wziąć udział w Warsztatach Gospel. Warto też mieć tę płytę.

(ar)



MUZYKA CHRZEŚCIJAN

„Kochaj i rób co chcesz..."

2 płyty, kaseta / Pomaton EMI 2002

Zestawy z odpowiednio wyselekcjonowanymi nagraniami muzycznymi zawsze cieszyły się powodzeniem wśród słuchaczy na całym świecie. Nic więc dziwnego, że tworzenie różnego rodzaju kompilacji stało się zjawiskiem powszechnym i stanowi dziś nieodłączny element rynku fonograficznego. Zasadniczym kryterium opracowywania dobrych składanek jest przejrzysta koncepcja i trafny dobór utworów. Zabieg ten polega zazwyczaj na skupieniu w ramach jednego albumu najpopularniejszych lub najbardziej reprezentatywnych dokonań artystycznych określonej grupy wykonawców w taki sposób, aby utworzyły w miarę spójną całość. W przypadku „Muzyki Chrześcijan" nie do końca się to udało.

Dwupłytowy album, mimo niezaprzeczalnej wartości muzycznej i merytorycznej, pozostawia pewien niedosyt. Najwięcej zastrzeżeń budzi nieobecność kilku czołowych artystów sceny chrześcijańskiej, jak Arka Noego, Deus Meus, Magda Anioł, Antonina Krzysztoń i TGD. W tej sytuacji umieszczenie na krążku mało znanego i nieprofesjonalnego muzycznie zespołu Vox Nostra wydaje się być oczywistym nieporozumieniem. Wyczuwalny jest również brak uznanych wykonawców młodego pokolenia, takich jak Etna, Ruah, J.E.G.O. Band czy Bartek Jaskot, którym składanka mogłaby pomóc w promowaniu własnej twórczości. Zamiast nich na albumie (w wersji kompaktowej) pojawiły się nazwiska, które ze środowiskiem chrześcijan trudno jednoznacznie powiązać. Widocznie motywy religijne występujące w tekstach piosenek stanowiły w oczach wydawcy dostateczny argument, aby utwory zakwalifikować jako „chrześcijańskie".

Oczywiście „Kochaj i rób co chcesz" ma wiele jasnych punktów, jak chociażby świetne nagrania 2 TM 2,3, Mietka Szcześniaka, Oweyo, AmenBandu oraz grupy Mikroklimat. I to ze względu na nie warto sięgnąć po ten album. Pozostaje też mieć nadzieję, że kolejne produkcje opatrzone mianem „muzyka chrześcijan" będą tworzone w sposób bardziej wyważony. Ukazywanie się tego typu kompilacji jest przecież bardzo potrzebne do szerszego propagowania muzyki z Dobrym Przekazem.

(ar)



TAIZÉ

„Venite Exultemus"

płyta, kaseta / Edycja Świętego Pawła 2002

Muzyka Taizé wywarła i nadal wywiera spory wpływ na muzykę sakralną. Wykształcone przez nią formy krótkich, medytacyjnych pieśni, mimo upływu czasu, wciąż zachowują swoją świeżość i żywotność. Doskonale sprawdzają się jako muzyczne dopełnienie liturgii, czuwań i spotkań modlitewnych. Zachęcają również, poprzez wielokrotne powtarzanie, do osobistego włączenia się w kontemplację wyśpiewywanych treści.

Płyta „Venite Exultemus" została nagrana w 2001 roku w Taizé przez młodych z 20 krajów. Zawiera 17 pieśni skomponowanych przez braci oraz dwa śpiewy wywodzące się z tradycji prawosławnej. Są one „świadectwem drogi zaufania, którą Wspólnota z Taizé kroczy od tylu lat, trwając na wspólnej modlitwie i udzielając gościny wielu młodym ludziom".

Śpiewom chóralnym towarzyszą soliści oraz tradycyjne instrumentarium: gitara, wiolonczela, flet, obój, klarnet, trąbka, waltornia i flety proste. Partie instrumentalne są potraktowane raczej jako subtelne dobarwienie i ubogacenie śpiewu, bez solistycznych zacięć, co w trakcie modlitwy ma ogromne znaczenie.

Płyta zawiera dodatkowo wszystkie teksty wykonywanych pieśni. Została też wzbogacona o ich polskie tłumaczenia.

(ar)

W dniach 14 - 17 XI 2002 w Dursztynie na Spiszu odbyły się warsztaty muzyczne prowadzone przez muzyków z zespołu New Life M oraz „śpiewające dziewczyny": Natalię Niemen (NLM), Violę Brzezińską (Saruel, AmenBand) i Basię Włodarską (TGD), Zorganizowała je grupa Dobry Duch - Dobra Muzyka z diecezji sosnowieckiej. Uczestnicy zaś zjechali z całej Polski (m.in. z Krakowa, Nowego Targu, Gdańska, Lublina, Wrocławia i Gorzowa Wlkp., a nawet z Wiednia). Chyba wszyscy, zarówno uczestnicy, jak i prowadzący ciekawi byli, co przyniosą i jaki ostateczny kształt przybiorą te dni.



Dobry Duch - Dobra Muzyka

relacja z Warsztatów Muzycznych w Dursztynie

Co ciekawego się na nich wydarzyło? W czwartek po wspólnym posiłku, Eucharystii i wieczorze zapoznawczym, podczas którego losowaliśmy nazwiska osób, które mieliśmy wspierać wstawiennictwem modlitewnym, przyszedł czas na spoczynek. Rozpoczęty jutrznią piątek był już dniem pracy nad warsztatem muzycznym. A zatem poszczególne klasy instrumentalne udały się do oddzielnych pomieszczeń na zajęcia z Robertem Cudzichem, Piotrem Jankowskim, Joachimem Menclem i Marcinem Pospieszalskim. Natomiast podzieleni na cztero- i sześcioosobowe grupy wokaliści korzystali z wiedzy i umiejętności Basi, Natalii oraz Violi.

Każdego dnia po południu odbywały się również zajęcia grupowe w zespołach już istniejących lub utworzonych z poszczególnych instrumentalistów i wokalistów, gdzie zajmowano się konkretnymi utworami. Nad każdym z zespołów czuwał jeden z muzyków, udzielając rad odnośnie do prowadzenia prób, kolejności podejmowanych czynności i aranżacji - wszystko dla uniknięcia chaosu i marnotrawienia czasu.

Podczas trwania warsztatów zrodził się również, jak się okazało bardzo trafny, pomysł zorganizowania chóru gospel. Wtedy to wszyscy wokaliści mogli uczyć się wspólnie śpiewać, a później już tylko uwielbiać tym śpiewem Stwórcę. WŁAŚNIE! Czas ten nie był jedynie szkoleniem warsztatu, umiejętności muzycznych. Dla wszystkich obecnych w Dursztynie ważne były pytania: Po co mam pracować nad warsztatem? Dlaczego? A przede wszystkim dla KOGO? Myślę, że w nas wszystkich, jeśli nie było go wcześniej, tam właśnie zrodziło się pragnienie wzrastania w umiejętnościach muzycznych dla jak najpiękniejszej i najpełniejszej służby Panu Bogu, służby dla głoszenia Jego Królestwa. Dlatego nie mogło obyć się bez wspólnej modlitwy, Eucharystii i uwielbienia. Szczególnie w tym czasie Pan Bóg rozlewał na nas swoje błogosławieństwo i łaskę, oczyszczał serca i obdarzał miłością, pozwalając w tak krótkim czasie doświadczyć rodzinnej atmosfery i jedności w Duchu Świętym.

Bardzo pięknym dopełnieniem duchowym i muzycznym było zaznaczenie istotnego miejsca śpiewów liturgicznych - zarówno teoretycznie (ojciec Bujnowski, który ubogacał nas sobą od soboty), jak i praktycznie. Nauka czterogłosowych śpiewów, prowadzona przez rozkochanego w tej muzyce Marcina Pospieszalskiego, oraz ich wykonywanie pomagało doświadczać głębi i dostojeństwa misterium, jakim jest Eucharystia i przychodzić w uwielbieniu przed Boży tron.

Bardzo ważne dla nas wszystkich wydarzenie to sobotni wieczór, kiedy odbyła się dyskusja na temat: „Muzyka w służbie Bogu". W tym czasie odpowiadaliśmy na pytanie o powód naszego uczestnictwa w tych warsztatach, doświadczenia z nimi związane. Dzieliliśmy się problemami spotykanymi w poszczególnych zespołach i grupach uwielbieniowych oraz sposobami ich rozwiązywania, pracą nad doskonaleniem umiejętności i podstawową w graniu i śpiewaniu dla głoszenia Bożej chwały, rolą relacji z Panem Bogiem. Wieczór ten był pełen dzielenia się doświadczeniami zarówno muzyków prowadzących, jak i uczestników, pełen wzruszających świadectw i uczenia się od siebie nawzajem.

Warsztaty zakończyło niedzielne, poobiednie spotkanie chóru gospel i instrumentalistów, które przerodziło się w dziękczynienie i uwielbienie Stwórcy Wszechdźwięków za ten błogosławiony czas, którym zostaliśmy obdarzeni.

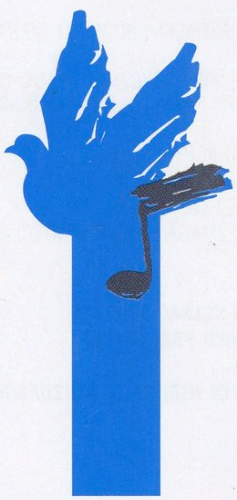
Należy wspomnieć jeszcze o jednej rzeczy: dzięki temu, że Pan Bóg cudownie stwarza swoje dzieci, kształtuje ich serca i wlewa w nie dobre pragnienia - mogliśmy zadziwiać się również sobą nawzajem. Prowadzący byli zadziwieni gotowością do pracy, skupieniem i spragnieniem wiedzy uczestników. Uczestnicy zaś składali dziękczynienie Panu Bogu za prowadzących i muzykom za poświęcony czas, zaangażowanie. Za to, że nawet w przypadku doświadczenia własnych braków i tego, że się jest u początku drogi muzycznej - nie było to dla nich doświadczenie miażdżące i upokarzające, ale budujące i zapalające do pracy. Po prostu - my pracowaliśmy i modliliśmy się, a Pan Bóg cudownie przemykał się do naszych serc, pozwalając chwalić Go owocem tej pracy - muzyką. Wierzymy, że całe dobro, które miało miejsce na warsztatach Muzycznych w Dursztynie będzie trwało i owocowało w Kościołach, wspólnotach i sercach ludzkich.

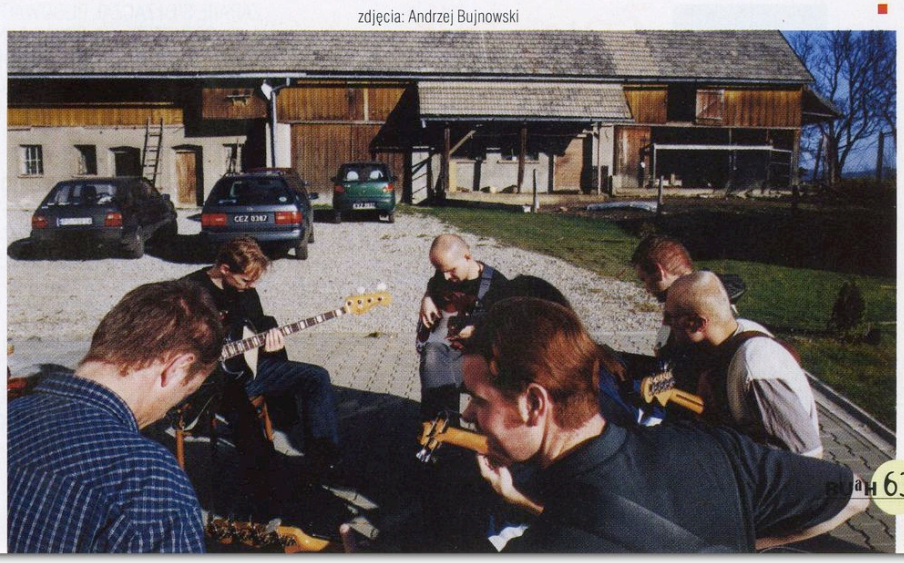
Agnieszka Pająk

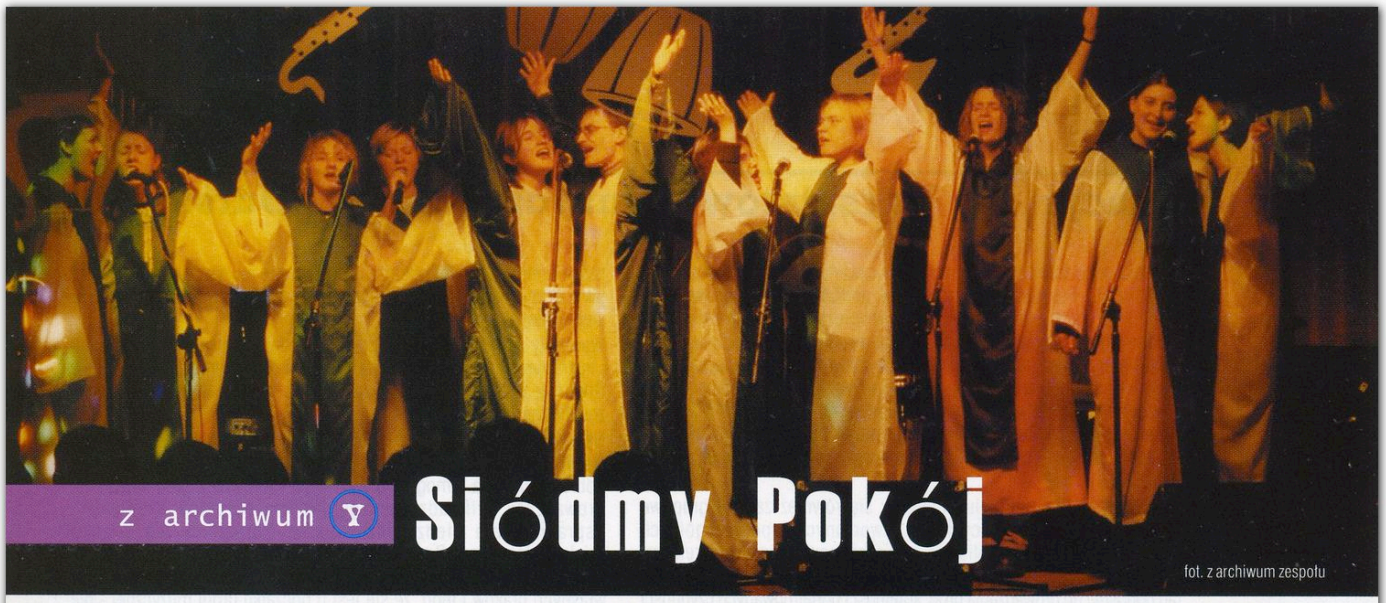
Świadectwo: *Posługuję w Diakonii Uwielbienia, jestem jej szefem, i jako osoba odpowiedzialna za uwielbienie we wspólnocie, odczuwam ciężar odpowiedzialności za tych wszystkich, którzy chcą być bliżej Pana. Ten ciężar jest tym większy, że moje umiejętności gry na gitarze i prowadzenia zespołu muzycznego są niewielkie. Dlatego tu jestem i dziękuję Duchowi Świętemu za ten czas, który uświadomił mi, w którą stronę mam iść i co doskonalić. Rady Joachima odnośnie do prowadzenia zespołu bardzo mi się przydadzą, po raz pierwszy usłyszałam, jak prowadzić próby. I to jest wspaniałe, że członkowie New Life 'M są tacy otwarci, potrafią służyć innym bez wywyższania się, wyśmiewania braków muzycznych i innych. I to chyba najważniejsza rzecz, którą stąd wywiozę: bycie pokornym i otwartym na innych, ukazywanie im wspaniałości Bożej i przyprowadzanie ich do Niego. Wywiozę z tych rekolekcji motywację do pracy nad doskonaleniem gry i śpiewu. Choć zdaję sobie sprawę, że będzie to kosztowało mnie dużo pracy i wyrzeczeń. Wiem jedno - Pan nie chce bylejakości, On jest godzien wszystkiego, co mam najlepszego. I będę się starała ze wszystkich sił oddawać Mu chwałę i uwielbienie. Bo to On sam mnie wybrał i namaścił do posługi. Teraz moja kolej - odpowiedzieć Mu gotowością służenia jak najpełniejszego, na 100% swoich możliwości. Chwała Panu za ten czas!*

Aneta

zdjęcia: Andrzej Bujnowski







z archiwum Y

Siódmy Pokój

fot. z archiwum zespołu

SIÓDMY POKÓJ rozpoczyna swoją działalność w maju 2000 roku i od samego początku jest związany z częstochowskim Duszpasterstwem Akademickim „Emaus", gdzie uczestniczy w przygotowywaniu i celebrowaniu liturgii. Coraz częściej prowadzi też działania „zewnętrzne", bierze udział w różnych spotkaniach, rekolekcjach, koncertach i festiwalach.

Spiritus movens zespołu i jego menadżerem jest Monika Wierzbicka.

Obecnie Siódmy Pokój tworzą studenci i absolwenci częstochowskich uczelni: Magdalena Maciąg, Marzena Małolepsza, Agnieszka Tarnowska, Marzena Rusak, Marzanna Paszkowska, Monika Wierzbicka, Julia Stelmach, Małgorzata Kosarga, Leszek Różycki, Rafał Wierzbicki, Mateusz Kulej, Daniel Pomorski (klawisze, trąbka), Grzegorz Kowalczyk (gitara), Łukasz Jakubczak (perkusja) i Dominik Kluszewski (inst. perkusyjne). Opiekunem Siódmego Pokoju jest ks. Andrzej Przybylski - duszpasterz akademicki. Autorami tekstów - Monika Wierzbicka, Marzena Małolepsza, Rafał Wierzbicki. Muzykę komponuje Daniel Pomorski oraz Marzena Małolepsza. Każdy z członków Siódmego Pokoju ma swoje upodobania muzyczne, dlatego muzyka, jaką prezentuje zespół, jest wypadkową różnych gatunków. Odnajdujemy w niej elementy jazzu, reggae, soulu, rapu, rocka.

Przełom stycznia i lutego 2003 - to ważny moment dla zespołu. W „Edycji św. Pawła" wydają swoją debiutancką płytę. Krążek zatytułowany „Cud" jest zbiorem dziesięciu piosenek, w nagraniu których zespół gościnnie wspomogli Marzena Lamch (śpiew), Marcin Lamch (gitara basowa), Łukasz Kluczniak (saksofony), Robert Gliński (gitary) i DJ Pierwsze Słyszę (gramofony). – *„Na płycie CUD nagraliśmy piosenki, które lubimy najbardziej"* – mówią muzycy. – *„Wszystkie one są dla nas ważne, ponieważ mówią o tym, co mamy w sercach, pomagają wyrazić nasze przeżycia i przemyślenia. W piosenkach tych dzielimy się wszystkim, co wypływa z naszego życia z Chrystusem, jeśli tylko jesteśmy w stanie przekazać to w słowach..."*

Członkowie zespołu od lat są związani z chrześcijańskimi działaniami muzycznymi w Częstochowie, m.in. z tutejszym Festiwalem Kolęd - „Stajenka". Można ich było usłyszeć na Festiwalu „Kanaan" (Czerwionka, 2001 r.), w ramach Jubileuszu Młodych (Częstochowa, 2001 r.), na Dniach Franciszkańskich (Opole, 2001 r.), w Marszu dla Jezusa (Częstochowa, 2002 r.) i w innym miejscach.

Na pytanie o nowe projekty odpowiadają, że przede wszystkim nie chcą zatracić radości w śpiewaniu i tworzeniu. - *„Najważniejsze dla nas jest to, aby być autentycznym w wyrażaniu siebie. Jedziemy tam, gdzie nas potrzebują, zapraszają. Marzymy o wspólnym wakacyjnym wyjeździe połączonym z koncertowaniem"*. Na pytanie *„Kim jest dla Was Jezus Chrystus?"*, odpowiadają indywidualnie, ale zwięźle – *„Panem i Zbawicielem* (Julia), *Życiem* (Marzanna, Grzegorz), *Drogowskazem* (Leszek), *Przyjacielem* (Gosia, Daniel, Marzena), *Zbawicielem* (Agnieszka), *Kimś, kto stale jest ze mną i się o mnie troszczy* (Monika), *Kimś najwspanialszym na świecie i nie tylko na nim* (Marzena), *po prostu – Bogiem* (Rafał)". Śpiewanie jest dla nich przede wszystkim modlitwą, dlatego liczą na „nagrodę" w niebie. Zespół chce bardzo podziękować wszystkim, którzy wspierają amatorskie zespoły!

I na koniec coś śmiesznego. Opowiadają muzycy zespołu: *„Jadąc na Festiwal do Czerwionki, podróżowaliśmy dwoma samochodami: busem i maluchem... Najpierw w maluchu wysiadły hamulce (całkowicie!!!), a później nie chciał jechać. Na szczęście jest w naszym zespole mechanik samochodowy (!) i wszystko naprawił, a nawet zdążyliśmy na Festiwal"*.

ks. Grzegorz Ułamek

Kontakt z zespołem: www.siodmypokoj.kdm.pl; e:mail: siodmypokoj@kdm.pl; tel. 600 29 03 04. ■



Zapistnik Toski Krzysztoń

DOM PRZYPOWIEŚĆ

PATRZĄC NA NIEGO NIGDY NIE MOGŁAM OPRZEĆ SIĘ WRAŻENIU ŻE SPOTKAŁAM JANA CHRZCICIELA CZY INNĄ BIBLIJNĄ POSTAĆ.WIELU BIEDAKÓW ZASIADAŁO PRZY JEGO STOLE. PAMIĘTAM JAK KIEDYŚ WPADŁ DO MNIE I DOWIEDZIAŁAM SIĘ ŻE TEN SAMOTNIK ZAKŁADA RODZINĘ.

WŁAŚNIE W TYM CZASIE SPŁONĘŁA JEGO WIELKA SZOPA Z BALI W KTÓREJ OPRÓCZ ZWIERZĄT I SIANA MIAŁ SWOJĄ IZBĘ A NA STRYCHU POSŁANIA DLA TYCH CO GO ODWIEDZALI. W TYM TEŻ CZASIE WIELE NIESZCZĘŚĆ SPADŁO NA GŁOWY TEJ RODZINY.

ZAPARŁ SIĘ I ZACZĄŁ BUDOWAĆ DOM. „KOBIETA MUSI MIEĆ DOM". A TU PRZYSZEDŁ NA ŚWIAT SYNEK.

I DOM STOI.500 M2!! DREWNIANY PRZEPIĘKNY BUDOWAŁ GO SAM: „CZASEM KTOŚ WPADŁ POMÓGŁ".

PRZEZ 10 LAT PO 12 GODZIN CIĘŻKIEJ FIZYCZNEJ PRACY. GDY STANĘŁAM NA JEGO PROGU PO RAZ PIERWSZY OGARNĘŁO MNIE WIELKIE WZRUSZENIE.

KAŻDA DESKA - KROK PO STROMEJ ŚCIANIE.

DOPIERO OD 1,5 ROKU MAJĄ PRĄD.

ONA POKAZUJE MI KLITKĘ W KTÓREJ ŻYLI PRZEZ KILKA LAT.

„WIDZĘ" OPRÓCZ DOBRYCH DNI TE ZMAGANIA, SAMOTNOŚCI, ŁZY I WYRZECZENIA

* * *

KILKA DNI TAK TRUDNO BYŁO MI STANĄĆ DO ŻYCIA
PRZYPOMNIAŁAM SOBIE DOM MOICH PRZYJACIÓŁ
NIE WIDAĆ W NIM ŁEZ I ZMAGAŃ
STOI PIĘKNY. I NIE BRAKUJE W NIM MIEJSCA DLA BIEDAKÓW...



3 kolory reggae i okolice

1. **GOOD RELIGION** - Idziemy (sł. Piotr Gałązka, muz. Good Religion) 4:43
2. **MALEO REGGAE ROCKERS** - Nikt (sł. i muz. Darek Malejonek i Kultura) 5:20
3. **ARMIA** - Exodus (sł. i muz. Bob Marley) 4:56
4. **BAKSHISH** - Daj mi siłę (sł. Jarek Kowalczyk, muz. Tomek Wójcik) 5:54
5. **PIOTR „MRÓWA" MROWIŃSKI** - Gipsy (sł. i muz. Piotr Mrowinski) 4:21
6. **NOWE JERUSALEM** - Nie kupisz mnie (sł. i muz. Maciej Flank) 5:21
7. **TRIQUETRA** - Dyla dać (sł. Jakub Podolski, muz. Triquetra) 3:26
8. **ADONAI** - Jahweh, to Ty (sł. Matan Sumiński, muz. Matan i Dorota Sumińscy) 4:40
9. **MIASTO** - Jezus not dead (sł. Marcin Mucha-Muszyński, muz. Miasto) 1:48
10. **APOSTOLOS** - Psalm (sł. i muz. Mariusz Mamulski) 4:09
11. **30 SYNÓW I 40 WNUKÓW JADĄCYCH NA 70 OŚLĘTACH + VIOLA BRZEZIŃSKA** - Łaska Twoja, Panie (sł. Robert Ruszczak, muz. 30+40/70) 4:44
12. **MAGDA BOBROWSKA & BARDZO ORKIESTRA** - Wiem Panie (sł. i muz. ks. Witek Wolny) 4:26
13. **KOMETA** - Mądrości (sł. i muz. Aga Plebanek) 4:10
14. **MACIEJ FLANK & JAFIA NAMUEL** - King of Kings (sł. i muz. Maciej Flank i Jafia Namuel) 3:29

czas łączny: 62:12

Wydawca płyty:
paganini s.c.
31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11
tel./fax: 0*12-623 71 81
e-mail: firma@paganini.com.pl
www.ruah.pl

lista ruah.pl
Głosuj na piosenki z naszej listy!
Głosowanie odbywa się na www.ruah.pl
oraz na kuponach dołączonych do RUaH

Projekt graficzny: Grzegorz Kaczmarek fot. Krzysztof Raczyński


3 kolory
reggae i okolice
1. GOOD RELIGION - Idziemy
2. MALEO REGGAE ROCKERS - Nikt
3. ARMIA - Exodus
4. BAKSHISH - Daj mi siłę
5. PIOTR „Mrówa" MROWIŃSKI - Cipsy
6. NOWE JERUSALEM - Nie kupisz mnie
7. TRIQUETRA - Była dać
8. ADONAI - Jahweh, to Ty
9. MIKSTO - Jezus not dead
10. APOSTOLOS - Psalm
11. 30+40/70 + VIOLA BRZEZIŃSKA - Łaska Twoja, Panie
12. MAGDA BOBROWSKA & BARDZO ORKIESTRA - Wiem Panie
13. KOMETA - Mądrości
14. MACIEJ FLANK & JAFIA NAMUEL - King of Kings
paganini
CD24
22
www.rush.pl
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE ZAIKS/BIEM EGZEMPLARZ NIE NA SPRZEDAŻ